

**Heyer Georgette**

**Po co zabijać kamerdynera**

1

Drogowskaz okazał się zupełnie nieprzydatny. Ledwo widoczny napis na jednym z odrapanych ramion informował zainteresowanych, że Lumsden znajduje się na zachodzie, przypuszczalnie na końcu jakiejś podejrzanie wyglądającej drogi. Drugie ramię wskazywało kierunek do Pittingly, o którym Amberley nigdy w życiu nie słyszał. Tym niemniej, skoro Lumsden leżało na zachodzie, to Upper Nettlefold powinno znajdować się gdzieś po drodze do owego tajemniczego Pittingly. Amberley zgasił latarkę i zawrócił samochód. Pomyślał z wściekłością, że powinien być mądrzejszy i nie ufać wskazówkom kuzynki Felicyty, która o tej krótszej drodze wyrażała się z takim entuzjazmem. Gdyby miał dość rozumu, żeby pojechać normalną drogą, do tej pory byłby już w Greythorne. A tymczasem „skrót” Felicyty sprawił, że był już spóźniony na kolację.

Jechał ostrożnie wyboistą drogą wysadzaną po obu stronach żywopłotem.

Kłębiące się tumany jesiennej mgły powodowały jeszcze większe rozdrażnienie. Po lewej stronie minął krętą drogę, która wyglądała tak mało zachęcająco, że postanowił trzymać się kierunku na Pittingly.

Droga wiła się przez Weald, krainę niegdyś pokrytą lasami. Najwyraźniej nie było tu żadnych domów, a i Pittingly - do którego Amberley w szybkim tempie nabierał gwałtownej niechęci - nie chciało się zmaterializować. Rzucił okiem na zegarek i zaklął pod nosem. Było już po ósmej. Nacisnął pedał gazu i długi, potężny Bentley wystrzelił do przodu, podskakując po nierównej nawierzchni, co wprawilo Amberleya w jeszcze gorszy nastrój.

2

Przeznaczeniem Pittingly było chyba pozostać tajemnicą - twardym, szarym oczom Amberley'a nie ukazał się najmniejszy ślud jakiegokolwiek wioski. Natomiast za ostrym zakrętem pojawiły się czerwone tylne światła jakiegoś samochodu.

Po chwili reflektory Bentleya, przeniknąwszy mgłę, oświetliły nieruchomą postać obok stojącego na drodze samochodu. Samochód, jak zauważył Amberley, był to Austin Seven. Stał na poboczu z wyłączonym silnikiem; paliły się tylko pozycyjne światła. Amberley zwolnił i zobaczył, że nieruchomą postacią na drodze nie był mężczyzna, jak w pierwszej chwili sądził, lecz kobieta ubrana w ściągnięty paskiem płaszcz przeciwdeszczowy i filcowy kapelusz zsunięty głęboko na oczy.

Amberley zatrzymał Bentleya obok małego Austina i nachylił do okna po przeciwnej stronie wozu.

- Czy coś się stało? - zapytał z nutą rozdrażnienia w głosie. Naprawdę, nie dość, że zablądził, to gdyby jeszcze na domiar złego musiał zmieniać koło albo zaglądać w bebechy silnika Austina, to byłby już szczyt wszystkiego! Dziewczyna - domyślił się raczej niż zobaczył, że była dość młoda - nie poruszyła się. Stała z rękami w kieszeniach płaszcza przy drzwiach Austina. Nic, nic - powiedziała. Głos miała stłumiony i Amberley odniósł wrażenie, że coś jest nie w porządku, ale nie miał najmniejszej ochoty dociekać przyczyny napięcia, jakie dało się słyszeć w szorstkich słowach.

- Czy wobec tego może mi pani powiedzieć, czy ta droga prowadzi do Greythorne? - zapytał.

- Nie wiem - rzuciła opryskliwie;

W oczach Amberleya pojawiło się coś na kształt złośliwego błysku.

- Pani też nie zna tych okolic, nie?

Odwróciła głowę i na chwilę ujrzał blady owal jej twarzy i nadąsane - jak mu się zdawało - usta.

- Praktycznie nie znam. Tak czy owak, nigdy nie słyszałam o Greythorne.

Dobranoc.

Wyraziła się zupełnie jednoznacznie, ale Amberley zignorował to. Jego własny sposób bycia był dość oschły - najbliżsi twierdzili, że wręcz chamski - więc gburowatość dziewczyny nie zraziła go.

- Może pani wysili swój mózdzek jeszcze trochę - poprosił. - Czy zna pani drogę do Upper Nettlefold?

Rondo kapelusza rzuciło cień na jej oczy, ale Amberley był pewien, że posłała mu groźne spojrzenie.

- Trzeba było skrócić w lewo jakąś milę wcześniej - poinformowała go.

- Cholera! - rzekł Amberley. - Dzięki.

Usadowił się z powrotem za kierownicą i zwolnił hamulec.

Niełatwo było zawrócić samochód na wąskiej, wiejskiej drodze. Pojechał kawałek do przodu aż minął Austina i zaczął manewrować. Zawrócił ze sporym trudem. Przednie reflektory Bentleya oświetliły Austina i dziewczynę dwoma jaskrawymi snopami światła. Dziewczyna wzdrygnęła się, jak gdyby nagły blask światła ją przestraszył. Nim zdążyła odwrócić głowę Amberley dostrzegł jej kredowo-białą twarz.

Przerwał manewrowanie aby ustawić samochód wzdłuż drogi. Stopą wciskał sprzęgło, ręką mechanicznie ścisnął dźwignię biegów. Przednie światła skierowane prosto na mniejszy samochód ukazały coś dziwnego. W przedniej szybie Austina była mała dziurka, od której promieniście rozchodziły się rysy. Amberley nachylił się nad kierownicą, by przypatrzeć się uważniej.

- Kto jest w tym samochodzie? - zapytał ostro. Dziewczyna przesunęła się szybko, żeby zasłonić wnętrze

Austina przed badawczym wzrokiem Amberleya.

- A panu co do tego? - powiedziała bez tchu. - Wskazałam panu drogę do Upper Nettlefold. Czemu pan nie jedzie?

Amberley pchnął dźwignię gazu na luz i zablokował hamulec. Wysiadł z samochodu i ruszył w kierunku dziewczyny. Z bliska przekonał się, że jest atrakcyjna, co go nie zainteresowało,

i niezwykła zdenerwowana, co wzbudziło w nim wszelkie podejrzenia.

- Pani towarzysz zachowuje się bardzo cicho, co? - powiedział ponuro. - Proszę odejść od tych drzwi.

Nie usłuchała, ale najwyraźniej była przerażona.

- Czy mógłby pan odjechać? To nie pańska sprawa, więc po co się pan do mnie przyczepił?

Amberley chwycił ją za nadgarstek, nieco brutalnie odciągnął od drzwi i zajrzał do środka. Na miejscu kierowcy, dziwnie nieruchomo, z opuszczoną na piersi głową, siedział jakiś mężczyzna. Nie podniósł głowy, ani się nie odezwał.

Amberley powoli zaciskał dłoń na przegubie dziewczyny, która próbowała się wyszarpnąć. Postać za kierownicą nie poruszyła się.

- Ach tak!, - powiedział Amberley. - Rozumiem.

- Niech pan mnie puści! - zawołała z wściekłością. - Ja... To... Ja tego nie zrobiłam!

Wzmocnił uścisk na jej przegubie; cały czas patrzył na martwego człowieka.

Ciemny garnitur był w nieładzie i wyglądał tak, jakby ktoś przetrząsał mu kieszenie. Koszula w paski była zakrwawiona, ciemnoczerwona plama biegła w dół kamizelki.

Amberley wolną ręką wsunął do środka samochodu i dotknął martwego ciała. Nie odczuł wstrętu.

- Jeszcze ciepły - rzekł. - No więc?

- Jeśli pan myśli, że to ja go zabiłam, to się pan myli - powiedziała dziewczyna. - Tak go znalazłam. Mówię panu nawet mnie tu nie było!

Przebiegł dłonią po jej płaszczu w poszukiwaniu ewentualnej broni.

Próbowała się wyrwać, ale zaraz przekonała się, że jest zupełnie bezsilna wobec jego uścisku. W prawej kieszeni wymacał coś twardego.

Bezceremonialnie wyciągnął mały pistolet.

Znieruchomiła.

- Jeśli zada pan sobie trud obejrzenia go - powiedziała z wibrującą w głosie nienawiścią - przekona się pan, że magazynek jest pełen. Nie jest nawet odbezpieczony.

- Czy noszenie naładowanej broni należy do pani zwyczajów?
- To moja sprawa.
- Bez wątpienia - zgodził się. Powąchał starannie wylot lufy. Puścił dziewczynę i wysunął magazynek. Tak jak powiedziała, zawierał siedem naboii. Odciągnął zamek i upewnił się, że jest pusty. Wcisnął magazynek na miejsce i oddał pistolet dziewczynie, która wzięła go do ręki jakby niepewnie.
- Dzięki. Przekonał się pan, że ja tego nie zrobiłam?
- Przekonałem się, że nie zrobiła pani tego tym pistoletem - odparł. - Prawdopodobnie to nie pani strzelała, ale na pewno wie pani coś na ten temat.
- Nieprawda. Nic nie wiem. Znalazłam go już w takim stanie.
- Martwego?
- Nie... To znaczy tak.
- Niech się pani zdecyduje - był martwy czy nie - poleciał.
- Do cholery, niech mi pan da spokój! - rzuciła z wściekłością. - Nie widzi pan, że jestem zdenerwowana i nie wiem, co mówię? Omiótł ją chłodnym spojrzeniem.
- Skoro tak stawia pani sprawę... nie, nie widzę. Wydaje mi się pani nadzwyczaj opanowana. No, dalej, gadaj! Czy on już nie żył, kiedy go znalazłaś?
- Nie odpowiedziała od razu. Jasne było, że zastanawia się, co lepiej powiedzieć. Wściekłość z jej twarzy zniknęła pozostawiając na niej chłód i ostrożność.
- Nie, żył - powiedziała w końcu. - Myślałam tylko, że nie żyje.
- I dlatego uznała pani, że żyje?
- Coś powiedział - odparła niechętnie.
- Tak? Co powiedział?
- Nie wiem. Nie zrozumiałam.
- Kiepsko pani kłamie - stwierdził. - Pewnie nie przyszło pani do głowy udzielić mu pierwszej pomocy?

- Próbowałam zatamować krwawienie - otworzyła prawą dłoń i pokazała mi przesiąkniętą krwią chusteczkę. - Wiedziałam, że to na nic. Umarł prawie zaraz, jak tylko tu przyszłam.

- I nie przyszło pani do głowy, że należałoby zatrzymać mój samochód i poprosić o pomoc?

Przygryzła wargę i rzuciła mu jedno ze swoich nagłych, wściekłych spojrzeń.

- Po co? Pomyślałby pan tylko, że to ja zrobiłam.

- Ma pani sporo zimnej krwi, co? - zasugerował.

- Może pan sobie myśleć, co się panu podoba - odrzekła. - Nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia.

- Myli się pani. Prawdopodobnie będzie miało ogromne znaczenie. Proszę tu podejść na chwilę.

Złapał ją za rękę powyżej łokcia i pociągnął w stronę Austina.

- Niech pani nie zasłania światła - powiedział z irytacją i pochylił się, żeby jeszcze raz przyjrzeć się nieruchomej postaci wewnątrz.

- Przeszukała mu pani kieszenie? Wzdrygnęła się.

- Nic.

- Ktoś to jednak zrobił.

Włożył rękę do środka i ostrożnie wsunął ją pod płaszcz martwego mężczyzny.

- Żadnego portfela, żadnego notesu. Wyjął rękę i puścił dziewczynę.

- Cholera! - powiedział beznamiętnie i starł krew z palców.

- Jest... jest mi niedobrze - powiedziała dziewczyna. Amberley uniósł jedną brew.

- Nie dziwię się - rzekł uprzejmie.

Dziewczyna usiadła na progu samochodu i położyła głowę na kolanach.

Amberley wycierał palce chusteczką i przyglądał się jej ze zmarszczonymi brwiami. Wyprostowała się.

- Już mi lepiej. Co zamierza pan zrobić?

- Zawiadomię policję. Spojrzała mu prosto w oczy.

- O mnie?

- Prawdopodobnie.

Splatała i rozplatała nerwowo dłonie.

- Skoro pan uważa, że ja to zrobiłam - powiedziała z goryczą - to dlaczego oddał mi pan pistolet? Przecież pana też bez trudu mogłabym zastrzelić.

- Nie uważam, że to pani zrobiła. Ale bardzo chciałbym wiedzieć, co pani tu robiła o tej porze i dlaczego nosi pani broń.

Milczała.

- Nie jest pani zbyt komunikatywna, co? - powiedział po chwili.

- A czemu miałabym być komunikatywna? Nie jest pan policjantem.

- Na pani szczęście. Niech pani lepiej spali tę chusteczkę. Odwrócił się i ruszył w stronę własnego samochodu. Dziewczyna podniosła się zaskoczona i niepewna.

- Puszczaj... puszczaj mnie pan? - zapytała gapiąc się za nim. Amberley otworzył drzwi Bentleya.

- Nie jestem policjantem - przypomniał jej rzucając słowa przez ramię.

- Ale... ale czemu? - nie ustępowała. Wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi.

- Jeśli pani to zrobiła - poinformował ją uprzejmie - to jest pani tak cholernie głupia, że policja sama zaraz panią złapie. Dobranoc.

Samochód ruszył do przodu, cofnął się kilka stóp, naprostował i odjechał wiejską drogą w kierunku, z którego przyjechał.

Dziewczyna stała niezdecydowana przy Austinie. Odprowadziła wzrokiem tylne światła Bentleya dopóki nie zniknęły za zakrętem, a potem zamrugała oczami jakby oszołomiona.

Wymacała w kieszeni latarkę, wyjęła ją i zapaliła. Jeszcze raz odwróciła się do samochodu. Krew przestała się sączyć jakiś czas temu i zakrzepła w chłodnym, wieczornym powietrzu. Dziewczyna skierowała latarkę na ciało, ostrożnie wsadziła rękę przez otwarte okno i obmacała zewnętrzne kieszenie martwego męż-



czynny. W jednej był tani kapciuch z tytoniem i fajka. W drugiej zapalki. Próbowwała wsadzić rękę do kieszeni spodni, ale nie mogła tego zrobić bez poruszenia ciała. Zadygotała i cofnęła się. Zerknęła w jedną stronę pustej drogi, potem w drugą.

Mgła, choć nie była jeszcze jednolita, gęstniała. Promień latarki padł na ziemię w pobliżu jej stóp i oświetlił chusteczkę, która leżała tam, gdzie ją upuściła. Podniosła ją, mokrą od krwi, i zmięła w dłoni.

Światło latarki sprawiało, że mgła wyglądała jak naga ściana, ale dzięki niemu dziewczyna mogła zorientować się, gdzie jest rów biegnący wzdłuż drogi. Ruszyła w kierunku Pittingly. Na szczycie niewielkiego wzniesienia mgła stanowiła tylko smugę białego dymu, więc przerwa w żywopłocie znajdująca się kilka jardów dalej była doskonale widoczna. Za przełazem prowadziła poprzez pola ścieżka. Dziewczyna przeszła przez przełaz i ruszyła szybko na wschód. Ścieżka prowadziła do następnego przełazu, poprzez bukowy zagajnik i dalej przez pola aż do migocących światełek Upper Nettlefold.

Zamiast skrócić na północ i pójść przez wieś, dziewczyna podążyła drogą na południe. Przeszła jakieś pięćset jardów aż dotarła do wyboistej, polnej drogi. Na desce przybitej do sponiewieranego przez pogodę słupa widniały słowa IVY COTTAGE napisane nieco krzywymi literami. Kawalek dalej jaśniała biała furтка.

Dziewczyna otworzyła ją i przeszła wyłożoną kamiennymi płytami ścieżką. Drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz. Weszła i zamknęła je za sobą. Zaraz za drzwiami pomiędzy dwiema ścianami wznosiły się schody na piętro. Po obu stronach schodów znajdowały się drzwi - jedne prowadziły do kuchni, drugie, te po prawej stronie, do pokoju dziennego.

Drzwi do pokoju były uchylone. Dziewczyna pchnęła je i stanęła w progu opierając się o ścianę. Jej ciemne, pogardliwe oczy spoczęły na jedynej osobie przebywającej w pokoju - młodym mężczyźnie, który siedział rozwalony przy stole i na jej widok zmrużył oczy jak sowa.

Zaśmiała się krótko bez radości.

- Wytrzeźwiałeś?

Młody mężczyzna wyprostował się i usiłował odsunąć krzesło.

- Nic mi nie jest - powiedział niewyraźnie. - Gdzie... gdzie byłeś?

Dziewczyna weszła do pokoju i pchnęła za sobą drzwi, które zatrzęsnęły się z hukiem. Mężczyzna podskoczył.

- Boże, niedobrze mi się robi na twój widok! - powiedziała z goryczą. - Gdzie byłam? Doskonale wiesz, gdzie byłam! Jesteś zgniłkiem, Mark! Zgniła, pijana świnia!

- Och, zamknij się! - powiedział ze złością. Wstał chwiejnie na nogi i wyszedł z pokoju potrącając ją po drodze. Za chwilę usłyszała go w pomywalni i domyśliła się, że zanurza w zimnej wodzie zamroczoną alkoholem głowę. Skrzywiła pogardliwie wargi. Ściągnęła kapelusz i rzuciła go na krzesło, po czym podeszła do kopczącej lampy naftowej i przykręciła knot.

Mężczyzna wrócił do pokoju. Wyglądał na zawstydzonego i unikał jej wzroku.

- Przepraszam, Shirley - wymamrotał. - Nie wiem, jak to się stało.

Przysięgam, że nie wypięłem więcej niż dwa, no, najwyżej trzy. Nawet nie miałem zamiaru wchodzić do tej cholernej knajpy, ale ten farmer z... no, jak się to miejsce nazywa...?

- Och, co za różnica? - powiedziała niecierpliwie. - Nawet przez jeden wieczór nie mogłeś wytrzymać bez picia. Przecież wiedziałeś co masz zrobić.

- Och, Shirley, przestań! - powiedział z jakimś znużonym rozdrażnieniem. - Dobrze, dobrze, wiem, że jestem świnia. Nie musisz mi dokuczać z tego powodu. Miałem się spotkać z tym facetem, tak? Pewnie poszłaś za mnie. Wyjęła z kieszeni pistolet, odłożyła go i zaczęła rozpinać płaszcz.

- Poszłam - rzuciła krótko.

- I co? Pewnie nici z tego? Od razu mówiłem, że to oszustwo. Ale ty musiałaś przyjechać do tej parszywej dziury. Przez ciebie muszę mieszkać w tej plugawej chałupie pełnej przeciągów.

A wszystko po to, żeby uganiać się za czymś, co nie istnieje...

- urwał nagle i wbił wzrok w płaszcz dziewczyny. - Na Boga, Shirley, co to jest? - zapytał ochryple.

Odłożyła płaszcz.

- Krew. Będę musiała go spalić.

Jego twarz nabrała zielonkawego koloru. Złapał się kurczowo kantu stołu.

- Co... co się stało? - wyjąkał. - Chyba... chyba nie użyłaś pistoletu?

- Nie musiałam. On już nie żył.

- Nie żył? - powtórzył za nią niemądrze. - Co to znaczy nie żył?

- Został zastrzelony. A więc, jak widzisz, nie uganiamy się za czymś, co nie istnieje.

Mężczyzna usiadł nie odrywając wzroku od płaszcza.

- Na Boga! - powtórzył. Wydawało się, że ze wszystkich sił stara się wziąć w garść. - Kto to zrobił?

- Nie wiem. Chociaż to chyba dość oczywiste. Przeszukano mu kieszenie, a więc ci, którzy go zastrzelili musieli wiedzieć o naszym spotkaniu. Tak czy owak nie znaleźli tego.

- Skąd wiesz?

- Nie miał tego ze sobą. Tyle zdołał mi powiedzieć. Pewnie miał pierta i nie odważył się mieć tego przy sobie.

Wyciągnął rękę i niezdarnie pogładził jej dłoń.

- Przykro mi, siostrzyczko. To musiało być dla ciebie okropne. Biedactwo!

- Już w porządku - powiedziała oschle. - Tyle tylko, że to dodatkowa komplikacja.

- Komplikacja! No pewnie. Przecież nasza sytuacja wcale się nie polepszyła. O ile ta rzecz w ogóle istnieje. Ale skoro facet został zastrzelony, to prawie na pewno istnieje.

Rzuciła mu niecierpliwe spojrzenie.

- Pewnie, że istnieje. Wiem też, gdzie jest. Powiedział mi.

- Powiedział ci? - nachylił się ku niej. - Więc gdzie jest?

- zapytał z ożywieniem.

Shirley wstała.

- Myślisz, że ci powiem? - powiedziała z pogardą. - Żebyś od razu wygadał jak się następnym razem upijesz?

Zaczerwienił się.

- Do cholery, to przecież moja sprawa, nie?

- Tak, twoja sprawa - powiedziała z wściekłością - tylko ja muszę wszystko za ciebie robić. W porządku, mogę robić, ale ty będziesz trzymał się od tego z daleka. Rozumiesz?

Jego zapal ostygł, lecz męczyzna nie ustępował.

- Jesteś dziewczyną - upierał się. - To robota nie dla ciebie. Na Boga, nie podoba mi się to morderstwo.

- Nie dziwię się - odparła. - Więc lepiej trzymaj gębę na kłódkę.

Twarz jej złagodniała.

- Och, Mark, na litość Boską, przestań pić choć na trochę! Do tej roboty będą nam potrzebne mocne nerwy, a co z ciebie za pożytek, kiedy na dwanaście godzin przez sześć jesteś zalany?

- Dobrze - wymamrotał unikając jej wzroku. - Naprawdę dzisiaj to nie była moja wina. Nie zamierzałem wchodzić nawet do tej knajpy, ale...

- Wiem - przerwała. - Spotkałeś faceta, który cię wciągnął na siłę. Stara śpiewka.

Droga, którą Frank Amberley dojechał do Upper Nettlefold, małego miasteczka w odległości jakichś dziesięciu mil od Carches-ter, okazała się całkiem krótka. Rozdrażnienie Franka wzmogło się jeszcze bardziej, gdy uświadomił sobie, że gdyby przedtem nie zignorował bocznej drogi po lewej stronie szosy do Pittingly, to nie tylko zdążyłby na kolację, ale także uniknąłby wstrętnego morderstwa, które prawdopodobnie przysporzy jeszcze wiele kłopotów.

- Czemu, do diabła, ją puściłem? - zapytał siebie samego na głos.

Żadna odpowiedź nie nadeszła. Zachmurzył się.

- Przeklęty głupiec! - powiedział.

Naprawdę nie wiedział, co go podkusiło, żeby zostawić tę kobietę na drodze. Nie należał do mężczyzn podatnych na kobiece wdzięki i chociaż rozbawiło go jej szorstkie zachowanie i opanowanie, to jednak nie zrobiła na nim szczególnego wrażenia. Niesympatyczna baba, z gatunku tych, co nigdy nie mają żadnych skrupułów. Tym niemniej nie popełniła tego morderstwa. Powinien, oczywiście, zabrać ją ze sobą na policję. Nawet jeśli sama nie zastrzeliła tego człowieka, to na pewno wiedziała coś na ten temat. Trudno ukryć taki fakt przed kimś, kto miał mnóstwo okazji do obserwacji zbrodni w każdy dzień pracy przez cały okrągły rok. Ale z drugiej strony, gdyby przekazał ją policji, jaką miałyby szansę? Sprawa wyglądała kiepsko. Gdyby miał więcej danych (a nie miał wątpliwości, że znalazłoby się ich mnóstwo), sam mógłby sporządzić śliczną, obciążającą sprawę karną.

Jednak nie była to jego sprawa; jego obowiązek był zupełnie jasny. Choć ten aspekt w obecnym przypadku absolutnie go nie trapił. Ale gdyby nie był ostrożny, mógłby znaleźć się w sytuacji nie do pozazdroszczenia - współwinnego przestępstwa post factum. I to wszystko z jakiego powodu? Nie miał pojęcia.

Wjechał do Upper Nettlefold i podjechał pod posterunek policji mieszczący się w starym budynku z czerwonej cegły na rynku. Młody policjant siedział ze słuchawką przy uchu i znudzonym wyrazem twarzy. Zerknął na Amberleya bez zainteresowania i powiedział do słuchawki, iż nic jeszcze w tej sprawie nie wiadomo i że robi, co może. Potem słuchał przez chwilę, powtórzył istotę swoich poprzednich uwag i odwiesił słuchawkę.

- Słucham pana - powiedział notując coś na leżącej przed nim kartce papieru. Amberley zaczął nabijać fajkę.

- Jest sierżant Gubbins? - zapytał.

Młody policjant potwierdził, że sierżant Gubbins jest.

- Chcę się z nim widzieć - rzekł Amberley zapalając zapałkę. Policjant spojrział na niego z niechęcią. Ponad fajką ujrzał surowy wzrok.

- W miarę szybko - dodał Amberley.

- Nie wiem, czy da się szybko - powiedział policjant sztywno. - Zapytam sierżanta.

Wyszedł. Amberley podszedł wolno do ściany, żeby przyjrzeć się afiszowi opiewającemu rozkosze czekające na tych wszystkich, którzy zdecydują się nabyć bilet na doroczny koncert policyjny.

W drugim końcu pokoju otworzyły się drzwi z matową szybą, na której namalowano groźnie brzmiący napis NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY, umożliwiając wyjście tęgiemu osobnikowi z ogromnym wąsem na rumianej twarzy.

- Słucham, czym mogę panu służyć? - odezwał się ów osobnik starannie dobranym tonem, który miał wzbudzać grozę w sercach złoczyńców.

Amberley odwrócił się.

- Dobry wieczór, sierżancie - powiedział. Sierżant zaniechał swojego tonu.

- O, pan Amberley! Nie widziałem pana w tych stronach od dobrych sześciu miesięcy. Mam nadzieję, że nic się nie stało. Czy mogę coś dla pana zrobić?

- Ach, nie! - odparł Amberley. - Pomyślałem sobie tylko, że chciałby pan wiedzieć, iż na drodze do Pittingly znajduje się martwy człowiek.

Na te słowa młodemu posterunkowemu dech w piersiach zaparło. Sierżant jednak przyjął je lepiej.

- Lubi pan sobie pożartować - powiedział pobłaźliwie.

- Tak - odparł Amberley. - Ale tym razem to nie ja żartuję. Lepiej niech pan kogoś tam wyśle. Gdybym był potrzebny, to znajdzie mnie pan w Greythorne..

Uśmiech znikł z twarzy sierżanta.

- Chyba nie mówi pan serio?

- Jak najbardziej. Trzeźwy też jestem. Jakiś mężczyzna w Austinie Seven został zabity strzałem w pierś. Okropny widok.

- Morderstwo! - wykrzyknął sierżant. - Dobry Boże! Zaraz, chwileczkę! Gdzie pan go znalazł?

Amberley podszedł do biurka i zażądał kartki papieru. Gdy ją otrzymał, naszkicował prosty plan.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest to przekłete Pittingly, ale ten samochód jest mniej więcej w tym miejscu, około mili od bocznej drogi, która prowadzi tutaj. Zatrzymałem się, żeby zapytać o drogę do Greythorne i zobaczyłem, że facet nie żyje. Prawdopodobnie zamordowany. Pojechałbym tam z wami, ale już i tak spóźniłem się ponad godzinę na kolację.

- W porządku, proszę pana. Rozumiem, że zostanie pan w Greythorne na dzień czy dwa? Będzie dochodzenie, ale przecież nie muszę tego mówić panu. Połącz się z Carchester, Wilkins. Nie zauważył pan przypadkiem czegoś szczególnego? Nikogo pan po drodze nie minął?

- Nie. Ale jest dość gęsta mgła. Kiedy dotknąłem tego człowieka nie był jeszcze zimny, jeśli ta wiadomość na coś się przyda. Dobranoc.

- Dobranoc. Dziękuję panu.

Posterunkowy podał sierżantowi słuchawkę i gdy sierżant składał raport zwierzchnikom, stał pocierając brodę i gapił się na drzwi, które zamknęły się za Amberleyem.

Sierżant odwiesił słuchawkę.

- Ależ to zimny typ - zauważył posterunkowy.

- To pan Frank Amberley, siostrzeniec sir Humphreya - rzekł sierżant. - To bardzo bystry młody człowiek.

- Wchodzi tu bezczelnie i gada o zwłokach na drodze jakby nigdy nic, jakby zwłok na drodze było tyle, co mleczów - ciągnął posterunkowy z dezaprobatą w głosie.

- Bo dla niego tak jest - odparł sierżant surowo. - Gdybyś czytał gazety, mój chłopcze, to byś wiedział wszystko na jego temat. Jest adwokatem. Ludzie mówią, że daleko zajdzie.

- Jeśli o mnie chodzi, to niech idzie jak najdalej - rzekł posterunkowy. - On mi się nie podoba, panie sierżancie, i tyle.

- Przyślij do mnie Harpera i przestań się obijać - rozkazał sierżant. -

Mnóstwo ludzi nie lubi pana Amberleya, ale on ma to w nosie.

Tymczasem samochód Franka Amberleya ruszył ostro w kierunku głównej ulicy. Z Upper Nettlefold nie miał już wątpliwości jak dostać się do Greythorne, solidnego, kamiennego domu stojącego na terenie opadającym ku rzece Nettle. Nieco ponad dziesięć minut później był już na miejscu.

W hallu powitała go kuzynka, figlarna panienska w wieku osiemnastu lat, która koniecznie chciała wiedzieć, co się z nim działo tak długo.

Amberley ściągnął płaszcz i rzucił pannie Matthews miażdżące spojrzenie.

- To te twoje skróty - rzekł zjadliwie. Felicity zachichotała.

- Osioł z ciebie, Frank. Zabłądziłeś?

- I to jak.

Odwrócił się, ponieważ do hallu weszła ciotka Marion.

- Wybacz, ciociu. To nie moja wina. Czy spóźniłem się na kolację?



Lady Matthews uściskała go.

- Kochany Frank! Strasznie się spóźniłeś, a ten suflet z sera! - powiedziała niezbyt jasno. - Kochanie, powiedź komuś, że Frank... O, jest Jenkins! Jenkins, pan Amberley przyjechał.

Uśmiechnęła się czarująco do swego siostrzeńca i ruszyła w stronę salonu.

- Cioteczko, czy muszę się przebrać? - zawołał za nią z uśmiechem.

- Przebrać, kochany chłopcze? Ależ nie. Chyba nie zgubiłeś bagażu?

- Nie, ale jest już po dziesiątej.

- I to bardzo, mój drogi. Obawialiśmy się, że miałeś wypadek. Felicity pociągnęła go za rękaw.

- Frank, to niemożliwe, żebyś błędził całą godzinę! No, przyznaj się!

Wyjechałeś z domu za późno!

- Ty bestyjo! Puść mnie, Felicity, muszę się umyć.

Pięć minut później zszedł na dół i w towarzystwie Felicity wkroczył do jadalni. Gdy spożywał posiłek, Felicity siedziała z łokciami na stole opierając brodę na dłoniach.

- Bal jest w środę - obwieściła. Frank jęknął, - Przywiozłeś kostium? - zaniepokoiła się.

- Przywiozłem.

- Za kogo się przebierzesz? - dopytywała się z czysto kobiecym, pełnym podniecenia zainteresowaniem.

- Za Mefistofelesa. Pasuje do mojego poczucia piękna. Felicity miała wątpliwości.

- Właściwie nie mam nic przeciwko temu - poinformowała go. - Tylko widzisz, ja przebieram się za puszek do pudru, więc zupełnie nie będziesz do mnie pasował.

- Boże, broń! Puszek do pudru! Słuchaj, co to w ogóle za bal, z jakiej okazji, gdzie?

Otworzyła swe brązowe oczy najszerzej jak mogła.

- O rany, mama ci nie napisała? Roześmiał się.

- Listy cioci Marion wyglądają dokładnie tak samo jak rozmowa z nią - mowa jest o wszystkim oprócz najważniejszych rzeczy.

- Bal jest w Norton Manor. Z okazji zaręczyn Joan.

- Joan?

- No wiesz przecież - Joan Fountain. Na pewno poznałeś ją u nas.

- Jasnowłosa dziewczyna z oczami? A kim jest narzeczony?

- Och, to prawdziwy cherubinek. Nazywa się Corkran. Podobno ma mnóstwo forsy. Tak czy siak, zaręczyli się i ten bal jest właśnie z tej okazji.

- Zaczekaj, jak on ma na imię?

- Corkran? Tony. Czemu pytasz? Frank uniósł brwi.

- Stary Corks! Tak myślałem. Chodziliśmy razem do szkoły.

- To uroczu z jego strony - powiedziała uprzejmym tonem panna Matthews. W tym momencie drzwi otworzyły się i do jadalni wszedł wysoki, chudy mężczyzna o białych włosach. Frank wstał.

- Dobry wieczór, wuju.

Sir Humphrey uściśnął mu dłoń.

- No co, Frank? Dopiero co usłyszałem, że przyjechałeś. Co cię zatrzymało?

- Felicity, wuju. Wskazała mi krótszą drogę z Londynu, która wcale nie okazała się krótsza.

- Więc wielki pan Amberley zabłądził! Wielcy też doznają porażek, Frank.

- Niestety.

- A prawda jest taka, że nie wyjechał w porę - obruszyła się Felicity. - I nie masz co twierdzić, że byłeś zajęty, Frank, bo dobrze wiem, że masz... tatusiu, jak to się nazywa, co adwokaci mają latem? Ferie sądowe, czy jakoś tak. Wiesz, tato, on mówi, że zna narzeczonego Joan.

Sir Humphrey widząc, że siostrzeniec skończył posiłek podsunął mu karafkę z porto.

- Naprawdę? To podobno wyjątkowo bezmózgi młody człowiek, ale zdaje się, że ze znakomitej rodziny. Jak rozumiem, ten bal przebierańców ma uczcić urodziny. Felicity przyjaźni się z panną Fountain.

Pan Amberley zrozumiał, że ta przyjaźń nie spotkała się ze szczerą aprobatą sir Humphreya. Przeszukał zakamarki mózgu, żeby znaleźć dane dotyczące rodziny Fountainów, lecz bezskutecznie.

Felicity odwołano do telefonu. Frank rozłupał i obrał orzech.

- To niezupełnie była prawda.

- Co było niezupełnie prawdą? - zapytał sir Humphrey napełniając ponownie kieliszek.

- Że zabiłem. Zabiłem, ale nie na całą godzinę. Natknąłem się na morderstwo.

- Rany boskie! - wykrzyknął sir Humphrey, macając w poszukiwaniu pincenez. Umieścił je na swym kościstym nosie i przyjrzał się siostrzeńcowi z ogromnym zdumieniem.

- Kogo zamordowano?

- Nie mam pojęcia. Jakiegoś mężczyznę w średnim wieku, porządnie ubranego. Nie umiałbym go określić. Mógł być jakimś handlowcem, kimś w tym rodzaju. Siedział w Austine Seven na drodze do Pittingly.

- Coś takiego! - sir Humphrey aż zacmokał ze wzburzenia. - Wstrząsające! Wstrząsające! To niewątpliwie napad tych bandytów grasujących po drogach.

- Niewykluczone - odparł jego siostrzeniec nieco wymijająco.

- Lepiej nic o tym nie mów ciotce i kuzynce - poradził sir Humphrey. - O Boże! Jakież to nieprzyjemne! Mordercy tuż obok naszej bramy! Nie wiem do czego zmierza ten świat.

Wciąż jeszcze wydawał okrzyki niedowierzania i dezaprobaty gdy przyłączyli się do lady Matthews w salonie. Kiedy jego żona spytała łagodnie, co się stało, że jest taki wzburzony, zaczął tak żywo zapewniać ją, że nic, iż natychmiast zwróciła się do Franka i kazała mu jasno powiedzieć, o co chodzi.

Frank miał bardziej prawidłowe zdanie o stanie nerwów swej ciotki niż sir Humphrey, toteż opowiedział jej wszystko bez żadnych ceremonii.

- Nieprzyjemna sprawa, ciociu. Zajmowałem się znajdowaniem martwych ciał. A dokładniej - jednego.

Lady Matthews nie objawiła szczególnego zaniepokojenia.

- Wielkie nieba, Frank! Chyba nie tutaj?

- Nie, na drodze do Pittingly. Ktoś został zamordowany. Wujek uważa, że prawdopodobnie przez bandytów.

- Mój Boże! - powiedziała ciotka. - Jak w średniowieczu. I do tego na drodze Pittingly. Cóż za nieprawdopodobne miejsce do rozboju. Czy dali ci coś do zjedzenia?

- Tak, dziękuję. Kolacja była wysmienita.

Sir Humphrey, jak zwykle Mąż Doskonały, pogłaskał dłoń żony uspokajająco.

- Nie martw się tym, Marion.

- Ależ, mój drogi, dlaczego miałabym się martwić? Choć dla Franka musiało to być przykre. Mam nadzieję, że nie grasuje tu w pobliżu jakaś banda gotowych na wszystko zbirów. To okropne, gdyby okazało się, że własny szofer jest przywódcą jakiejś groźnej organizacji.

- Ludlow? - zdziwił się zaskoczony sir Humphrey. - Kochanie, zatrudniamy Ludlowa już ponad dziesięć lat! Z jakiego powodu przypuszczasz, że on może mieć coś wspólnego z tą wstrząsającą sprawą?

- Jestem pewna, że nie ma nic wspólnego - odparła lady Matthews. - Zdaję sobie sprawę, że nic takiego nigdy nie zdarza się w rzeczywistości. Ale w tej książce - sięgnęła ręką pomiędzy poduszki na kanapie i wyciągnęła jakąś książkę w obwołucie charakterystycznej dla powieści sensacyjnych - to był szofer. To straszne deprymujące.

Sir Humphrey nałożył pince-nez i wziął do ręki książkę.

- „Grasująca śmierć” - przeczytał. - Moja droga, to chyba cię nie bawi?

- Nie bardzo - przyznała. - Ten sympatyczny człowiek w końcu okazał się czarnym charakterem. Uważam, że to nie jest w porządku, skoro już się go polubiło. Frank, czyja ci mówiłam, żebyś przywiózł kostium?
  - Mówiłaś, ciociu. Kim są ci Fountainowie? Nowi tutaj?
  - Ach nie. Nie są nowi. Nie pamiętasz starego Fountaina? Choć właściwie nie wiem, dlaczego miałbyś go pamiętać, bo do niczego nie doszedł. Nie żyje.
  - I dlatego nie doszedł?
  - Ależ nie, mój drogi. Skąd miałabym znać jego obecne posunięcia? Jak długo Jasper Fountain nie żyje, Humphrey?
  - Dwa lata, może dłużej, o ile mnie pamięć nie zawodzi.
  - Chyba nie zawodzi. Nigdy nie lubiłam Jaspiera Fountaina, ale na szczęście nie widywało się go zbyt często, nie udzielał się towarzysko. A i Felicity nie nalegała zbyt, by utrzymywać zażyłe stosunki z tą dziewczyną, choć właściwie nic do niej nie mam, skądże. Na pewno jest urocza, ale zawsze czułam antypatię do Basila i chyba nigdy go nie polubię. Co słyszałaś u twojej matki, Frank?
  - Wszystko w porządku, przekazałam pozdrowienia. Ciociu, nie zbacжай z tematu. Kto to jest Basil i czemu go nie lubisz?
- Lady Matthews uniosła głowę i spojrzała na niego z łagodnym uśmiechem.
- Nie wiesz, Frank, że człowiek nigdy nie wie, dlaczego kogoś nie lubi?
- Frank Amberley zastanowił się nad jej słowami z poważną miną.
- Ja chyba zawsze wiem, dlaczego kogoś nie lubię - powiedział w końcu.
  - Ach, to takie typowe dla' mężczyzn - mruknęła ciotka Marion bezradnie. - Ja nie umiem tego wyjaśnić.
- Sir Humphery wyłonił się zza popołudniowej gazety.
- Marion, kochanie, nie rób z Fountaina takiej zagadkowej postaci. Ten człowiek jest zupełnie w porządku. Nie mogę powiedzieć, że bym za nim przepadał, ale pewnie jestem staroświe-

cki... Ną litość boską, Felicity, zamknij te drzwi z łaski swojej! Jest przeciąg. Felicity usłuchała.

- Przepraszam. Dzwoniła Joan. Miała upiorny dzień. Co ty powiesz, mamó? Przysłali jej kostium na bal, razem z rachunkiem. Basil zobaczył ten rachunek i zrobił jej okropną awanturę i powiedział, że nie zapłaci. Pomyślałby kto, że zaraz zbankrutuje. Joan mówi, że on stale jęczy na temat pieniędzy, a to takie absurdalne, skoro tarza się w bogactwie.

Sir Humphrey spojrział na nią ponad okularami.

- Nie powinnaś zachęcać przyjaciółki do obgadywania własnego brata, Felicity - powiedział.

- To tylko jej przyrodni brat - odparła Felicity zniecierpliwiona. - i w dodatku nadgryziony zębem czasu. No, w każdym razie Joan zdołała go udobruchać w sprawie tej sukni. Zdaje się, że Basil pociesza się myślą, że nie będzie musiał już długo jej utrzymywać.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że przez cały ten czas rozmawiałaś z jedną osobą? - wtrącił Frank.

- No jasne. Czemużby nie? Aha, Joan mówi, że usiłowała namówić Basila, żeby się przebrał za Mefistofelesa, bo ona i Tony będą Małgorzatą i Faustem, ale Basil się nie zgodził. Dobrze się składa. Powiedziałam jej, że przyprowadzę Mefistofelesa, który naprawdę wygląda jak Mefistofeles. Aż drży z emocji.

- Czy zechciałbyś łaskawie wyświecić tę tajemnicę? - rzekł Frank. - Zaczyna mi działać na nerwy. Kim jest Basil?

- To przyrodni brat Joan, ty idioto.

- Tyle zrozumiałem. Czy on jest obecnym właścicielem Norton Manor?

- No pewno. Odziedziczył wszystko, kiedy stary Fountain wykorkował.

Sir Humphrey znów uniósł głowę lekko zgorszony.

- Umarł, kochanie - poprawił ją z przyganą.

- No dobrze, tato, umarł. Basil był bratankiem pana Fountaina, a ponieważ pan Fountain nie miał własnych dzieci, został jego spadkobiercą. To zupełnie proste.

- Ależ nie, Jasper Fountain miał własne dzieci - zaproponowała lady Marion. - A właściwie jedno - syna. Umarł ze trzy lata temu. Pamiętam, że czytałam o tym w „Timesie”.

- Nigdy nie słyszałam, że miał syna - zdziwiła się Felicity. - Jesteś pewna, mamo?

- Absolutnie pewna, kochanie. Był wielkim rozczarowaniem dla ojca. Wyjechał do Ameryki Południowej.

- Do Afryki, skarbie - poprawił ją sir Humphrey z za gazety.

- Do Afryki? Na jedno wychodzi. Wybuchł jakiś nieprzyjemny skandal, zdaje się, że w związku z kartami. A ten młody człowiek pił, co prawdopodobnie tłumaczyło jego naganne obyczaje. Ojciec nie chciał więcej mieć z nim nic wspólnego. Nie wiem, co się z nim stało, poza tym, że umarł.

- No to jego mamy z głowy - powiedział Frank. - Czy ten niesympatyczny Basil też ma... mmm... naganne obyczaje?

- Nic o tym nie wiem.

Sir Humphrey odłożył gazetę.

- W dzisiejszych czasach w gazetach nie ma nic innego jak tylko sensacyjne opisy okropnie nieprzyjemnych zbrodni - powiedział z dezaprobatą. - Nie mielibyście ochoty zagrać w brydża?

\* \* \*

Następnego dnia Felicity, mając zrobić dla matki zakupy w Upper Nettlefold zarządziła, że Frank ma jej towarzyszyć. Jego sugestia, że wyprawę powinni odbyć samochodem została stanowczo odrzucona. Wolfa, stwierdziła Felicity, trzeba zabrać na spacer.

Wolf był owczarkiem alzackim należącym do Felicity. Kiedy zabrali go ze stajni, przez pierwsze sto jardów spaceru okazywał swoje zadowolenie skacząc wokół swej pani z szaleńczym szczekaniem. Frank wiedział z doświadczenia, że przywoływanie go do porządku nie należało do czystej przyjemności, jako że Wolf absolutnie nie był skłonny do posłuszeństwa; trzeba go było łapać

i przytrzymywać za każdym razem, kiedy zbliżał się jakiś pojazd i miał zwyczaj nieustannego, nierozsądnego wdawania się w ąwantury z innymi przedstawicielami psiego gatunku.

Wąska, główna ulica miasteczka była, jak zwykle w dzień powszedni, zatłoczona samochodami, których właściciele zostawiali je na czas robienia zakupów. Wolf odbył ostrą wymianę zdań z terrierem znajdującym się w dużym, terenowym samochodzie, wobec czego Felicity zwróciła na ten samochód uwagę i obwieściła, że należy do Tony'ego Corkrana. W tej samej chwili z cukierni wyszła szczupła, jasnowłosa dziewczyna w tweedowym kostiumie, a tuż za nią młody mężczyzna.

- To Joan! - zawołała Felicity i popędziła na drugą stronę ulicy. Frank ruszył za nią niegodziwie zostawiając Wolfa, który miał jakieś plany względem sklepu mięsnego.

- Och, Frank, i co ty na to? - zwróciła się do niego Felicity, gdy podszedł bliżej. - Joan mówi, że ich kamerdyner został zamordowany! Aha, Joan, to jest mój kuzyn Frank Amberley. Frank mówi, że pana zna, panie Corkran. Ależ to niesłychana historia z tym Dawsonem!! Jak to się stało? To przerażające

- dodała zreflektowawszy się, że mówi o śmierci człowieka.

- Wasz kamerdyner? - zapytał Frank, gdy uwolnił rękę z wylewnego uścisku Corkrana. - Ach! Potworne, prawda?

- powiedział Anthony, ujmujący, prostolinijny młody człowiek.

- Chodzi mi o to, że dopiero co ten człowiek pytał „Czy będzie pan pił białe wino?”, a za chwilę zostaje zamordowany. Okropna sprawa, prawda? - spojrzał na dawnego szkolnego kolegę z respektem należnym Istotom Wyższym. - Wiem, że takie nieszczęsne wypadki dla was, adwokatów, to chleb powszedni. Ale to niemiłe. Zdecydowanie nieprzyjemna sprawa.

- Zdecydowanie - zgodził się Frank. Zmarszczył lekko brwi. Kuzynka zarzuciła mu brak odpowiedniego zainteresowania.

- Ależ nie, skądże - odpowiedział. - Jestem tym nadzwyczaj zainteresowany. Jak to się stało, panno Fountain?

- No, jeszcze niewiele wiadomo - powiedziała nieśmiało jasnowłosa dziewczyna. - Dawson miał wolne popołudnie, więc



pojechał gdzieś małym Austinem. Basil przeznaczył ten samochód dla służby, bo Norton Manor jest tak daleko od miasta, a nie kursują tu w pobliżu żadne autobusy. Nic nie wiedzieliśmy, dopóki późno wieczorem nie zjawiał się policjant, który powiedział Basilowi, że na drodze do Pittingly znaleziono zwłoki i zidentyfikowano je jako Dawsona. Został zastrzelony. To okropne. Był u nas od wieków i zupełnie nie mogę sobie wyobrazić, że ktoś mógłby chcieć go zabić. Basil okropnie się tym zmartwił.

- Był przywiązany do waszej rodziny?

- O tak! - powiedział Anthony. - Taki pełen godności służący starej daty. Przerażliwie uważający i pedantyczny. Bardzo ponury. - Joan wzdrygnęła się.

- To okropne. Tak mi przykro, że to się stało. To znaczy... tak naprawdę, to nie byliśmy aż tak bardzo przywiązani do Dawsona, bo wzięliśmy go razem z Collinsem, kiedy umarł wujek Jasper, ale tym niemniej to straszne. Mam wrażenie, że powinniśmy odwołać śródowną zabawę.

- Ależ, kochanie, nie możemy snuć się smętnie bez końca -zaoponował Anthony. - Wyznam szczerze, że twój brat zaczyna mi działać na nerwy. Stała się okropna rzecz, ale Dawson nie był przecież żadnym krewnym ani bliskim przyjacielem.

- Kochany, to nie o to chodzi - powiedziała Joan cierpliwie. - Cały czas usiłuję ci wytłumaczyć, co Basil odczuwa w stosunku do martwych rzeczy. On po prostu ich nie znosi. Upierasz się, żeby uważać go za nieczułego, gruboskórnego twardziela, bo na takiego wygląda. Ale on taki nie jest. I to właśnie jedna z cech charakteru, którą w nim lubię.

- Daj spokój, przecież on strzela i poluje, no nie? - wytknął jej Anthony.

- Tak, ale nie znosi przebywać w pobliżu śmierci. Założę się, że nigdy nie widziałeś, żeby wziął do ręki ustrzelone ptaki. Tylko nie wspominaj o tym, bo on by nie chciał, żeby ktoś o tym wiedział. Nie chciał nawet zakopać szczeniaków Jenny. Nigdy by ich nie dotknął.

- Tak czy owak uważam, że ta cała żałoba to lekka przesada  
- rzekł Corkran.

Joan milczała. Wyglądała na zmartwioną.

- Zastrzelenie kamerdynera nie wpływa dobrze na samopoczucie... - zaczęła  
Felicity, lecz przerwało jej jakieś zamieszanie na środku ulicy. - O mój Boże!  
Wolf! - zawołała.

Wolf, wyłoniwszy się ze sklepu mięsnego, napotkał na swej drodze  
bulteriera. Natychmiast poczuli do siebie wzajemną niechęć i po bardzo  
krótkim wstępie rozgorzała bitwa. Gdy Felicity się odezwała, jakaś  
dziewczyna rzuciła się w stronę psów i usiłowała chwycić bulteriera.  
Amberley podbiegł i złapał Wolfa za kark. Dziewczyna objęła rękami  
bulteriera za szyję i ścisnęła mocno.

- Niech pan trzyma swojego psa! - powiedziała dysząc ciężko. - Będę musiała  
przydusić Billa. To jedyny sposób.

Amberley spojrział na nią szybko, ale jej twarz była pochylona nad psami.  
Bulterierowi udało się chwycić Wolfa za gardło, lecz jego pani bezlitośnie  
ściskała mu tchawicę, więc musiał puścić. Amberley odciągnął Wolfa i  
przytrzymał go.

Dziewczyna przypięła smycz do obroży bulteriera i wreszcie uniosła głowę.

- To była wina pańskiego psa - zaczęła i urwała z przestraszeniem. Zbladła.

- To zazwyczaj jego wina - rzekł Frank spokojnie. - Ale pani psu chyba nic się  
nie stało.

Spuściła oczy.

- Nie - powiedziała i odeszłaby zaraz, gdyby nie zbliżyła się Felicity.

- Ojej, okropnie przepraszam! - zawołała Felicity. - Powinam trzymać go na  
smyczy. Mam nadzieję, że pani psu nic się nie stało?

Właścicielka bulteriera uśmiechnęła się trochę lekceważąco.

- Chyba raczej na odwrót.

Felicity przyglądała się jej z życzliwym zainteresowaniem.

- Czy pani przypadkiem nie mieszka w Ivy Cottage? - zapytała.  
- Wynajęliśmy z bratem ten dom, razem z meblami.  
- Długo tu zamierzacie zostać? Pani jest Shirley Brown, prawda? Ja jestem Felicity Matthews. A to mój kuzyn, Frank Amberley.  
Panna Brown skłoniła lekko głowę, ale nie spojrzała na Amberleya.  
- Już dawno chciałam panią poznać - uporczywie kontynuowała Felicity. - Strasznie się cieszę, że się poznałyśmy. W tym barbarzyńskim miejscu praktycznie nie ma młodych ludzi. Czy zna pani pannę Fountain?  
- Nie - potrząsnęła głową dziewczyna. - Niewiele wychodzę z domu. Mój... mój brat jest nienajlepszego zdrowia.  
- Och, to pech! - powiedziała ze współczuciem Felicity. - Joan, to jest panna Brown, która mieszka w Ivy Cottage.  
- Chciałbym zwrócić uwagę - wtrącił Frank - że tamujesz ruch.  
Felicity uświadomiła sobie, że jakiś oburzony kierowca wściekle naciska klakson. Pociągnęła na chodnik pannę Brown, która nie zdradzała wielkiej ochoty do rozmowy.  
- Słyszała pani? - zapytała Felicity. - Kamerdyner Fountainów został zamordowany! Czyż to nie okropne?  
- Nie, nie słyszałam. Jest pani pewna, że został zamordowany?  
- Widzi pani, strzelono mu w pierś - powiedział cicho Amberley. - Siedział za kierownicą Austina Seven.  
- Rozumiem - rzekła Shirley. Corkran był zaintrygowany.  
- Tak, to prawda. Ale skąd, u diabła, ty o tym wiesz?  
- To ja go znalazłem - odparł Amberley.  
Wzbudził sensację. Jedynie stojąca obok niego ciemnowłosa dziewczyna nie zdradzała ani zaskoczenia, ani niedowierzania. Była nieco spięta, ale wzrok, który przenosiła od wstrząśniętej

twarzy Joan na ożywioną twarz Felicity pozostał obojętny aż do granic znudzenia.

- Pomyślałem - powiedział Amberley przerywając grad pytań - że równie dobrze możecie się o tym dowiedzieć później jak i teraz.

- Ach tak? - powiedziała jadowicie Felicity. - No, dalej, mów jak to było! Rzucił jej kpiące spojrzenie.

- Zachowam moje zeznania dla śledztwa, złotko. Shirley Brown zeszywniała.

- Całą prawdę i tylko prawdę - powiedziała niby żartem.

- Widzę, że zna się pani na procedurze - zauważył Amberley. Odwzajemniła jego spojrzenie, ale nic nie odrzekła. Psy, które powarkowały cicho przez cały czas, nagle usiłowały rzucić się sobie do gardeł. Shirley okręciła smycz bulteriera wokół ręki i odsunęła się.

- Muszę już iść - powiedziała. - Mam jeszcze zakupy do zrobienia. Do widzenia.

- Dziwna dziewczyna! - zauważyła Joan odprowadzając wzrokiem oddalającą się Shirley.

- Czyja wiem? Wydała mi się dość sympatyczna - powiedziała Felicity. - Słuchajcie, nie możemy tu tak stać bez końca. Muszę jeszcze iść do Thompsona i do Crewetta. Joan, idziesz ze mną? Frank, na litość boską, trzymaj Wolfa. Za pięć minut będę z powrotem.

Pozostawieni samym sobie dwaj mężczyźni zaczęli się przechadzać ulicą.

- Wiesz, Amberley, w tym morderstwie jest coś cholernie dziwnego - odezwał się Anthony.

- No to nie rozgłaszaj tego całemu miastu - poradził najbardziej grubiański człowiek w Londynie.

- Tak, ale mówiąc serio. Dlaczego ktoś miałby strzelać do kamerdynera?

Uczciwy, poważny facet, który był w Manor diabli wiedzą ile lat. Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają. Chodzi mi o to, że zabijają różnych ludzi - gangsterów, ministrów i innych

takich, ale nie służących. Bo właśnie po co zabijać kamerdynera? Jaki w tym sens?

- Nie mam pojęcia - odparł niechętnie Frank.

- Nie ma żadnego sensu - oznajmił Anthony. — I dlatego cała ta sprawa wygląda tak podejrzanie. Coś ci powiem, Amberley - wszystko jest w porządku, dopóki czyta się o tajemnicach i zagadkach, ale w prawdziwym życiu - lepiej od nich jak najdalej.

- Postaram się.

- Tak - Anthony sposepniał nagle - ale gdybyś przebywał w Norton Manor, nie mógłbyś trzymać się od nich z daleka. W całym tym domu jest aż duszno od tajemniczości.

- Naprawdę? - zdziwił się Frank. - Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. To nic konkretnego, co można by wskazać palcem. Nic namacalnego, że się tak wyrażę. To tylko taka atmosfera. Po pierwsze jest tam Basil -zniżył głos konfidencjonalnie. -Tak między nami, to on jest trochę taki, jak... fałszywy banknot. Nie lubię go, jest jakiś taki dziwny. Gdyby nie chodziło o Joan, mówię ci, siłą byś mnie nie zatrzymał w Norton Manor.

- Z powodu tej tajemniczej atmosfery, czy z powodu gospodarza?

- Po trosze z jednego i z drugiego. Zauważ, że nie twierdzę, jakoby było coś nie tak z samym domem. To ci ludzie, którzy tam mieszkają. Jak mnóstwo kotów skradających się w ciemności. Słuchaj, nie powtarzaj tego, ale to prawda - cokolwiek byś robił, masz wrażenie, że ktoś cię obserwuje. Działa mi to trochę na nerwy.

- Ktoś cię obserwuje?

- Nie wiem. Wcale bym się nie zdziwił. Basil ma takiego lokaja, który nagle zjawia się nie wiadomo skąd. Jeszcze jeden relikwyt dawnych rządów. Gdyby on został zamordowany, wcale bym się nie uskarżał. Wstrętny typas według mnie. Joan też tak uważa, ale Basil go lubi.

- A tak a propos, co jest nie tak z Basilem? - spytał Frank.

- O&Ś nie tak? Ach, rozumiem, o co ci chodzi. Nie wiem. To taki facet, co gotów dla oszczędności wypić wodę z kąpieli.

Cholernie zrzędlawy i wścieka się o byle co. Joan przeżywa czasem ciężkie chwile. Pełen fałszywej radości życia. Wiesz - udaje takiego szczerego, serdecznego faceta, co to mówi do ciebie „stary” i klepie cię po plecach.

Frank skierował kciuk w dół pewnym dobrze znanym rzymskim gestem.

- Właśnie - zgodził się Corkran. - Wiedziałem, że odniesiesz takie same wrażenie. I jest jeszcze jedna rzecz...

Niestety, miało pozostać tajemnicą, co to była za rzecz, ponieważ w tej chwili wróciły dziewczęta. Joan Fountain skończyła zakupy i była gotowa do domu.

- Felicity obiecała wpaść po kolacji - powiedziała podając Amberleyowi rękę na pożegnanie. - Mam nadzieję, że pan także przyjdzie.

- Dziękuję, bardzo chętnie - odparł Amberley ku zdumieniu swej kuzynki.

Kiedy Joan i Corkran odjechali, Felicity wyraziła nadzieję, że Frank nie ma nic przeciwko wizycie w Norton Manor.

- Naprawdę musiałam przyjąć jej zaproszenie - wyjaśniła. - Od tego morderstwa najwyraźniej atmosfera zrobiła się okropna. Nerwy Basila są w strzępach czy coś w tym rodzaju, a Joan mówi, że brat czuje się lepiej, kiedy w domu są goście. Bardzo jesteś zły?

- Nie bardzo - odparł Frank.

Felicity rzuciła z ukosa przenikliwe spojrzenie na jego profil.

- Zdaje się, że miałeś ochotę tam pójść.

- Miałem - powiedział Amberley.

Gdy wrócili do Greythorne okazało się, że w salonie czeka inspektor policji w Carchester. Inspektor znał Amberleya już od dawna i nie zadał sobie najmniejszego trudu, by ukryć fakt, że go nie lubi. Zadał mu sporo pytań i prychał na odpowiedzi, które zapisywał w notesie. Poinformował Amberleya, że ma stawić się na przesłuchaniu następnego dnia o jedenastej rano i zebrał się do wyjścia. Na pożegnanie powiedział zupełnie niedwuznacznie, że nie spodziewa się, żeby po przesłuchaniu był zmuszony jeszcze niepokoić pana Amberleya w tej sprawie. Niechęć owa miała swoje usprawiedliwienie, bowiem kiedyś inspektor pracował nad pewną sprawą z panem Amberleyem, który wkroczył w nią zupełnie przypadkowo i już pozostał, a na koniec doprowadził do wyjątkowo zgrabnego wyroku skazującego. Inspektor nie lubił tej sprawy. Prawdę mówiąc, słyszano jak mówił, że nie chce pana Amberleya więcej na oczy oglądać.

Z szacunkiem dla niechęci sir Humphreya do takich tematów, w Greythorne nie rozmawiano o morderstwie. Po południu Frank grał z kuzynką w tenisa, a wieczorem pojechał z nią do Norton Manor, który znajdował się siedem mil na wschód od Upper Nettlefold, a około trzech od Greythorne.

Norton Manor pochodził z wczesnych lat osiemnastego wieku. Miał piękną fasadę z kamienia i starej, czerwonej cegły. Stał w niewielkim parku, przez który rzeka Nettle wiła się pod zwieszającymi się nad nią wierzbami.

Wewnątrz dom posiadał pokoje o doskonałych proporcjach, tak charakterystycznych dla ówczesnej epoki, urządzony był jednak w ciężkim stylu, co źle świadczyło o guście zmarłego pana Fountaina.

Amberley i jego kuzynkę wpuścił średniego wzrostu, milczący mężczyzna o wąskich, zaciśniętych wargach, który pełnił obowiązki nieżyjącego kamerdynera.

- Dobry wieczór, Collins - powiedziała Felicity wchodząc do hallu.

Na dźwięk tego nazwiska Amberley przyjrzał mu się szybko.

Kamerdyner w żadnym wypadku nie był godny uwagi. Miał chudą, niezdrową bladą twarz i dyskretnie spuszczone wzrok.

Felicity zaczęła rozprawiać na temat zamordowania Daw-sona. Mówiła ze współczuciem w głosie, że ponieważ pracował z nim przez kilka lat, to musi bardzo odczuwać jego stratę. Jej zapal ostudziła w końcu spokojna odpowiedź Collinsa.

- Bardzo pani uprzejma - powiedział. - Tak, to bardzo tragiczna sprawa, jak pani mówi. I naturalnie bardzo żałuję, że tak się stało. Ale nigdy nie żyliśmy z Dawsonem w wielkiej przyjaźni.

Podszedł do jednych z wielu drzwi w hallu; Felicity podążyła za nim. Czowała się tak, jakby dostała prztyczka w nos. Podała mu nazwisko kuzyna i przez moment spuszczone oczy uniosły się do twarzy Amberleya. Były to zimne oczy bez wyrazu, nieprzyjemne oczy człowieka pozbawionego skrupułów. Zaraz je znów spuścił, otworzył drzwi i zaanonsował przybyłych.

Joan z narzeczonym i potężny mężczyzna o przystojnym, pełnokrwistym obliczu siedzieli przy kominku. Amberley został przedstawiony potężnemu mężczyźnie i wytrzymał miążdzący uścisk dłoni. Basil Fountain hałaśliwie okazał zadowolenie z przybycia gości. Należał do ludzi promieniujących życzliwością. Amberley był w stanie zrozumieć niechęć Corkrana. Sposób bycia Fountaina był rzeczywiście serdeczny, lecz pod tą serdecznością kryła się jakaś drażliwość skłonna do wybuchu przy lada okazji. Krzątał się podając trunki, przysuwając fotele, żartując z Felicity, ale gdy jego przyrodnia siostra nie od razu usłuchała polecenia przyprowadzenia przyjaciółki bliżej kominka, odezwał się szorstko z nutą gniewu, który był równie niekontrolowany, co przelotny.



Po chwili już znów się uśmiechał.

- Zna pani Corkrana, prawda? - mówił. - Wkrótce będzie należał do rodziny, pewnie już pani wie -położył rękę na ramieniu Anthony'ego serdecznym gestem. Anthony nie zareagował.

Basil posiadał gościnną naturę. Namawiał gości do trunków, częstował cygarami i papierosami, przyniósł Felicity poduszkę. Dopiero gdy był absolutnie pewny, że wszystkim jest wygodnie, poruszył temat, który niezawodnie zaprzętała większą część jego uwagi.

- Jestem szczególnie zadowolony, że przyszedł pan dziś z Felicity - powiedział bez ogródek do Amberleya. - Jak rozumiem, to pan znalazł biednego Dawsona.

- Tak, ja go znalazłem, ale obawiam się, że niewiele mogę panu na ten temat powiedzieć - odparł Amberley.

Fountain obciął koniec cygara. Miał zafrasowaną minę; nagle wyglądał jak człowiek, który nie może przyjść do siebie po sennym koszmarze.

- Wiem - powiedział. - Został zastrzelony, prawda? Nikogo pan nie widział? Nic pan nie znalazł? Znaczący się, żadnej poszlaki?

- Nie - odparł Amberley. - Nic. Joan nachyliła się ku niemu.

- Proszę nam opowiedzieć, co pan widział - poprosiła. - Policja tak niewiele nam powiedziała, a w pewnym sensie czujemy się odpowiedzialni, bo przecież był naszym służącym.

- Tak, powiedz nam wszystko, co możesz - przyłączył się do narzeczonej Anthony. - A potem skończymy już z tym tematem.

Uśmiechnął się do Joan.

- Kochanie, nie ma sensu tak się martwić. Lepiej w ogóle o tym nie myśleć. Fountain spojrział na niego z nagłym zniecierpliwieniem.

- Niełatwo zapomnieć o tym, że zamordowano własnego służącego - powiedział. - Bierzesz to bardzo lekko, ale to nie był twój służący. To przerażające, co się zdarzyło. - Zadrżał. - Nie mogę przestać o tym myśleć. Żeby tak z zimną krwią zabić człowieka.

Poczuł na sobie wzrok Amberleya i spojrzał na niego. - Myśli pan, że za bardzo się tym przejmuję? Może i tak. Nie zaprzeczam, że bardzo mnie to rozstroiło.

Potań zapałkę i przyłożył ją do cygara; płomień drżał.

- Nie mogę zrozumieć, co się stało - ciągnął drżącym głosem.

- Policja mówiła coś o bandytach grasujących na drogach. Czy Dawson został obrabowany?

Corkran zerkając z ukosa na bladą, spiętą twarz Joan uznał, że należy całą sprawę zbagatelizować.

- Obrabowany? Naturalnie, że został obrabowany. Założę się, że okaże się, iż wyniósł wam z domu srebra. Słuchajcie, skąd bierze się ten cholerny przeciąg?

Rozejrzał się i zobaczył, że drzwi są niedomknięte. Zrobił ruch jakby chciał wstać, ale Fountain był szybszy.

- Zostaw, ja zamknę - powiedział i ciężkim krokiem podszedł do drzwi. Zanim je zamknął, wyjrzał do hallu. Widząc to Anthony powiedział, że pewnie ten Collins buszuje po domu jak zwykle.

Fountain wyglądał na zirytowanego, ale potrząsnął głową przecząco.

- Nie. Ale lepiej rozmawiajmy trochę ciszej. Służba aż się trzęsie z ciekawości, to naturalne - spojrzał na Amberleya.

- Trudno się dziwić.

- Uważam - powiedział powoli, z namysłem Amberley - ie należałoby dać nauczkę służącemu, którego się przyłapie na podsłuchiwanie przez dziurkę od klucza.

- To Corkran tak twierdzi - rzekł Fountain ze ałoseią. - To czysty wymysł! Nie bronię Collinsa, ale... - urwał i powracając nagle do swojej poprzedniej jowialności zaczął mówić o zbliżającym się balu.

Drzwi otworzyły się cicho i wszedł lokaj z trunkami na tacy. Razem z nim w pokoju zjawił się jakiś ehlód i poczucie skrępowania. Głos Fountaina brzmiał wymuszenie, w śmiechu Joan dźwięczała nerwowa nuta. Lokaj bezszelestnie przeszedł po wełnianym dywanie i postawił tacę na stole pod ścianą. Potem

wyszedł, tak samo cicho jak się pojawił. Amberley zauważył, że zamknął za sobą drzwi ze spokojną stanowczością. Spojrzał na Fountaina.

- Nie lubi pan go, co? - powiedział wprost.

Pozostali okazali niejakie zdziwienie na to bezceremonialne pytanie.

Fountain odwzajemnił spojrzenie i uśmiech zamarł mu na ustach. Potrząsnął głową.

- Nie, nie za bardzo. Zwolniłbym go, ale wuj życzył sobie, żebym go zatrzymał.

- Czy wie pan coś na temat jakiejś wrogości pomiędzy nim a Dawsonem?

- Nie. Zdaje się, że nie byli w najlepszych stosunkach, ale nigdy nic nie zauważyłem.

- Chyba nie sądzi pan, że... Collins miał z tym coś wspólnego? - odezwała się Joan.

- Nie, panno Fountain. Po prostu chciałem wiedzieć.

- Nie mógł mieć z tym nic wspólnego - rzekł Fountain. - Tak się składa, że był tutaj w czasie popełnienia morderstwa.

- Jest pan tego zupełnie pewien, jak sądzę? - powiedział Amberley.

Fountain roześmiał się.

- Niestety, tak. Collins wygląda jak typowy czarny charakter, prawda? Ale chyba nie powinienem żartować na ten temat. Miał pan nam opowiedzieć jak znalazł pan zwłoki Dawsona.

Relacja Amberleya - jak poskarżyła się jego kuzynka - nie grzeszyła sensacyjnością. Była zwięzła, a nawet trochę nudna. Nie podkreślał żadnych szczegółów, nie wysuwał żadnych teorii. Przez cały czas świadom był przykłej atmosfery niepokoju, której powodem nie była ani słuchająca ze szczerym podnieceniem Felicity, ani Corkran, który siedział z nieco lekceważącą miną. Joan jednakże utkwiała w nim przerażone spojrzenie, a Fountain, zniecierpliwiony uwagami wtrącanymi przez Anthony'ego słuchał z takim przejęciem, że zapomniał o cygarze i długi popiół spadł na podłogę. Patrząc na niego nie miało się wątpliwości, że jest szczerze zmartwiony i przejęty morderstwem. Chciał usłyszeć

wszystko, co wiedział Amberley, zwłaszcza nalegał na odpowiedź na pytanie „Czy jest pan pewien, że nie minął pan nikogo na drodze?”.

Opowieść Amberleya pozbawiona wszelkich dekoracyjnych szczegółów nie trwała długo. Gdy skończył nastąpiła długa cisza którą w końcu przerwał Corkran. Zaproponował wesoło, żeby we trójkę - on, Fountain i Amberley - zagraли w golfa następnego dnia po południu, aby zatrzeć nieprzyjemną atmosferę, jaką na pewno pozostawi po sobie dochodzenie.

Fountain nie miał ochoty na grę w golfa, czemu dał wyraz potrząsając przecząco głową.

- Zagrajcie we dwóch. Ja będę musiał jechać do Londynu.

- Do Londynu? Po co? - zdziwiła się Joan.

- Muszę zatrudnić nowego kamerdynera - odparł krótko. - Dzwoniłem dziś do Agencji Fincha. Obawiam się, że sprawa może nie być łatwa. Służący nie lubią pracować w takich odległych miejscach. No i jeszcze do tego ta okropna sprawa morderstwa. To ich odstrasza. I nic dziwnego.

- O Boże, czy to znaczy, że ten Collins będzie się snuł po domu bez końca? - jęknął Corkran.

- Muszę kogoś zdobyć. To nie jest zajęcie dla Collinsa, a i on tego nie lubi.

Fountain spostrzegł, że cygaro zgasło, więc je wyrzucił. Z trudem otrząsnął się z wyraźnego przygnębienia i wstał proponując partię bilardu.

Zaprowadził ich do sali bilardowej. Odzyskał już swój zwykły sposób bycia, nie było też więcej żadnej wzmianki na temat morderstwa. Jednak pomimo jego wesołości, pomimo beztroskich żartów Corkrana, Amberley był świadom nieuchwytnego poczucia dziwnego skrępowania czy niepokoju, jakie zdawało się wisieć nad całym domem, a które Anthony próbował bezskutecznie opisać podczas ich rozmowy w miasteczku.

Nie żałował więc, gdy wizyta dobiegła końca. Jednakże wieczór ten, choć niezbyt przyjemny, dał mu sporo do myślenia. Przeklinał się w duchu za swoją pochopną, nieroztropną don-

kiszoterię w osłanianiu poprzez swe milczenie - dziewczyny, którą zastał przy samochodzie zamordowanego.

To nie ona strzelała, o tym był przekonany. Lecz jej obecność w tym miejscu nie była przypadkowa, a także jej zdenerwowanie (o tym też był przekonany) nie wynikało tylko i wyłącznie z faktu znalezienia ciała Dawsona. Odniósł wrażenie, że doznała nie tyle szoku, co gorzkiego rozczarowania.

Sprawa wyglądała interesująco. A więc była dziewczyna, która najwyraźniej miała spotkać się z kamerdynerem; był Fountain, wstrząśnięty morderstwem, wyraźnie pełen lęku; była też Joan, przerażona, bojąca się domu, bojąca się lokaja; był wreszcie Collins, beznamiętny, a jednak w jakiś sposób złowieszczy, podsłuchujący pod drzwiami, pragnący tak samo jak jego chlebodawca usłyszeć wszystko, bo Amberley miał do powiedzenia. Nie ma w tym nic dziwnego, upomniał się w myślach Amberley. Dlaczego nie mieliby chcieć poznać wszystkich szczegółów? A jednak mógłby przysiąc, że coś się za tym kryło, coś mrocznego, coś, co trudno będzie odsłonić.

Postanowił sprawdzić przeszłość Dawsona. Nie spodziewał się, aby podczas rozprawy dochodzeniowej coś wyszło na jaw. Kamerdyner miał jakiś sekret, ktoś znał klucz do tego sekretu, ale co to był za sekret i kto miał klucz - pozostawało zagadką, której rozwiązanie będzie wymagało wiele zachodu. Nie mylił się. Rozprawa dochodzeniowa zwabiła tłumy łowców sensacji, którzy jednak nie usłyszeli nic, co by ich zainteresowało. Lekarz sądowy i ekspert od broni byli świadkami nudnymi, a świadek, z którym wiązano największe nadzieje - Amberley - rozczarował wszystkich składając zeznania w sposób suchy i nadzwyczaj zwięzły. Nikt nie wystąpił z jakimś wstrząsającym odkryciem; nikt nie znał żadnych sekretów z życia Dawsona i nikt nie słyszał o żadnej osobie, której mogłoby zależeć na usunięciu kamerdynera. Werdykt przysięgłych brzmiał: morderstwo popełnione przez sprawcę lub sprawców nieznanymi. I na tym rozprawa się zakończyła.

- Prawdę mówiąc - powiedział potem do Amberleya sierżant Gubbins - cała ta sprawa jest podejrzana. A wie pan dlaczego?
- Widzę kilka powodów, ale proszę bardzo, niech mi pan powie dlaczego.
- Bo nic ma w niej nic podejrzanego - powiedział sierżant tajemniczo. Amberley obrzucił go nieprzenikniętym spojrzeniem.
- Powinien pan daleko zajść, sierżancie. Jeśli szczęście panu dopisze.
- No, wie pan, nie powinienem tak sam o sobie mówić, ale nie powiem, że się z panem nie zgadzam - odrzekł sierżant bardzo zadowolony.
- Ale będzie pan bardzo dużo tego szczęścia potrzebował - dodał uprzejmie Amberley.

Sierżant spojrział na niego podejrzliwie i przez chwilę w milczeniu zastanawiał się nad tą uwagą.

- Wcale się nie dziwię - powiedział z urazą w głosie, gdy już rozważył starannie słowa Amberleya - że, jak mówią, ma pan wielu wrogów. Nie obrażam się, skądże, bo wiem, że pan sobie w ten sposób żartuje. Ale wielu ludziom nie podoba się sposób, w jaki pan mówi różne rzeczy. Gdybym pana nie znał tak dobrze, to bym nigdy nie powiedział tego, co powiem. Ale odpowiedział nam pan to i owo w sprawie tego napadu, kiedy był pan tu poprzednio i otwarcie to przyznaję.
  - Tak, trochę naknóciliście z tamtą sprawą, prawda? - rzekł Amberley. - Zdaje się, że nadal macie w Carchester tego inspektora-bęcwała?
- Sierżant wyszczerzył zęby w uśmiechu.
- Niedługo dostanie awans. A może i ja też.
  - Za co? - zainteresował się Amberley.
  - Za rozwiązanie morderstwa Dawsona.
  - Ach tak! No to w takim razie nie będę zabierał panu czasu. Niech pan biegnie i rozwiązuje.
  - Właśnie o to chodzi. Pomyślałem sobie, że skoro umie pan odpowiedzieć od czasu do czasu to i owo, że się tak wyrażę, i że

to takie pana hobby... no, pomyślałem sobie, że nic się nie stanie jak panu powiem, co nas w tej sprawie intryguje.

- Pewnie, że nic się nie stanie - zgodził się Amberley. - Ale jeśli wyobraża pan sobie, że chcę się bawić w detektywa-amato-ra...

- Ach nie, skądże. Chociaż muszę powiedzieć, że kiedy pan odkrył, że to Bilton miał te diamenty, to pomyślałem sobie, że marnuje się pan w swoim zawodzie. No oczywiście, tak się złożyło, że był pan obecny na miejscu, kiedy dokonano kradzieży i w tym miał pan nad nami przewagę. Ale i tak uważam, że odwalił pan ładną robotę i wszyscy byliśmy panu za to wdzięczni, bo o mały włos musielibyśmy wezwać do pomocy Scotland Yard.

- Zupełnie tak jak i teraz - pokiwał głową Amberley.

- Trafił pan w sedno - powiedział sierżant. - To przez tego komisarza okręgowego. On jest taki... no, można powiedzieć - trochę bojaźliwy. No więc, kiedy powiedziałem, że w tej sprawie nie ma nic podejrzanego, to chodziło mi o to, że na pozór wszystko jest w porządku. O Dawsonie nie można powiedzieć nic złego. Od lat służył w Norton Manor, żadnych tajemnic, żadnych wrogów, żadnych kobiet. No, to nie jest normalne. Niech mi pan wierzy, Amberley, kiedy ktoś zostaje zamordowany, to zawsze się za tym coś kryje i na pewno gość miał na sumieniu jakieś ciemne sprawy. Oczywiście pomijam przypadki, kiedy ofiarą morderstwa pada kobieta. A w tej sprawie tylko jedna rzecz jest trochę podejrzana.

- Czy nosi pan okulary? - zapytał nagle Amberley.

- Ja? Nie.

- A powinien pan.

- Ależ skąd! Widzę tak samo dobrze jak wtedy, kiedy miałem dwa lata.

- Właśnie to miałem na myśli. Niech pan mówi dalej.

- Za diabła nie wiem, o co panu chodzi - wyznał otwarcie sierżant. - No więc tą podejrzaną rzeczą są pieniądze, które Dawson odłożył. Wszystkie dostaje jego siostra. To wdowa, mieszka w Londynie. Dawson nie sporządził testamentu, więc ona dziedziczy. A zdaje się, że to ładna sumka.

- Zawsze podejrzewałem, że lokaje dorabiają sobie na boku.
  - Niektórzy dorabiają, niektórzy nie. Ale nigdy nie słyszałem, żeby któryś uciułał tyle, co Dawson. O ile wiemy, odłożył sobie jakieś parę tysięcy. W różnych miejscach. I co pan na to powie?
  - W jakich miejscach?
  - W Pocztowym Banku Oszczędnościowym, potem w bonach pożyczki wojennej, to znaczy w War Loan Certificates, i w banku w Carchester. Wydaje mi się to dziwne. Inspektor nie przywiązuje do tego wagi. Pewnie, ludziom przychodzą do głowy różne pomysły, jeśli idzie o umieszczenie pieniędzy w różnych miejscach. Ale ja chciałbym wiedzieć skąd Dawson miał aż tyle. Stale wpłacał jakieś pieniądze.
  - Ile jednorazowo?
  - No, nie były to duże sumy, ale ciągle. Mógłbym podać panu dokładne liczby.
  - Dobrze. Albo nie. Lepiej nie.
  - Pułkownik Watson nie miałby nic przeciwko temu, jeśli o to panu chodzi. Przecież nie chcę powiedzieć tego byle komu, a panu, jeśli pan mnie rozumie.
- Na twarzy Amberleya pojawił się ponury uśmiech.
- Tylko pytanie, sierżancie, czy jestem po waszej stronie?
  - Słucham?
  - Nie jestem pewien czy jestem po waszej stronie - wyjaśnił Amberley. - Dam panu znać, kiedy wszystko przemyślę. A tymczasem muszę coś zjeść. Udanego polowania!
- Odszedł, a sierżant odprowadził go ośłupiałym spojrzeniem, drapiąc się po głowie w zamyśleniu. W takim stanie zastał go komisarz okręgowy, pułkownik Watson, gdy wyszedł pośpiesznie z sali rozpraw.
- Sierżancie, czy pan Amberley już poszedł? Pytanie pułkownika wyrwało sierżanta z zadumy.
  - Dopiero co odszedł, panie pułkowniku. Był w jednym z tych swoich dziwacznych nastrojów.
  - Ach, rozmawiał pan z nim, co? To wbrew regulaminowi, sierżancie, zupełnie nieprzepisowe. Przypuszczam, że pan Amberley nie rzucił więcej światła na tę sprawę niż przed sądem, co?



- Nie. Pan Amberley odszedł wielce zadowolony z siebie - westchnął ciężko sierżant.

W Greythorne jedynie Felicity wykazała większe zainteresowanie wynikami dochodzenia u koronera. Sir Humphrey, chociaż był sędzią pokoju, dezaprobował wprowadzanie podobnych tematów pod dach rodziny, a lady Matthews już dawno zapomniała, o co w ogóle w tej sprawie chodziło. Natomiast poczciwy Corkran, którego Amberley po południu spotkał w klubie, był aż nadto chętny do rozmowy na ten temat. Był w sądzie razem z Fountainami i wyrażał się z niezadowoleniem o wyniku dochodzenia.

- I to już koniec? - pytał. - Czy to znaczy, że już nic więcej nie zostanie zrobione?

- Ależ skąd, jest jeszcze wiele do zrobienia. Na przykład trzeba znaleźć mordercę. Słuchaj, chcę cię zapytać o mnóstwo rzeczy, ale najpierw chcę rozegrać partię golfa. Co ty na to?

- Jak najbardziej - zapewnił Anthony. - Może rozwiążesz zagadkę podczas gry, co?

Pole golfowe było długie, ze sporą ilością trudnych miejsc. Corkran pouczał kolegę, że koniecznie trzeba utrzymać prosty kierunek, po czym pierwsze uderzenie posłał w lewo, w kępę krzaków janowca.

- Dzięki, Anthony - rzekł Amberley. - Zawsze praktyczny przykład jest lepszy od teorii.

Było już po piątej, kiedy skończyli partię i światło stało się już bardzo złe.

Budynek klubu zdążył już opustoszeć - jak zwykle

o tej porze w dzień powszedni - toteż bez trudu znaleźli spokojny kąt. Przy pierwszym piwie Anthony nie mówił o niczym innym jak tylko o swojej tendencji kierowania piłek w lewo, ozdabiając opowiadanie anegdotami o podobnych przypadkach na połowie pól golfowych w Anglii. Zamilkł dopiero wtedy, gdy przeprowadził Amberleya od pola w Sandwich poprzez

Wentworth

1 Hoylake do St. Andrews.

Amberley pozwolił mu przez kilka minut podumać nad rozegraną właśnie partią, a sam zamówił kolejne piwa. Gdy

otrzymali zamówione piwo Anthony wyrwał się z zamyślenia i z własnej woli porzucił temat golfa.

- No a co z tym morderstwem? - zapytał.

- Niewiele. W tym cały kłopot. Czego boi się Basil?

- Aha, zauważyłeś, co? Do diabła, nie mam pojęcia. Przyjemna atmosfera w tym domu, nie? Im prędzej zabiorę stamtąd Joan, tym lepiej.

- A właśnie, kiedy ślub?

- W przyszłym miesiącu. Wygląda na to, że utknąłem tam na dobre aż do tego czasu. Miałem wracać do domu po tej maskaradzie przebierańców... Słuchaj, dlaczego kobiety tracą cały zdrowy rozsądek kiedy przychodzi do doboru kostiumu? Nawet Joan zupełnie straciła rozum w tym względzie. Pytam cię, Amberley, czyja wyglądam jak jakiś głupek, który będzie dobrze wyglądał przebrany za Fausta?

Frank potrząsnął głową przecząco.

- Pewnie, że nie wyglądam - ciągnął Corkran. - Zabawa może być, ale po co te kostiumy? No dobra, ale nie o tym chciałem mówić. No więc utknąłem w Norton Manor na dobre, jak mówiłem. Miałem zamiar wyjechać w czwartek, ale - nie mówiąc już o tym, że Joan chce, żebym został dłużej - bardzo też chce tego Basil.

- Tak mu odpowiada twoje towarzystwo czy ma pietra?

- Ma pietra - stwierdził z przekonaniem Corkran. - Jest przeszyty strachem na wylot i jeden Pan Bóg wie z jakiego powodu. Jedyne co wiem to to, że nie chce zostać sam w Norton Manor. Boi się tak od czasu zamordowania Dawsona.

- Wiesz o nim coś bliższego?

- Nie, niewiele. Wiesz - dobra rodzina, prywatne szkoły i tak dalej. Zdaje się, że zawsze nieźle mu się powodziło z racji tego, że stary Fountain uczynił go swoim spadkobiercą. Naturalnie dowiedziałem się co nieco z rozmów z Joan. O ile się orientuję, Basil wiódł wygodne życie, bez długów, rozpusty czy hulanki. Zwyczajny, dobroduszny facet, wiesz, taki co lubi proste przyjemności i sporty. Strzela, trochę poluje, zdaje się, że nieźle gra

w krykieta. Uwielbia wszelkie sporty na wolnym powietrzu. Jest końskiego zdrowia. Zmuszał mnie do kąpieli morskich przed śniadaniem, jak byłem z nim w Littlehaven. Ma tam domek

- całkiem przyzwoity, gdyby nie ta cholerna łódź.

- Co za cholerna łódź?

- Motorówka. Według Basila można nią przepłynąć przez Kanał La Manche bez choroby morskiej. Pewnie twierdził tak dlatego, że nigdy nie przepływał Kanału ze mną na pokładzie.

- Nienajlepszy z ciebie marynarz? - roześmiał się Amberley.

- Najgorszy na świecie - przyznał Corkran. - Jak dla mnie, to każdy może sobie mieć super łódź. Joan jest tego samego zdania. Ona ma gdzieś tę jego łódź, co wkurza Basila. Wiesz, oni niezbyt dobrze się ze sobą zgadzają.

Chociaż według Joan wszystko było całkiem dobrze, dopóki nie umarł stary Fountain. Ona przysięga, że to ma coś wspólnego z tym domiszczem.

Prawdą jest, że nie lubi tego domu, więc wbiła sobie do głowy, że jest w nim coś niedobrego. No i na domiar złego jeszcze ten Collins.

- Tak, dość mnie ciekawi ten Collins - powiedział Amberley.

- Czy on i Dawson byli jedynymi, którzy pozostali w Norton Manor po dawnych rządach?

- Na Boga, nie! Praktycznie cała służba jest ta sama. Gospodyni, która jest tam od początków świata, kucharka, dwóch ogrodników i cała gromada różnych kucht, ale co do nich to nie jestem pewien, mogli się zmienić od czasu, gdy stary Fountain kopnął w kalendarz. Ale ci najważniejsi zostali na miejscu na pewno. Basil nie był dla nich obcy. Stary Jasper bardzo go lubił, często zapraszał go na dłużej. Więc wszyscy go znali i chyba lubili. Mówię ci, nie ma w ogóle żadnego punktu zaczepienia.

- Zaczynam myśleć, że jest coś w tym, co powiedział sierżant

- zauważył Amberley. - Podejrzana sprawa. W sam raz na wakacje.

- Jeśli będzie ci potrzebny doktor Watson, to nie zapomnij o mnie, dobrze? - rzekł Corkran. - A propos Watsona, pamiętasz

Freddy'ego Holmesa? Tego piegowatego ze szkolenia wojskowego?

- W Merrit's House? Tak, pamiętam go. A co?

- Opowiem ci - rzekł Corkran i przysunął się z krzesłem bliżej.

Od tej chwili rozmowa przestała mieć cokolwiek wspólnego z morderstwem, a stała się wymianą wspomnień z lat szkolnych. Trwała godzinę, a mogłaby trwać i trzy, gdyby wzrok Corkrana przypadkiem nie padł na zegar. Pożegnał się czym prędzej i popędził, jako że obiecał odebrać narzeczoną z proszonej herbatki przynajmniej pół godziny temu.

Amberley poszedł w jego ślady, choć nie w takim pośpiechu. Wsiadł do Bentleya i pojechał do Upper Nettlefold kupić tytoń. Po wyjściu ze sklepu zobaczył, że ktoś zainteresował się jego samochodem. Ciemnowłosy chłopak w szarych, sportowych spodniach, swetrze polo i tweedowej marynarce opierał się o Bentleya i z namaszczeniem przyglądał się tablicy rozdzielczej. Był bez nakrycia głowy i kosmyk czarnych włosów opadał mu na czoło.

Amberley przystanął przed sklepem i zaczął powoli nabijać fajkę przyglądając się w zamyśleniu młodemu człowiekowi.

Młodzieniec nie przestawał opierać się ciężko na samochodzie.

- Czy mogę coś dla pana zrobić? - zapytał Amberley. Chłopak odwrócił potarganą głowę.

- Nikt nie musi nic... dla mnie robić - powiedział.

- To dobrze. Czy ma pan coś przeciwko temu, że zabiorę stąd ten samochód? Młodzieniec nie zwrócił uwagi na jego słowa.

- Wie pan, co robiłem?

- Tak - odparł Amberley szczerze.

- Ja... byłem... piłem... herbatkę z... jednym facetem - obwieścił młodzian.

- Mocna była ta herbatka. Na pańskim miejscu poszedłbym do domu.

- Właśnie... to miałem zrobić -powiedział młodzieniec. -T... to f... facet, którego poznałem... p... parę dni temu. T... to sympatyczny f... facet. Nie obchodzi mnie co mówią, to miły facet... facet. Shirley... Shirley go nie lubi. A ja mówię, że... to chorel... cholerna sznobia... snobia. Tak mówię. Na twarzy Amberleya w miejsce nieco lekceważącego rozbawienia pojawiło się nagłe zainteresowanie.

- Shirley - powtórzył.

- Tak - skinął głową młodzieniec. Spojrzał na Amberleya zamglonym wzrokiem, ale minę miał nieco przebiegłą. - To moja siostra.

- Jeśli wsiądzie pan do samochodu, to odwiozę pana do niej. Młodzieniec zmrużył oczy.

- Kim pan jest? - zapytał. - Nic... nic panu nie powiem. Rozumie pan?

- W porządku - rzekł ugodowo Amberley. Z trudem udało mu się wpełznąć go do samochodu.

Nie należał do łatwych pasażerów. Wszystko szło dobrze dopóki bełkotał coś bez związku, ale kiedy po raz drugi zgasił silnik, Amberley o mało nie wyszedł z siebie.

Mark skulił się ze strachu widząc jego wściekłą minę i chciał wysiąść. Nagle opętała go myśl, że został uprowadzony. Z niemałym trudem Amberley zdołał rozproszyć jego obawy, po czym Mark zaczął mówić o morderstwie. Niewiele było sensu w tym, co mówił, a Amberley nie naciskał, by mówił jaśniej. Kilka razy powtórzył, że nikt z niego nic nie wyciągnie, bredził coś o ukrytych niebezpieczeństwach i tajemniczych spiskach. Głośno zapewnił, że jeśli jeszcze ktoś zostanie zamordowany, to na pewno nie będzie to on. Gdy Amberley skręcił w aleję prowadzącą do Ivo Cottage, nagle chwycił go za rękaw.

- Nic sądziłem, że to prawda - powiedział z przejęciem. Shirley tak myślała, a ja nie. Mówiłem, że to jakieś oszustwo.

Ale to nie oszustwo, teraz to widzę. Muszę uważać. Z nikim nie rozmawiać. Nic nie wygadać.

- Też bym uważał - powiedział Amberley zatrzymując samochód przed furtką. Wsiadł i ruszył ścieżką w stronę wejścia. Zapukał, usłyszał szczekanie psa i za kilka minut stał twarzą w twarz z Shirley Brown. Najwyraźniej była zaskoczona jego widokiem, choć starała się to ukryć.

- Czy mogę zapytać czego pan chce? - spytała szorstko. Amberley nie tracił czasu na delikatne eufemizmy.

- Chcę się pozbyć tego cholernie dokuczliwego faceta - powiedział. - Przywiozłem pani brata do domu. Jest nadzwyczaj pijany.

- O Boże, znowu! - powiedziała znużonym głosem. - Dobrze, już idę - spojrzała mu w oczy. - To miło, że zadał pan sobie tyle trudu. Dziękuję.

- Proszę zostać - powstrzymał ją Amberley. - Przyprowadzę go.

Wrócił do samochodu i otworzył drzwi.

- Siostra na pana czeka.

Mark pozwolił się wyprowadzić z samochodu.

- Chyba nie powiedziałem czegoś, czego nie powinienem, co? - zapytał niespokojnie. - Niech pan jej powie, że nie powiedziałem.

- Dobrze.

Amberley pokierował jego niepewnymi krokami. Shirley przyjrzała mu się od góry do dołu.

- Lepiej idź spać - powiedziała. Wzięła go pod ramię i skinęła głową Amberleyowi. - Dzięki. Do widzenia.

- Wejść - powiedział.

- Nie, dziękuję. Sama sobie z nim poradzę.

- Tym niemniej wejść - powtórzył. Odsunął ją bezceremonialnie i wprowadził Marka do środka, a potem po wąskich schodach na górę. - Który pokój? - rzucił przez ramię.

Stała u stóp schodów marszcząc brwi.

- Na lewo.

Kiedy kilka minut później zszedł na dół, stała nadal w tym samym miejscu.

- To bardzo uprzejmie, że zadał pan sobie tyle trudu, ale wolałabym, żeby teraz pan już poszedł.

- Nie dziwię się. Gdzie się pani nauczyła tych pięknych manier?

- A pan gdzie nauczył się swoich? - odpaliła.

- Wie pani, uważam, że traktuję panią z dużą dozą cierpliwości - powiedział.

- Czy kiedy była pani dzieckiem, ktoś dał pani porządnego klapsa?

W jej oczach pojawił się mimowolny uśmiech.

- Często. Bardzo dziękuję za przywiezienie brata do domu. Jestem panu ogromnie wdzięczna i bardzo żałuję, że nie mogę poprosić, by pan został, ale niestety jestem teraz bardzo zajęta. Jak się panu to podoba?

- Wolę pierwotną wersję. Może mnie pani zaprosić do salonu.

- Bez wątpienia. Ale nie zamierzam tego zrobić.

- Więc nie będą czekał na zaproszenie - powiedział i wszedł do pokoju.

Podążyła za nim, na poły zła, na poły rozbawiona.

- Proszę posłuchać, przyznaję, że jestem winna panu wdzięczność za to, że tamtego wieczoru oszczędził mi pan kłopotów. Ale to nie daje panu prawa narzucania mi swojej obecności. Proszę odejść. Dlaczego tak bardzo dąży pan do zacieśnienia naszej znajomości?

Spojrzał na nią kpiąco.

- Wcale nie dążę. Tylko interesuje mnie to morderstwo.

- O którym nic nie wiem.

- Proszę bardzo, niech pani kłamie - powiedział nieprzyjemnym tonem. - Ale proszę wybrać jakieś lepsze kłamstwo. Gdyby miała pani trochę rozumu przestałaby pani być taka tajemnicza i powiedziała, co tu jest grane.

- Czyżby? - uniosła brwi. - A czemuż to?

- Ponieważ pani niezwykła niechęć, żeby zachowywać się normalnie szybko mnie przekonuje, że coś pani knuje. Nie lubię tych, co łamią prawo i mam szczerzy zamiar odkrycia pani gry.
  - Będzie pan bardzo mądry i sprytny, jeśli pan to odkryje
  - odparła.
  - Prawdopodobnie przekona się pani, moja nierozważna, młoda przyjaciółko, że jestem znacznie mądrzejszy i sprytniejszy niż wszyscy ci, z którymi miała pani do czynienia.
  - Dziękuję za ostrzeżenie. Ale nie gram w żadną grę i wcale nie jestem tajemnicza.
  - Zapomina pani, że spędziłem pół godziny w pouczającym towarzystwie pani braciszka.
- Spokój ją opuścił.
- Więc wypytywał pan pijanego chłopaka, tak? - krzyknęła.
  - Co za nędzny, podły chwyt!
  - To już lepiej - powiedział. - Nareszcie do czegoś dochodzimy.
  - Co on panu powiedział? - zapytała tonem żądania.
  - Nic, co miałoby jakikolwiek sens. I choć może wyda się to pani zaskakujące, powstrzymałem się od wypytywania pijanego chłopaka. Pohamowałem się też przed udawaniem - w celu nakłonienia pani do mówienia - że wiem coś, czego nie wiem.
- Spojrzała na niego zaintrygowana.
- Tak. A może powie mi pan dlaczego?
  - Ze zwykłej przyzwoitości - rzekł Amberley.
  - Mark gada od rzeczy, kiedy się upije - powiedziała. Przyjrzała mu się uważnie. - ciekawe, co pan o mnie myśli
  - uśmiechnęła się nieszczercze.
  - Naprawdę chce pani wiedzieć? Skoro tak, to powiem. Jest z pani wstrętna, mała idiotka.
  - Dzięki. A nie morderczyni przypadkiem?
  - Gdybym sądził, że jest pani morderczynią, nie stałaby pani tutaj, panno Shirley Brown. Gra pani w jakąś grę, która jest prawdopodobnie niemądra, a na pewno niebezpieczna. Jeśli



będzie pani wypuszczać brata samego, to bardzo szybko znajdzie się pani w celi. Jako współnik on jest do niczego.

- Możliwe - powiedziała. - Ale nie chcę innego. Jestem zwolenniczką działania w pojedynkę.

- Świetnie! Więc mówię - au revoir!

- O Boże, więc jeszcze będę pana widywać? - zapytała.

- Będzie mnie pani widywać o wiele częściej niż by sobie pani życzyła - zapewnił ją poważnym głosem.

- To już nastąpiło - zapewniła go niezwykle słodkim głosem. Podszedł do drzwi i odwrócił się jeszcze.

- Więc cierpimy oboje - powiedział i wyszedł. Nieoczekiwanie roześmiała się. Pobiegła za nim do progu.

- Drań z pana! - zawołała. - Ale chyba pana polubiłam. Amberley obejrzał się przez ramię.

- Szkoda, że nie mogę odwzajemnić komplementu - odrzekł - ale uczciwość nakazuje mi powiedzieć, że ja pani ani trochę nie lubię. Do zobaczenia!

4

- To dziwne, jak zwykły skrawek czarnego aksamitu zmienia ludzi - zauważył Corkran krytycznym okiem obserwując przesuwaną się tłum. - Już popełniłem trzy gafy.

Amberley swoją maseczkę trzymał niedbale w ręku za sznurki.

- Zawsze można poznać po głosie.

- Nie zawsze. Do diabła!

- Co się stało teraz?

- Znow ten przeklęty miecz - powiedział Faust z odrazą i poprawił go szarpnięciem. - Nie mogę z nim tańczyć, nie mogę kroku zrobić, żeby kogoś nie dźgnąć w goleń. Zaraz go gdzieś odłożę i mam nadzieję, że Joan nie zauważy.

W tej chwili Joan, olśniewająca blond-Małgorzata, przepłynęła obok w ramionach szejka arabskiego. Spostrzegła ich i wysliznęła się pomiędzy tańczących pociągając za sobą partnera.

- Nie macie partnerki na ten taniec? - zapytała z troską. - Wskażcie mi tylko kogoś, komu mam was przedstawić.

- Kochanie, nie mogę tańczyć z tym mieczem - zaprotestował Corkran. - I tak już przez niego wszystkim podpadłem.

- Łagodnie mówiąc - wtrącił szejka. - Wyrwał mi dobry cał skóry z łydki.

- O Boże - zmartwiła się Joan. - Czy nie możesz trzymać go tak, żeby nie przeszkadzał ludziom, skarbie?

- Mogę - powiedział Faust. - Mogę pójść i zdjąć to świństwo.

- Ale wyglądasz z nim tak wspaniale - westchnęła. - Powinieneś położyć rękę na rękojeści, o tak.

50

- W najlepszych kręgach - wtrącił Amberley - tańczenie z mieczem u boku nigdy nie było w dobrym tonie.
- Nie? - powiedziała z powątpiewaniem Joan. - Ale widziałam obrazy...
- Dla mnie to wystarczy - obwieścił Faust i odwrócił się do wyjścia.  
Koniec pochwy miecza wbił się w jakiegoś nieznanego, który z wściekłą miną zapewnił lodowatym głosem, że nic się nie stało.
- Już trzeci raz go dziabnąłem - szepnął Faust nie bez satysfakcji.
- Może rzeczywiście lepiej będzie, jak go zdejmiesz - powiedziała niechętnie Joan i zwróciła się do Amberleya.
- Nie powinien pan zdejmować maski przed północą - upomniała.  
Amberley założył maseczkę.
- Czemu maseczki są obowiązkowe, Małgorzato?
- Chodzi panu o to, że powinniśmy mieć do nich stroje domino? Wiem, ale chciałam mieć bal kostiumowy, a z maskami jest zabawniej, więc pomyślałam sobie, że możemy założyć i maski.
- Pani brat nie nosi maski - zauważył szejk, wskazując głową w stronę Fountaina, imponującego kardynała Wolseya, który rozmawiał z Madame de Pompadur.
- Nie, bo jest gospodarzem. Czy mam panu znaleźć partnerkę, Mefistofelesie?  
Amberley przyglądał się jakiejś dziewczynie po przeciwnej stronie sali balowej.
- Może mnie pani przedstawić tej contadinie? Joan zerknęła w kierunku dziewczyny.
- Tak, oczywiście, ale nie wiem, kto to jest.
- To chyba Kitty Crosby - powiedział szejk.
- Myślałam, że Kitty przebrała się za cyganek.
- Tak? To może to być panna Halifax. Nie, chyba jednak to nie ona.

Joan podniosła wzrok na Amberleya.

- Na tym właśnie polega cała zabawa. Czy pan wie, że nie rozpoznałam jednej z najlepszych koleżanek? Chodźmy, przedstawię pana.

Poprowadziła go do miejsca, w którym stała contadina, włoska wieśniaczka.

- Czy mogę przedstawić Mefistofelesa? - rzekła z uśmiechem. Oczy contadiny błysnęły poprzez szczeliny maseczki. Skłoniła głowę i przelotnym spojrzeniem obrzuciła stojącą przed nią postać odzianą w szkarłat.

- Zatańczymy? - powiedział Mefistofeles.

- Z przyjemnością - odparła.

Poprowadził ją na parkiet i wziął w ramiona. Tańczyła dobrze, ale nie wykazywała ochoty do rozmowy. Amberley prowadził ją przez labirynt tańczących par.

- Zastanawiałem się czy jest pani panną Halifax, czy panną Crosby?

- Ach! - contadina wykrzywiła czerwone wargi.

- A może żadną z nich? - zgadywał dalej.

Ręka, którą trzymał w swojej dłoni poruszyła się lekko.

- Zobacz pan podczas zdejmowania masek, Mefistofelesie.

- Nie jestem tego taki pewien - powiedział Amberley. Poczul na twarzy jej badawczy wzrok i odwzajemnił spojrzenie z uśmiechem. - Ale tłum, prawda? Myśli pani, że Fauntainowie naprawdę znają wszystkich, którzy tu przyszli?

- Och na pewno!

- Ale w dzisiejszych czasach tyle osób wkręca się na przyjęcia bez zaproszeń... - mruknął.

- Na wsi się tego nie robi - powiedziała.

- Sądzę, że pani wie na ten temat więcej niż ja - zgodził się uprzejmie.

Muzyka umilkła. Amberley nie przyłączył się do oklasków, tylko powiódł swą partnerkę w stronę wyjścia.

- Musi pani pozwolić mi przynieść coś do picia - rzekł. Skinął głową w kierunku sofy, która stała w niszy hallu. - Zechce pani tam na mnie poczekać?

Contadina zastanawiała się przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

- Dobrze.

Siedziała na sofie, gdy wrócił z kieliszkami.

- Nie umknęła pani - zauważył i podał jej kieliszek.

- Czemu miałabym umknąć? - powiedziała chłodno.

- Pomyślałem, że może się pani zniecierpliwiła. Przy napojach jest spory tłumek.

Usiadł obok niej.

- Bardzo mi pani przypomina kogoś, kogo poznałem - powiedział z namysłem. - Tylko kogo?

Wypiła łyk wina.

- Zabawne - powiedziała. - Ja pana zupełnie nie znam. Nie mieszka pan tu w okolicy, prawda?

- Och nie! - odparł. - Jestem tu tylko przelotnym ptakiem. Przyjechałem z wizytą do Matthewsów.

- Tak? Na długo?

- Nie, wyjadę jak tylko wyjaśnię pewną sprawę, która mnie bardzo interesuje.

Skłoniła głowę.

- Rozumiem. Brzmi to intrygująco. Spojrzał na nią z ukosa.

- Jednak nie jest pani tą osobą, którą miałem na myśli.

- Nie? A kim ona jest?

- Och, nikt, kogo mogłaby pani znać. Taka tam smarkula. Zesztywniała.

- Trudno mi nawet udać, że to komplement.

- Czyż nie powiedziałem, że nie jest pani tą osobą? Porozmawiajmy o czymś innym. Lubi pani strzelać?

- Nigdy nie strzelałam - odparła podejrzenie spokojnym głosem.

- Nie? Dziwna rzecz, ale dziewięć kobiet na dziesięć wolałoby nigdy nie mieć do czynienia z bronią palną.

Otworzył papierośnicę.

- Czasem spotyka się wyjątki. Niedawno spotkałem dziewczynę, która miała przy sobie całkiem poważnie wyglądający pistolet. I to naładowany.

Wzięła papierosa z papierośnicy. Ręka jej nie zadrżała.

- W dzisiejszych czasach pewnie rozsądnie jest nosić broń po zmroku - zauważyła.

Nie odezwał się od razu zajęty zapalaniem zapalki.

- Czy powiedziałem, że spotkałem ją po zmroku? - zdziwił się.

- Przypuszczam, że musiało być ciemno - odparła dość ostro. - A nie było?

Przypalił jej papierosa.

- Prawdę mówiąc było - przyznał.

Wypuściła długą spiralę dymu i odwróciła głowę, żeby mu się przyjrzeć.

- Próbuje pana umiejscowić. Mam wrażenie, że jest pan reporterem.

Błysnął zębami w uśmiechu.

- Powie mi, pani, skąd to przypuszczenie? Potrząsnęła głową.

- Nie chciałabym być niegrzeczna - powiedziała słodkim głosem. - Jest pan reporterem?

- Nie, piękna damo. Jestem adwokatem.

- Ach! Adwokatem!

- Od spraw karnych - dodał. Wstała gwałtownie.

- To pewnie szalenie interesująca praca. Muszę wrócić na salę. Obiecałam komuś ten taniec - umilkła na chwilę i wykrzywiła pogardliwie usta. -

Pozwoli pan, że pochwalę pański kostium? Pasuje doskonale.

Amberley zatrzęsł się lekko od bezgłośnego śmiechu. Odprowadził ją wzrokiem i udał się na poszukiwanie kuzynki.

Widziano ją niedawno - szła na górę z jakimś roznamiętnionym młodzieńcem. Nie miał o tym młodzieńcu najlepszego zdania, toteż nie widział przeszkód, dla których nie miałby

przerwać ich tete-a-tete i domagać się od Felicity obiecanego tańca. Wymijając rozproszone po schodach pary wszedł na górę. Hall na piętrze był tak samo obszerny jak ten na parterze. Rozstawiono tam krzesła dykretnie oddzielone parawanami w celu stworzenia małych, spokojnych miejsc do odpoczynku czy rozmowy. Po jednej stronie hallu były szerokie schody oświetlone mnóstwem lamp stojących w wielkim oknie. Po drugiej wdzięczny łuk prowadził na biegnący prostopadle szeroki korytarz. Amberley miał powody przypuszczać, że znajdzie kuzynkę w galerii obrazów, która - jak ktoś mu powiedział - znajdowała się w tylnej części domu, podszedł więc do łuku i wyrzwał na korytarz.

Część korytarza na prawo od łuku była oświetlona; po lewej stronie było ciemno, jakby na znak, że ta część domu nie jest przeznaczona dla gości. Amberley domyślił się, że znajdują się w niej pokoje służby i tylne schody, skręcił więc w prawo.

Podłoga wyłożona była puszystym chodnikiem, który tłumiał odgłos kroków. Na korytarz wychodziło mnóstwo drzwi, z których jedne opatrzone były napisem GARDEROBA PAŃ. Pomiedzy drzwiami, znacznie od siebie oddalonymi, stały reprezentacyjne meble, bardzo różne od solidnego, ciężkiego mahoni, który rujnował wygląd salonów na parterze.

Najwyraźniej świętej pamięci pan Fountain wolał solidne produkty jemu współczesne od tych pełnych wdzięku sprzętów z poprzedniej epoki. Wyglądało na to, że jego następcy również nie zależało na tym, by zastąpić wiktoriańskie stoły, krzesła i komody tymi skazanymi na banicję dziełami sztuki.

Na białych ścianach wisały obrazy w ciężkich, złożonych ramach. Amberley, będąc koneserem sztuki, oglądał je przelotnie nie zatrzymując się, aż wreszcie przystanął przed wspaniałym Reynoldsem i zaczął mu się przyglądać z zadumą. Z galerii znajdującej się na końcu korytarza wyszedł gospodarz.

Fountain był w świetnym nastroju tego wieczoru. Jego radość z balu była ogromna i niczym nie zakłócona. Krążył swobodnie między gośćmi jak idealny gospodarz domu, który pragnie, żeby

przyjęcie było udane i w wielkiej mierze przyczyniał się do ogólnej radości swoją nieskrywaną serdecznością i zadowoleniem.

Zobaczywszy Amberleya natychmiast podszedł do niego i klepnął go po ramieniu.

- Podziwianie obrazów to za mało, Mefistofelesie, za mało

- zażartował. - Nie tańczy pan? Tylko proszę nie mówić, że nie ma pan partnerki!

- Mam. Właśnie szedłem jej szukać, ale zatrzymałem się, żeby obejrzeć pańskie obrazy. Zazdroszczę panu tej kolekcji.

- Naprawdę? Są niezbyt w moim guście. Jeśli lubi pan sportowe sztychy, to w gabinecie mam kilka naprawdę wspaniałych.

- Wolę te obrazy - odparł Amberley nie odrywając wzroku od Reynoldsa. - Kto to jest?

- Nie mam nawet mglistego pojęcia! Pewnie jakaś pra-prababka. Ma takie typowe dla rodziny krzaczaste brwi, prawda? Niebrzydka dziewczyna. Powinien się pan zwrócić do mojej gospodyni. Ona wie o tych wszystkich wiekowych zakurzonych przodkach o wiele więcej niż ja.

Amberley oderwał wreszcie wzrok od portretu i powiedział, że bał jest bardzo udany.

Fountainowi ta uwaga zrobiła przyjemność.

- Prawda? Chyba wszystko idzie dobrze? To niemądre, ale przekonuję się, że nie jestem za stary, żeby radować się takimi zabawami. Zapominam o wszystkich zmartwieniach, kiedy mam wokół siebie mnóstwo radosnych ludzi bawiących się wesoło przy dobrej muzyce, i tak dalej. Pewnie będzie się pan śmiać, aleja to lubię. Zawsze lubiłem.

- Dużo ma pan zmartwień? - zapytał Amberley lekkim tonem. - Nikt by nie powiedział.

Fountain nachmurzył się.

- Przypuszczam, że wszyscy mamy swoje kłopoty - odparł.

- Wie pan, z takim domem jak ten zawsze wiąże się mnóstwo trosk.

- Pewnie tak. Zdaje się, że pan nie lubi tego domu?



- Nie - powiedział Fountain z dziwną gwałtownością. - Nienawidzę go. Kiedyś myślałem, że go lubię. Zawsze cieszyłem się na myśl, że kiedyś w nim zamieszkać na stałe. Ale czasami bardzo pragnę, żebym mógł znaleźć się z powrotem w moim mieszkaniu w Londynie i pozbyć się tych wszystkich... zmartwień z tą posiadłością na głowie.

- Tak. Doskonale rozumiem. Ale spodziewam się, że istnieją inne rzeczy, które rekompensują kłopoty.

Pomury uśmiech wykrzywił jego usta.

- O tak. Mnóstwo - powiedział. Fakt jest taki, że nie jestem stworzony na właściciela ziemskiego. Na pewno nie chce pan, żebym przedstawił pana jakiejś czarodziejce? Nie? No, to muszę wracać do gości. Mam nadzieję, że odnajdzie pan swoją wagaro-wiczkę.

Oddalił się, a Amberley wolnym krokiem udał się do galerii obrazów, gdzie odnalazł Felicity.

Zdjęcie masek miało się odbyć w sali balowej o północy, tuż przed kolacją. Już jakieś dwadzieścia minut przed dwunastą goście zaczęli opuszczać intymne kącki na górze i gromadzili się w hallu na parterze i w sali balowej w oczekiwaniu uciechy przy zdejmowaniu masek. Gwar śmiechu i rozmów pomieszany z dźwiękami fokstrota unosił się wysoko tworząc trochę niesamowity kontrast z zalegającą na piętrze ciszą i bezruchem.

W długim korytarzu coś się poruszyło. Cicho otworzyły się drzwi, pojawiła się w nich dziewczyna, przystanęła na moment i spojrzała w stronę pogrążonego w ciemności końca korytarza. Nikogo nie było w zasięgu wzroku, z galerii obrazów, w której nadal paliły się światła, nie dochodziły żadne głosy; w tej części domu nawet gwar dochodzący z dołu był przytłumiony.

Włoska contadina zaczęła powoli, ukradkiem iść korytarzem. Szukała czegoś. Oczy z portretów spoglądały z góry, jakby obserwowały jej poczynania. Dziewczyna doszła do łuku i wyjrzała do hallu. Był pusty. Zawahała się i zerknęła nerwowo za siebie przez ramię - ciągle miała wrażenie, że obserwują ją jakieś niewidoczne oczy - ale nikogo nie dostrzegła. Poszła dalej,

zatrzymała się przed jakąś komodą. Wyciągnęła rękę, jakby chciała ją dotknąć, ale zaraz ją cofnęła: nie była to komoda, której szukała.

W końcu korytarza wąska smuga światła z niedomkniętych drzwi padła na przeciwległą ścianę i róg wysokiej komody z orzecha. Dziewczyna podeszła. Uchylone drzwi wychodziły na kuchenną klatkę schodową. Wyrzała przez nie ostrożnie, jednak nikogo tam nie było. Rzuciła jeszcze jedno spojrzenie przez ramię, potem prześliznęła się w kierunku komody, ostrożnie wyciągnęła dolną szufladę jej górnej części. Szuflada wysunęła się łatwo i bez najmniejszego hałasu, lecz mosiężne uchwyty zadzwoniły gdy je puściła i dziewczyna drgnęła przestraszona.

Szuflada była pusta. Dziewczyna włożyła rękę do środka i drżącymi palcami obmacała tył szuflady.

Coś nakazało jej unieść głowę. Zamarła bez ruchu, a oddech uwiązł jej w gardle. W plamie światła na ścianie pojawił się jakiś cień - cień głowy mężczyzny.

Sekundy mijały, a oczy dziewczyny nie odrywały się od tego cienia.

Najmniejszy dźwięk nie zdradził, że ktoś się zbliżył, ale ktoś za nią stał i obserwował.

Wsuwała szufladę na miejsce cal po calu; czuła suchość w gardle, kolana jej drżały.

- Czy pani czegoś szuka? - odezwał się uprzejmy - choć z groźną nutą - głos. Odwróciła się. Pod maską była śmiertelnie blada. W drzwiach stał bez ruchu lokaj.

- Ależ mnie przestraszyłeś! - powiedziała z taką pewnością siebie, na jaką było ją stać w tej chwili. - Podziwiałam właśnie te przepiękne, stare meble. Czy możesz mi powiedzieć czy ta komoda pochodzi z czasów Wilhelma, czy Marii?

Oczy lokaja powędrowały wolno w kierunku komody i powróciły do jej twarzy. Jego wąskie, zaciśnięte usta ułożyły się w dziwnie nieprzyjemny uśmiech, trochę jakby triumfujący

i drapieżny. Dziewczyna poczuła jak skóra na niej cierpnie, lecz stała bez ruchu i czekała.

- Ta komoda? - zapytał miękko Collins. Przełknęła ślinę.

- Tak. Czy wiesz kiedy ją wykonano?

Wyciągnął rękę i pieszczotliwie pogładził błyszczącą powierzchnię komody. Jego uśmiech stał się szerszy.

- Nie, panienko - odparł uprzejmie. - Obawiam się, że nie wiem. Bardzo się pani nią interesuje, prawda?

- Tak, interesuję się. Muszę zapytać o nią pana Fountaina. Na kamiennych schodach rozległy się czyjeś kroki.

- Panie Collins! - zawołał kobiecy głos. - Jest pan tam? Panie Collins, zechce pan tu przyjść? Zaraz przyjdą na kolację. Trzeba włożyć szampana do lodu. Uśmiech znikł z jego twarzy. Odwrócił głowę.

- Już idę, Alice.

Ponownie spojrzał na dziewczynę zwięzonymi, badawczymi oczami.

- Lepiej będzie, jak panienka zejdzie na dół - rzekł. - Tędy proszę.

Ruszył korytarzem pierwszy. Nie pozostało jej nic innego jak tylko pójść za nim. Doprowadził ją do głównych schodów i stanął z boku, czekając aż zacznie schodzić. Zawahała się, rozpaczliwie szukając w myślach wymówki, żeby go zatrzymać.

Potężnie zbudowany mężczyzna w szkarłacie stał na półpięt-rze rozmawiając z Marią, Królową Szkotów. Rozejrzał się i spostrzegł lokaja. Serce dziewczyny podskoczyło ze strachu, bowiem był to ten sam człowiek, z którym przedtem rozmawiała, a chwila zdjęcia masek musiała być tużtuż. Prześliznęła się obok niego i zeszła do hallu.

- A, tu jesteś, Collins! Jesteś mi potrzebny - rzekł Fountain. Na twarzy lokaja pojawił się nieprzyjemny błysk, ale zaraz znikł.

- Słucham, jaśnie panie - powiedział i podążył za swym panem na dół.

Oczy contadiny ukradkiem powędrowały w kierunku stojącego zegara. Północ wybije za niecałe pięć minut. Nieświadomie miała dłońmi fałdy sukni. Fountain przeszedł przez hall razem z Collinsem i stanął w progu jadalni wydając lokajowi jakieś polecenia. Wiedziała, że Collins ją obserwuje, choć nie patrzył w jej kierunku. Dwie osoby podeszły do Fountaina, więc lokaj skłonił się i wszedł do jadalni.

Contadina natychmiast zaczęła przeciskać się przez tłum w stronę schodów. Z jadalni z pewnością było drugie wyjście prowadzące do tylnej części domu, gdzie znajdowały się kuchnie, ale dziewczyna postanowiła nie zmarnować nadarzającej się okazji.

Zatrzymał ją Arlekin, z którym tańczyła wcześniej i śmiejąc się wskazywał zegar. Za minutę dwunasta. Wymówiła się twierdząc, że zostawiła pierścionek w garderobie i umknęła. Dotarła na szczyt schodów z pierwszym uderzeniem zegara i pobiegła w stronę łuku.

Korytarz był pusty i cichy. Drzwi prowadzące na kuchenne schody były nadal uchylone. Podeszła do nich, szybko wyjrzała na schody i zamknęła drzwi z westchnieniem ulgi. Smuga światła zniknęła, szcęknęła klamka. Dziewczyna zbliżyła się do komody i wysunęła tę samą szufladę, co poprzednio. Wyteżyła słuch na ewentualny odgłos kroków na schodach, a rękami gorączkowo obmacywała tylną ściankę szuflady. Nagle pod wpływem jej nacisków coś się poruszyło i fałszywa tylna ścianka odpadła odkrywając schowek. Dziewczyna wsadziła rękę i obmacała schowek w poszukiwaniu czegoś. Skrytka była pusta.

Przez chwilę stała bez ruchu z ręką w szufladzie. Potem powoli wyciągnęła rękę i włożyła fałszywą ściankę na miejsce. Wykrzywiła usta z goryczą i wsunęła szufladę.

- Podziwia pani meble? - zapytał jakiś głos cedząc słowa.

Drgnęła nieopanowanie i odwróciła się; oparty o framugę łuku prowadzącego do hallu stał Mefistofeles - bez maski.

Z gardła wydarł się jej suchy, nerwowy szloch.

- To pan! - powiedziała bez tchu. - Przyszedł pan tu za mną?

- A czemu nie?

Nie mogła zdobyć się na odpowiedź. Stała plecami do komody i wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Czy zawsze robi pani przegląd mebli w domach, do których przychodzi pani z wizytą? - dopytywał się Amberley tonem człowieka prowadzącego zwykłą rozmowę.

Dziewczyna z największym trudem usiłowała się opanować.

- Interesują mnie stylowe meble.

- O, naprawdę? - Zbliżył się powoli. Dziewczyna zeszywniała. - Ja zupełnie nie znam się na tych rzeczach. Ale bardzo jestem ciekaw, co też może panią interesować w e w n ą t r z tej komody.

- Oczywiście... nie powinnam otwierać tej szuflady - starała się usilnie, żeby jej głos brzmiał naturalnie. - Chciałam tylko zobaczyć czy... wysuwa się bez trudu. Nic nie ukradłam, jeśli o to panu chodzi. Tu... nie ma nic do ukradzenia.

- Nie dopisało pani szczęście, co?

W hallu rozległy się kroki i hałaśliwy głos Fountaina.

- Zaczekajcie chwilę! Zrobię pogrom w galerii. Aha, panna Elliott, a więc rozpoznałem panią! Zdradził panią ten dołeczek na twarzy. Nie da się go ukryć pod maseczką!

Contadina stała nieruchomo jak posąg, tylko jej oczy poprzez otworki w masce wpatrywały się w Amberleya z rozpaczliwym błaganem.

Fountain wszedł na korytarz nucąc pod nosem taneczną melodię. Już miał skrócić w prawo, w kierunku galerii, gdy spostrzegł parę stojącą w końcu korytarza. Zatrzymał się.

- O, co wy tu robicie? - zapytał zdziwiony.

Amberley popatrzył na dziewczynę, po czym odwrócił głowę.

- Podziwiamy tę komodę - odparł. - Czy pan wie z jakiego okresu pochodzi?

- Boże, ależ z pana amator staroci! - rzekł Fountain podchodząc bliżej. - Nie, nie mam zielonego pojęcia. Ale faktycznie jest efektowna. Dla mnie te komody są straszne. Jak się coś włoży

do górnej szuflady, to potem trzeba wchodzić na drabinę, żeby wyjąć. Ale nie uda się wam, zbyć mnie gadaniem o meblach! Nie, nie, jest północ, więc maski z twarzy! Któż to jest ta piękna dama?

Krzepki i jowialny, stanął przed contadiną i wyciągnął rękę, żeby zdjąć jej maseczkę. Amberley chwycił go za rękę i powstrzymał.

- O nie! - rzekł. - To mój przywilej. Pana obecność nie jest tu pożądana.

Fountain wybuchnął śmiechem.

- Jestem niepożądany, co? Dobrze, dobrze, nie będę psuł zabawy! Komody, też coś! Bujać to my, a nie nas!

- Basil! Chodźże tutaj! - zawołał ktoś od strony schodów i Fountain ruszył w tamtym kierunku.

- Przypominam panu, Amberley, że można żądać kary za pozostawianie w masce po północy!

Za chwilę już go nie było. Napięcie contadiny zelżało.

- Czemu pan to zrobił? - spytała. - Dlaczego nie pozwolił mu pan zdjąć mi maski?

- Powinna pani być mi wdzięczna - zauważył Amberley.

- Jestem wdzięczna. Ale dlaczego pan to zrobił? Dobrze wiem, że mi pan nie ufa.

- Ani trochę - zgodził się Amberley. - Ale sprawy z panią wolę załatwiać sam.

- Jeśli pan myśli, że jestem złodziejką - aha, i morderczynią - to czemu nie odda mnie pan w ręce policji? - powiedziała z goryczą.

- No cóż - rzekł Amberley - skoro ulegając nieco głupiemu impulsowi nie powiadomiłem policji o pani obecności na miejscu morderstwa, nie bardzo mogę zrobić to teraz. No, a kimże jestem, żeby poddawać w wątpliwość pani zainteresowanie antykami?

Uniosła rękę i zdarła maseczkę. Twarz miała zarumienioną i oczy pałały gniewem.

- Nienawidzę pana! - wybuchnęła. - Ochronił mnie pan nie przez... przez wzgląd na mnie! Zrobił to pan dlatego, że wymyślił

pan sobie, że jest tu jakaś tajemnica i że chce ją pan sam, osobiście rozwiązać!

- Zgadza się - potwierdził Amberley. - Chociaż nieco zawile powiedziane. Spojrzała na niego tak, jakby chciała go uderzyć.

- Więc powiem panu, że wolę raczej zejść teraz na dół, żeby Fountain dowiedział się, że... że jestem nieproszonym gościem i złodziejką niż... niż żeby pan mnie śledził i szpiegował co robię!

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - odparł. - W końcu co by się takiego wielkiego stało, gdybym panią wydał Fountainowi? Po prostu wskazano by pani drzwi. A to by mi w niczym nie pomogło.

Zrobiła kilka kroków, żeby odejść, ale zatrzymała się jeszcze.

- W porządku! Lecz jeśli pan uważa, że dowie się pan o mnie czegoś, to się pan grubo myli.

- Założymy się? - spytał, ale dziewczyna już odeszła. Amberley roześmiał się cicho, schylił się po chusteczkę, którą upuściła i niespiesznym krokiem skierował się w stronę hallu.

5

Następnego dnia Amberley spędził prawie całe przedpołudnie wygrzewając się na słońcu w ogrodzie, co jego kuzynka uznała za obrzydliwe lenistwo.

Rankiem Felicity, jak zawsze pełna energii, na widok nieoczekiwanie pięknej pogody rozwiesiła hamak. Amberley pochwalił pomysł. W godzinę po śniadaniu zastała go w ogrodzie rozciągniętego w hamaku i próbowała go z niego wyrzucić. Gdy jej się to nie udało, odeszła z wielce pogardliwą miną i udała się na korty grać w tenisa.

Jednakże Amberleyowi nie dane było długo cieszyć się spokojem. Niedługo po dwunastej przyszła ciotka Marion i szturchnęła go parasolką. Otworzył oczy, popatrzył na nią z niemym oburzeniem i zamknął je ponownie.

- Idylliczny obrazek - powiedziała - ale musisz się obudzić. Kłopotliwa sytuacja.

Nie otwierając oczu Amberley wymamrotał zdanie, które znał na pamięć: „Bridges nie dostarczył ryby, więc jeśli nie będziesz aniołem i nie skoczysz po nią do Upper Nettlefold, to nie będzie obiadu.”

- Nie, nic podobnego. Taką przynajmniej mam nadzieję. To ten człowiek, który zawsze irytuje twojego wuja.

- Który z nich? - indagował Amberley.

- Pułkownik Watson. Jest w salonie. Czy muszę zapraszać go na obiad?

W końcu Amberley rozbudził się. Usiadł i spuścił długie nogi z hamaka.

- Wybaczam ci, cioteczko - powiedział. - To bardzo miło z twojej strony, że przysłaś mnie ostrzec. Pójdę z książką do drewnutni. Absolutnie nie zapraszaj go na obiad.

64



Lady Matthews uśmiechnęła się.

- Współczuję ci, mój drogi, naprawdę. To nie ostrzeżenie. On rozmawia z wujem już od pół godziny. Wiesz, on jest jak parytet złota. Zupełnie niezrozumiały i nie na miejscu. Przyszedł w sprawie zawodowej i nie chce sobie pójść. Gdyby chociaż powiedział Humphreyowi, że przyszedł do ciebie! Dopiero w tej chwili to odkryliśmy! I to wcale nie dlatego, że nam powiedział. To była czysta intuicja z mojej strony. Chodź, mój drogi. Bądź bardzo niegrzeczny, to nie będzie chciał zostać na obiedzie.

- W porządku. Będę b a r d z o niegrzeczny - odparł Amberley i zszedł z hamaka.

- To miło z twojej strony, Frank, ale może lepiej nie...

- powiedziała ciotka Marion niepewnie.

Amberley wszedł do salonu przez oszklone drzwi prosto z ogrodu. Na jego widok komisarz okręgowy wykazał się godną podziwu mieszaniną zdawkowego zaskoczenia i życzliwego zadowolenia.

- O, Amberley, witam! - wstał i wyciągnął rękę na powitanie.

- Więc jeszcze pan nie wyjechał! To przyjemna niespodzianka. Co u pana?

- Jestem pogrążony w apatii - rzekł Amberley. - Rozbudzony do połowy, na pewno nie bardziej.

Najwyraźniej pułkownik uznał jego stwierdzenie za wystarczający wstęp do dalszej rozmowy. Roześmiał się.

- Pogrążony w apatii! Chyba nie chce pan powiedzieć, że to nuda?

- Jeszcze nie - rzekł Amberley.

Jego wuj zatuszował kaszlem nagłe parsknięcie śmiechem.

- Potrzeba nam czegoś, co zajęłoby pańskie myśli - powiedział żartobliwym tonem pułkownik. - Może popróbowalby pan sił w sprawie tego morderstwa! Amberley uznał za stosowne uznać to jako żart. Pułkownik porzucił żartobliwy ton.

- Poważnie, byłbym zachwycony, gdyby zechciał nam pan pomóc w tej sprawie. To szalenie interesujący problem. Jak raz dla pana.

- Bardzo pan uprzejmy, pułkowniku, ale przecież nie chce pan, żeby jakiś amator mieszał się do spraw czysto profesjonalnych.

Pułkownik uświadomił sobie, że nie lubi Amberleya. Spoglądając wstecz, nie mógł sobie przypomnieć, by go kiedykolwiek lubił. Ten jego twardy, pogardliwy wzrok zdawał się przeszywać na wylot, a ten jego uśmiech był najbardziej irytującą rzeczą jaką w życiu widział. Rzecz w tym, że był tak cholernie zarozumiały. Najwyraźniej nie zamierzał błagać, by uczyniono mu łaskę i pozwolono maczać palce w rozwiązaniu zagadki tego niepokojącego morderstwa. Przez moment pułkownik odczuwał pokusę, żeby trzymać go za słowo i wykluczyć z tej sprawy raz na zawsze. Sprawiloby mu to wielką satysfakcję, gdyby po prostu skierował rozmowę na całkiem błahe tematy, pogawędził chwilę i wyszedł, a wówczas ten nieznośny młody człowiek żałowałby, że zachował się tak nonszalancko.

Myśl była bardzo kusząca, ale pułkownik zaraz ją odrzucił. Zdawał sobie sprawę z niewesołego faktu, że nie jest szczególnie lotny, lecz miał nadzieję, że na tyle lotny, aby nie postępować wedle powiedzenia „Na złość mamie się przeziębę”. Inspektor może sobie mówić, że wyświetlą zagadkę, jak tylko będą znali pewne fakty, jednak pułkownik Watson nie miał wielkiego wyobrażenia o jego zdolnościach rozwikłania jakiegokolwiek tajemnicy. Inspektor to dobry rutyniarz, nawet dość zdolny, tym niemniej trzeba spojrzeć prawdzie w oczy - do takiej sprawy, jak ta obecna zupełnie się nie nadaje. To zrozumiałe, że nie chciał wzywać na pomoc Scotland Yardu, co do tego pułkownik się z nim zgadzał - sam też nie chciał wzywać Scotland Yardu. Nienawidził tych wielce sprawnych ludzi, którzy przyjeżdżali z Londynu i narzekali, że trzeba ich było wezwać wcześniej, póki ślad był świeży, a potem przejmowali sprawę całkowicie w swoje ręce. Doprawdy, kiedy tak się nad tym zastanowić, to byli gorsi od Franka Amberleya. Co prawda, Amberley był od nich gorzej wychowany, ponieważ oni zadawali sobie trud ukrycia pogardy, jaką odnosili się do sposobu prowadzenia śledztwa przez miejs-

cową policję, natomiast on nigdy nie zawahał się przed skrytykowaniem tego, co uznał za naganne. Ale przynajmniej nie mógł zepchnąć ich do roli chłopców na posyłki. I żeby oddać mu sprawiedliwość - w sprawie Biltona nie chciał przypisać sobie wszystkich zasług.

Nie powinien prosić o pomoc laika. Było to niezgodne z regulaminem, a on nie lubił odstępstw od regulaminu. Powinien był przełknąć dumę i wezwać Scotland Yard od razu. Uległ sugestiom inspektora, a teraz lękał się, że będzie musiał jednak zwrócić się do Scotland Yardu, bo będą mieli doskonały pretekst do narzekań na ostygły trop. Byłoby z tego mnóstwo nieprzyjemności. Wszystko razem wzięwszy, będzie o wiele lepiej wtajemniczyć młodego Amberleya - no, może on nie jest aż taki bardzo młody. Pułkownik przypuszczał, że ma chyba około trzydziestu pięciu lat. Tak czy owak za młody, żeby szydzić ze starszych. Zresztą mniejsza z tym. Nie można zaprzeczyć, że nadzwyczaj bystry z niego gość. Tak, lepiej, żeby młody Amberley zobaczył, co się da zrobić. W Scotland Yardzie naturalnie też go dobrze znają, więc to nie będzie tak, jakby zwracali się o pomoc do kogoś zupełnie obcego. Nawet jeśli w Yardzie się o tym dowiedzą, nie wyrażą sprzeciwu. I naprawdę po mistrzowsku wprost poprowadził sprawę Biltona. Inspektor, rzecz jasna, będzie wściekły. Amberley wysłał go niegdyś w dwudziestomilowy, bezsensowny pościg za niczym, a gdy było już po wszystkim wyjaśnił, że skierował go na fałszywy trop, bo w ten sposób zapobiegł dalszym szkodom. Inspektor nigdy mu tego nie zapomniał. Przez zatroskane oblicze pułkownika przemknął uśmiech. Wciąż miał przed oczami minę inspektora; nigdy w życiu nie darowałby sobie, gdyby ominęła go taka gratka. Dobrze mu tak! Inspektor to zarozumiały dureń. I nawet jeśli nie spodoba mu się pomysł dopuszczenia Amberleya do śledztwa, to i tak będzie musiał się z tym pogodzić. Pułkownik podejrzewał, skądinąd trafnie, że ów kłopotliwy młody człowiek węszył już nieco na

własną rękę. No cóż, skoro ma zajmować się tą sprawą, to lepiej niech robi to na rachunek policji.

Podniósł wzrok i stwierdził z irytacją, że Amberley nadal stoi oparty o framugę i przygląda mu się z tym swoim ironicznym uśmiechem, który tak pułkownika denerwował. Do diabła z nim! Od czasu do czasu małe niepowodzenie mu nie zaszkodzi.

- Słuchaj, Amberley! - rzekł oschle. - Chciałbym, żeby pomógł mi pan w tej sprawie.

- Wiem - odparł z uśmiechem Amberley.

- Frank, zachowuj się! - upomniał go wuj.

- Och, znam jego maniery, Matthews - rzekł pułkownik.

- Pracowałem z nim już. No, przyznaj się otwarcie, Amberley, masz ochotę pogrzebać w tej sprawie!

- Przyznaję się - odrzekł Frank. - Już to zrobiłem.

- Tak mi się też zdawało. Mój drogi. Wie pan dobrze, że nie wolno nam mieszać w śledztwo osób postronnych. Nie muszę panu tego mówić.

- Nie będę się mieszał.

- Nie, nie, źle mnie pan zrozumiał! Nie to miałem na myśli.

- Dokładnie wiem, co pan miał na myśli, pułkowniku. Chce pan, żebym pracował dla policji. To bardzo, bardzo nieregulaminowe.

- Być może! Być może! Ale w końcu pracował pan już z nami. Ta obecna sprawa powinna pana zainteresować. To jedna z najbardziej zagadkowych spraw, z jakimi miałem do czynienia.

- Ach tak! - rzekł Amberley. Sięgnął do otwartego pudełka, wziął papierosa i zaczął postukiwać nim o paznokcie kciuka.

- Nie chcę współpracować z policją.

- Więc nie współpracuj, Frank, proszę cię - odezwał się sir Humphrey z drugiego końca pokoju. - Bardzo nie lubię wprowadzania tych niesmacznych spraw pod rodzinny dach. Z powodu moich obowiązków dość się napatrzę bez...

- Masz rację wuju - przerwał mu Amberley z roztargnieniem. Włożył papierosa w usta i zaczął obmacywać kieszenie w poszukiwaniu zapalek.

- Czy to znaczy, że nie interesuje pana ta sprawa? - spytał pułkownik Watson bezradnie.

Amberley zapalił zapałkę i patrzył jak płomień pełznie wzdłuż patyczka. W ostatnim momencie przypalił papierosa i wrzucił zapałkę do pustego kominka.

- Bardzo mnie interesuje - rzekł. - i nie chcę tracić czasu na wskazywanie inspektorowi Fraserowi oczywistych faktów.

- Mogę pana zapewnić...

- Z drugiej strony - ciągnął Amberley z namysłem - jeśli czegoś z tym nie zrobię, to pan Fraser na pewno wszystko sknoci.

Pułkownik nastawił uszu.

- To brzmi tak, jakby pan trafił już na jakiś ślad.

- Doprawdy?

- Daj spokój, Amberley! Musi pan być ze mną szczery!

- Kiedy będę miał coś konkretnego do powiedzenia, to pan to usłyszysz - oświadczył Amberley. - Jak na razie, nic konkretnego nie mam. Tymczasem chyba lepiej będzie, jak się dowiem, jakie założenia przyjęła policja.

- Trudno o jakiegokolwiek założenia - pułkownik zmarszczył brwi zatroskany. - Widzi pan, nie mam żadnych danych. Nic, żadnego punktu zaczepienia. Amberley uniósł swoje czarne brwi, ale nie odezwał się.

- Mamy zastrzelonego na pustej drodze człowieka. Żadnych śladów walki.

Brak wyraźnego motywu, chyba że uznamy to za napad rabunkowy.

Lokalizacja przestępstwa zdaje się wykluczać teorię napadu chociaż, oczywiście, nie można jej całkowicie odrzucić.

- Myśli pan, że bylibyście w stanie spróbować ją odrzucić? - spytał Amberley znużonym głosem. - Nie mam nic przeciwko temu, żeby Fraser szukał ewentualnych bandytów, przynajmniej miałby jakieś zajęcie. Ale trochę mnie już znużyło wysłuchiwanie tej idiotycznej teorii. Dawson nie został zamordowany przez zwykłych rzezimieszków grasujących po drogach.

- Też jestem o tym przekonany - powiedział pułkownik zdecydowanie. - Już sama okolica...

- Tak, pułkowniku, pojąłem. Za to pan, zdaje się, nie pojął, ile danych ma pan do dyspozycji.

- Znam chyba wszystkie fakty - powiedział sztywno pułkownik.

- Wiem o tym - rzekł Amberley. - Sam je podałem w zeznaniu. To krzepiąco znaczące fakty.

- Jak na przykład...?

Amberley przysiadł na stole stojącym pod oknem.

- Zrekapitulujmy, pułkowniku. A tak nawiasem mówiąc, wie pan, że było to morderstwo z premedytacją?

Pułkownik podskoczył.

- Nic podobnego nie wiem, zapewniam pana. Przyznaję, że istnieje takie prawdopodobieństwo, ale musiałbym mieć bardzo przekonujący dowód nim zdecydowałbym się stwierdzić to tak kategorycznie.

- Właśnie - przytaknął Amberley. - Mądrze by pan zrobił. A teraz dam panu ten dowód. Ma pan zwłoki zamordowanego człowieka znalezione w samochodzie na mało uczęszczanej drodze. To pierwszy znaczący fakt.

- Na mało uczęszczanej drodze? Chyba nie uznał pan tego za znaczący fakt?

- Wręcz przeciwnie, to bardzo znaczący fakt. Pan, pułkowniku, uważa to jedynie za ujemne ogniwo w łańcuchu. Drugim znaczącym faktem jest pozycja samochodu.

- Samochodu? - powtórzył tępo pułkownik. - To znaczy...?

- Oczywiście, że samochodu. Stał na poboczu ze zgaszonym silnikiem. Palily się światła postojowe. Dlaczego?

Pułkownik wykonał nieokreślony ruch ręką.

- Może być wiele powodów. Jeśli go zatrzymano...

- To nie zjeżdżałby na pobocze. Samochód wyraźnie został zaparkowany.

- No to powiedzmy, że miał kłopoty z silnikiem.

- Które chciał przewyciężyć aktem wiary, jak sądzę.

- Nie rozumiem.

- Nie uczynił najmniejszej próby, by wysiąść z samochodu. Tego wieczoru było mokro i drogę pokrywało błoto. A buty tego człowieka były zupełnie suche.

- To prawda - pułkownik skinął głową i palcami pogładził wąsy. - A więc z braku innych dowodów pozostaje nam teoria, że miał się tam z kimś spotkać. Ale czy to nie dziwne miejsce i pora na spotkanie?

- To zależy, z której strony się na to patrzy - rzekł Amberley. - Jeśli miał powody, żeby utrzymać to spotkanie w tajemnicy, to ani miejsce, ani pora nie są takie dziwne.

- Tak. Coś w tym musi być - przyznał pułkownik. - Ale nie można zapomnieć, że Dawson był nieskazitelnym człowiekiem. Od lat służył w Norton Manor, wszyscy go w okolicy znali. To przyzwoity, spokojny służący. Nigdy w nic nie był zamieszany, nawet w zwykły romans. A takie potajemne spotkanie bez wątpienia wskazuje na kobietę.

- Nie użyłbym zwrotu „bez wątpienia” - rzekł Amberley.

- Tak, ma pan rację. Ale proszę mówić dalej. Jaki jest trzeci fakt?

- Trzeci fakt, także znaczący, to to, że Dawson został zaskoczony. Zastrzelono go zanim uświadomił sobie, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo.

- Tak, rozumiem pański tok myślenia. Chodzi panu o pozycję, w jakiej się znajdował w chwili popełnienia morderstwa. Przypuszcza pan, że osoba, lub osoby, z którymi miał się spotkać już tam na niego czekały?

- Prawdę mówiąc, niezupełnie. Gdyby ten ktoś, z kim miał się spotkać, z jakiegoś powodu życzył mu śmierci, mało prawdopodobne, żeby Dawson o tym nie wiedział. W takim przypadku miałby się na baczności. A najwyraźniej niczego się nie obawiał. Biorąc pod uwagę porę, miejsce i sposób popełnienia morderstwa, wydaje mi się, że ktoś, kto miał wszelkie powody, by nie dopuścić do tego spotkania, dowiedział się o nim, pojechał za Dawsonem i zastrzelił go.

- Jak? - zapytał pułkownik. - Zapomina pan, że Dawson siedział w samochodzie. Musiał chyba słyszeć nadjeżdżający samochód.

- Na pewno nie tylko słyszał, ale i widział. Choć raczej sędzę, że morderca przyjechał na motorze.

- Tak pan sądzi? A czemuż to?

- Po prostu dlatego, że jeśli pańskie przypuszczenie, że morderca czekał na Dawsona jest trafne, to motocykl łatwo ukryć w żywopłocie albo na polu za żywopłotem. Jest tam furтка. Ale może być samochód, jeśli pan sobie życzy. Chodzi o to, że morderca zastrzelił Dawsona albo z ukrycia (co oznacza, że dokładnie znał miejsce spotkania), albo z pojazdu jadącego z naprzeciwka. Pułkownik zastanowił się.

- Tak, to możliwe, choć nie do końca przekonywujące, Amberley, nie całkiem przekonywujące. Ale powiedzmy, że przyjmuję pańską teorię. Z kim Dawson miał się spotkać?

- Proponuję, żeby pan zlecił koledze Fraserowi by dowiedział się tego. Nie uda mu się, rzecz jasna, ale na jakiś czas będzie miał zajęcie.

- Doprawdy, Amberley! - zganił go pułkownik bez większego przekonania. - Skoro nie wie pan, z kim Dawson miał się spotkać, to jaki, według pana, motyw miałby morderca, żeby za wszelką cenę nie dopuścić do tego spotkania? Czy na ten temat też nie może pan przedłożyć żadnej teorii?

- Ależ mogę - odparł Amberley. - Motywem był rabunek, oczywiście.

- Rabunek? O czym pan mówi? Dopiero co nie chciał pan nawet o tym słyszeć!

- Ależ nic podobnego! - zaprzeczył spokojnie Amberley. - Prosiłem tylko, żeby porzucił pan ten pomysł z bandytami. Widzę, że się to panu nie udało. Niech pan spróbuje, bardzo pana proszę. Zaczyna mnie to nudzić. Pułkownik przełknął słowa, które miał wielką ochotę wypowiedzieć na głos.



- Może zechce pan rozważyć następujący szczegół: skoro, jak pan twierdzi, morderstwo zostało z góry zaplanowane, to można chyba przyjąć, że morderca znał Dawsona, a co za tym idzie - jego pozycję i stan majątkowy? Dobrze. W takim razie niech pan będzie łaskaw mnie poinformować, co ów nieznany morderca spodziewał się znaleźć przy Dawsonie? Coż takiego cennego mógł mieć przy sobie Dawson, że warte to było morderstwa? Amberley przyjrzał mu się z niejakim rozbawieniem.

- Chyba pan przecenia moją znajomość faktów! - zauważył. - Kiedy poznamy odpowiedź na to pytanie, według wszelkiego prawdopodobieństwa będziemy znali mordercę. Radzę panu zastanowić się uważnie nad dwiema sprawami. Po pierwsze, przeszukano kieszenie zabitego, nie było przy nim ani portfela, ani żadnego notesu. Za to w spodniach było luzem piętnaście szylingów w srebrze, a w kamizelce złoty zegarek na łańcuszku. Po drugie, przez ostatnie parę lat Dawson otrzymywał znaczne sumy, więcej niż płacił mu Fountain. A to mi przypomina, że chciałbym wiedzieć nieco więcej o tych jego kontaktach.

- Inspektor prowadzi dochodzenie w tej sprawie. Chyba nie muszę mówić, że zajęliśmy się tym natychmiast. Czy mam rozumieć, że pańskim zdaniem, mordercy nie chodziło o pieniądze?

- Nie, pułkowniku, nie chodziło o pieniądze. Pułkownik podniósł się niechętnie.

- No cóż, to wszystko szalenie interesujące, ale za mało, by można się na tym oprzeć - poskarżył się. - Zdaje się, że nie posunąłem się ani o krok. Nie ma pan jakiś przydatnych propozycji?

- Na razie nie - rzekł Amberley. - Jest jedna sprawa, którą trzeba sprawdzić... Ale chyba sam się tym zajmę. Powiadomię pana o wynikach.

- Cóż, liczę na jak najszybsze wieści od pana - rzekł pułkownik. - Musi pan zrozumieć, że w międzyczasie będziemy prowadzili dochodzenie w sposób, jaki uznamy za najlepszy.

- Ależ naturalnie! - powiedział serdecznie Amberley. - Prowadźcie śledztwo tak, jak dotychczas. Nie zdołacie wiele na-knocić.

Pułkownik wymieniał pożegnalny uścisk dłoni z sir Humph-reyem i rzucił przez ramię z pewną wyniosłością:

- Mamy nadzieję osiągnąć pozytywne rezultaty.

- No, to też niewykluczone - odrzekł Amberley. Wyciągnął rękę. - Do widzenia. Na pańskim miejscu nie martwiłbym się, pułkowniku. Wie pan, sprawa jest zupełnie prosta.

Sir Humphrey odprowadził gościa i wrócił do salonu.

- Frank, każdy kto cię zna zauważy, że jesteś w posiadaniu faktów, których nie uznałeś za stosowne wyjawić naszemu przyjacielowi Watsonowi - powiedział surowym tonem.

- I to wielu - zgodził się Frank.

- Czy wiesz, że obowiązkiem każdego uczciwego obywatela jest...

Amberley uniósł dłoń.

- Wiem. Ale proszono mnie o rozwiązanie tego problemiku.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że przekazanie policji wszelkich informacji - a także, niech mi wolno dodać, wszelkich podejrzeń, jakie możesz żywić - może wykluczać rozwiązanie zagadki przestępstwa.

- Nie? - zdziwił się Frank. - Cóż, widocznie nie pracowałeś z panami Watsonem, Fraserem i Spółką. Lepiej zostaw to mnie, wuju.

- Taki właśnie mam zamiar - odparł sir Humphrey z godnością. - Nie mam najmniejszej ochoty mieszać się do tych wielce niesmacznych spraw.

6

Felicity mogła bez żadnych sporów objąć w posiadanie hamak na całe popołudnie. Amberleyowi z takim sukcesem udało się otrząsnąć z lenistwa, które potępiła jego kuzynka, że natychmiast po wyjściu komisarza okręgowego wsiadł do Bentleya i wyjechał do Londynu. Lady Matthews była niepokieszona i mamrotała coś na temat beignets doe sole, ale nawet ta gastronomiczna przynęta nie była w stanie skłonić Franka do odłożenia wyjazdu na porę poobiednią. Obiad w Greythorne zazwyczaj ciągnął się dość długo, a nawet szybkim samochodem droga do Londynu trwała ponad godzinę.

Dojechał do Londynu przed drugą i od razu udał się do swojego mieszkania w Tempie. Jego służący, Peterson, który opiekował się mieszkaniem, nie zdziwił się na jego widok. Amberley pozostał w mieszkaniu przez pół godziny i między innymi znalazł czas na zjedzenie na prędcie przygotowanego obiadu. Następnie pojechał do redakcji „Timesa”, gdzie spędził nudną, aczkolwiek w rezultacie zadawalającą godzinę nad stosem starych numerów gazety. Poszukiwania przeniosły go kilka lat wstecz; klął na kobiecą niedokładność w sprawach tak doniosłej wagi jak daty. Ostatecznie jednak znalazł informację, której szukał. Po wyjściu z redakcji „Timesa” udał się na pocztę główną, gdzie zaszyfrował i nadał długą depeszę. Jego ostatnim celem była prywatna agencja detektywistyczna. Sprawa, z którą się tam udał nie zabrała d użo czasu i o wpół do piątej jego Bentley kierował się na południe obwodnicą Kingston.

Amberley wybrał tę samą drogę, którą wskazała mu przedtem Felicity - tym razem bez żadnych kłopotów - i dotarł do Greythorne tuż po wpół do szóstej.

Felicity i Anthony Corkran siedzieli w bibliotece przy późnej herbacie. Amberley dowiedział się, że Corkran przyjechał wczesnym popołudniem, żeby namówić go na partię golfa. Nie zastawszy go namówił na grę Felicity; dopiero co wrócili z pola golfowego.

Felicity zadzwoniła po trzecią filiżankę i naląła herbatę dla Franka. Okazało się, że Joan cierpi na ciężką migrenę i poszła do łóżka zaraz po obiedzie zostawiając swego rycerza niepokieszone-

Amberley wyraził uprzejme współczucie.

- Zrozum, wcale jej za to nie winię - rzekł Corkran ponuro. - Trzeba było zobaczyć dziś Basila, żeby w to uwierzyć. Spędził wesoły ranek szukając dziury we wszystkim, co zostało zrobione przez ostatnie pół roku.

Zapewniam cię, on jest w rozkosznym nastroju.

- Dlaczego? - spytał Amberley.

Corkran podsunął filiżankę po dolewkę herbaty.

- Ktoś przekazał mu mnóstwo złych wieści. Do tamtej pory wszystko było w porządku. Był w świetnym humorze. Zjadł nawet na śniadanie smażone jajka, co ja osobiście uważam za ponury widok po szampanie o czwartej nad ranem.

- Kto przyniósł te złe wieści?

- Jakiś jednooki z drewnianą nogą - rzekł Corkran bez namysłu. - Wyglądał jak żeglarz i... zaraz, czekaj... tak, było w nim coś jakby złowieszczonego.

Słyszeć było... słyszeć było głuchy stukot jego drewnianej nogi zbliżający się do nas przez hall.

W jego kierunku poleciała książka. Złapał ją zręcznie.

- Kiepski strzał - skomentował i odłożył książkę.

- Zamknij się i nie zrzedź! - powiedziała Felicity. - To książka z biblioteki.

No, dalej Tony, kto przyniósł te wieści?

- Widzę, że już odgadłaś - powiedział Tony. - To, co mówiłem o tym marynarzu... nie, przepraszam, żeglarzu... to nieprawda. W rzeczywistości wieści przyniósł pewien człowiek,

który zapukał głośno dwa razy i doręczył je w absolutnym milczeniu. Nie zaczekał, tylko odszedł tak cicho, jak się zjawił...

- Bardzo późno dostajecie poranną pocztę - zauważył Amberley. - Nie chciałbym przerywać tej czarującej opowieści, ale nie wiesz przypadkiem, co to były za wieści?

- Słuchajcie, ludzie! - powiedział Corkran. - Wielki detektyw zwierzył cenną wskazówkę! Nie przegapcie jutrzejszego odcinka! Nie, panie Holmes, nie wiem. Ale po powrocie do tego rodzowego zamczyska użyję podstępnego fortelu, żeby wywołać brata Basila i włamię się do sejfu. O ile ma jakiś sejf. Jeśli nie ma, to po prostu przejrzę całą korespondencję na jego biurku i zdam się na los szczęścia. Do najbardziej pożądanych gości w tym sezonie należy Anthony Corkran, którego takt i subtelność czynią go tak powszechnie lubianym.

- Jesteś bałwan - oznajmiła Felicity. - Przykro mi, że Joan tak się przejęła. Może Basil stracił dużo pieniędzy na giełdzie?

- Nie. To wiem na pewno. Amberley popatrzył na niego uważnie.

- Co jeszcze wiesz, Corks? Może byś nam wyjawiał? Anthony wyglądał na niezdecydowanego.

- Czy ja wiem? Czy to wypada? No, wiesz, jestem gościem w jego domu. Rozumiesz - dobre wychowanie, dyskrecja i tak dalej. To jest to, co Basil stale powtarza. Naprawdę.

- No to skąd w ogóle wiesz, że dostał jakieś złe wieści? - zapytała Felicity.

- No wiesz, kiedy facet otwiera list, czyta go i robi się zielony na twarzy, a potem siedzi i gapi się w ten fatalny dokument jak ktoś rażony paralizem, to bystry obserwator od razu domyśla się przyczyny. A poza tym zapytałem go.

- Powiedział ci, o co chodzi? Anthony zastanowił się.

- Tak i nie. Kiedy zrobił się zielony wyraziłem nadzieję, że nie otrzymał żadnych złych wiadomości. A nie muszę dodawać, że cały aż się skurczył w sobie. No więc drgnął, złożył list i dość wymuszonym głosem powiedział, że właściwie wiadomości nie są

złe, tylko trochę niepokojące. Rzeczywiście, zaniepokoiły go nieźle. A najdziwniejsze jest to... - przerwał, a na jego twarzy cherubina pojawił się mars. Spojrzał na Amberleya wyraźnie ważąc coś w myślach. - Słuchaj - powiedział nagle - powiem ci. Naprawdę nie dbam już o poczucie solidarności. Jestem gościem w domu Basila, ale trudno. Nie mogę już znieść tego, jak on traktuje Joan. List, który nim tak wstrząsnął pochodził z prywatnej agencji detektywistycznej. Wiem o tym, bo gdy tak siedział i gapił się w niego, to zauważyłem napis na górnej części strony.

- Rozumiem - rzekł Amberley powoli. -1 to go tak wytrąciło z równowagi.

Hm!

- Tylko przypadkiem nam nie mów, o czym pomyślałeś!

- powiedziała zjadliwie Felicity.

- Nie, skarbie, nie powiem.

- Wolno ci myśleć, że to pomoże w rozwiązaniu zagadki

- rzekł Anthony - ale według mnie to nie ma z tym nic wspólnego. Cała ta sprawa robi się coraz bardziej mglista. Jeśli próbujesz wmieszać w nią Basila, to przyznaję, że myśl jest pociągająca, ale to ci się nie uda. Po prostu będę musiał zeznać, że przebywał w moim towarzystwie w momencie popełnienia morderstwa.

- Prawdę mówiąc, wcale nie myślałem o morderstwie - rzekł Amberley.

Następnego ranka Amberley dowiedział się, że Basil Fountain mniej więcej doszedł do siebie po szoku, jakiego doznał po otrzymaniu wiadomości, ale za to miał spięcie z Collinsem. Tę informację zawdzięczał Joan Fountain, która przyszła do Greyt-horne z Corkranem po części dlatego, że jej dwa terriery potrzebowały ruchu, a po części dlatego, że miała przynieść Felicity obiecaną książkę. Po niedyspozycji poprzedniego dnia Joan była blada i odnosiło się wrażenie, że jej uśmiech jest nieco mechaniczny. Zazwyczaj powściągliwa, tego dnia nie próbowała ganić Felicity za jej swobodnie wyrażaną opinię na temat swojego przyrodniego brata.

Obecność Corkrana wyraźnie podtrzymywała ją na duchu. Korzeniem wszelkiego zła był dla niej Norton Manor, toteż nie

ukrywała, że od samego początku czuła do niego niepoahamowaną awersję. Dla niej Norton Manor oznaczał skrępowanie, niepokój, wścibskie oczy, tajemnice i humory brata. Nie próbowała wyjaśnić tego, co czuje, ani przeproszać za brak rozsądku. Uważała, że każdy dom ma swoją własną atmosferę. Greythorne na przykład miał atmosferę szczęścia i życzliwości. Ale Norton Manor zalegały minione grzechy i tragedie. Atmosfera była pełna jakichś tajemnic i tak nieruchoma, że każdy już od progu czuł przygnębienie. Ani Corkran, ani Amberley nie umieli podążyć za nią do tej metafizycznej sfery, jednak obaj czuli napięcie dręczące jej duszę. Zdaniem Corkrana nie dom był winien, lecz jego mieszkańcy, a miał tu na myśli pana domu i jego lokaja. Joan potrząsnęła głową: może ona sama i Basil nie mają ze sobą wiele wspólnego, lecz dopóki nie zamieszkali w Norton Manor nigdy nie było między nimi aż takich tarć, jak teraz. To ten dom tak działał na nich oboje. A także na lokaja - wzdrgnęła się i umilkła.

Tego ranka, słysząc awanturę w gabinecie Fountaina, Anthony zaczął żywić nadzieje, że lokaj zostanie zwolniony. Co między nimi zaszło - nie wiadomo. Joan sądziła, że Collins sprzeciwia się dodatkowym obowiązkom. Oboje, z Anthonym słyszeli gniewny, podniesiony głos Basila, a potem Collins wyszedł z gabinetu z zaciśniętymi w wąską, twardą kreskę wargami. Lecz chociaż Fountain twierdził wiele razy, że ten służący staje się nie do zniesienia i że - na Boga-ma wielką ochotę go wyrzucić, nic podobnego nie zrobił. Pojechał natomiast do Londynu na rozmowę z kandydatami na nowego kamerdynera.

Znalezienie odpowiedniego człowieka na miejsce Dawsona okazało się tak trudne, jak się tego spodziewał. Jedni kandydaci, ubiegający się o to stanowisko zupełnie nie posiadali odpowiednich kwalifikacji. Natomiast ci, których nazwiska przysłała Agencja Fincha nie chcieli przyjechać do domu odległego o siedem mil od najbliższego miasteczka, a prawie dwie mile od głównej drogi. Jednakże poprzedniego dnia po południu zadzwoniono z Agencji z informacją, że pojawił się nowy kandydat,

któremu nie przeszkadza odległe położenie Norton Manor. Wobec tego Fountain pojechał do Londynu obejrzeć tego człowieka; w wypadku, gdyby ów człowiek - tak jak cała reszta dotąd - okazał się nieodpowiedni, zamierzał zamieścić ogłoszenie w „Morning Post”.

Joan uznała, że skoro brata nie będzie w domu, można zaprosić na herbatę Felicity i Amberleya. Felicity przyjęła zaproszenie jednak Amberley był już wcześniej umówiony. Zapytany, udzielił irytująco wymijającej odpowiedzi. Felicity usprawiedliwiała go przed przyjaciółką mówiąc, że prawdopodobnie udaje się na poszukiwanie wskazówek do wyjaśnienia morderstwa.

Joan wiedziała, że Amberley wykazuje większe niż normalne zainteresowanie morderstwem. Okazała zadowolenie i zapytała nieśmiało czy uważa, że będzie mógł wykryć sprawcę.

- Tak uważam - odparł z niezwykłą jak na niego uprzejmością.

- Cieszę się - rzekła po prostu. - Wiem, że ta sprawa trapi Basila. Bardzo go rozstroiła. Wydaje się, że prześladowuje go po nocach.

Amberley wyruszył tuż przed czwartą na swoje „umówione spotkanie”.

Pojechał do Upper Nettlefold, a stamtąd prosto do Ivy Cottage.

Droga do Ivy Cottage była przedłużeniem głównej ulicy miasteczka. Biegła w kierunku południowym, mijając rząd nowych domków. Zabudowania wkrótce się skończyły, a droga skręciła na zachód i przez kilkaset jardów ciągnęła się wzdłuż rzeki Nettle. Potem rzeka skręcała w lewo, i w polu widzenia pojawiła się prowadząca do Ivy Cottage aleja, która przecinała pofałdowane pastwiska. .

Amberley dojechał właśnie do wylotu alei i zwolnił, żeby w nią skręcić, kiedy ktoś go zawołał. Zatrzymał samochód i zobaczył tęgą, krzepką postać sierżanta Gubbinsa na rowerze. Sierżant jechał w jego stronę pedałując zawzięcie.

Amberley zjechał na pobocze i wyłączył silnik.



- O co chodzi sierżancie? - spytał.

Sierżant zsiadł z roweru zziajany i powiedział, że dzień jest ciepły. Amberley zgodził się z nim.

Sierżant potrząsnął głową z niejakim smutkiem.

- Miałem nadzieję, że wpadnie pan na posterunek dziś rano. Wczoraj widziałem się z komisarzem.

- Cóż za zbieg okoliczności - rzekł Amberley. - Ja też. Sierżant spojrzał na niego z wyrzutem.

- Kiedy mi powiedział, o czym rozmawialiście w Greythor-ne... no, mam takie wrażenie, że to zupełnie do pana niepodobne.

- To znaczy co?

- Sposób, w jaki zajmuje się pan tą sprawą. Tak, zupełnie to do pana niepodobne. Ponieważ znam pana dobrze, to mam uczucie, że trzyma pan coś w zanadru. A tego bym się po panu nie spodziewał. No i jeszcze jest to, co mi pan powiedział po rozprawie. Wtedy nie przywiązywałem do tego wagi, bo wiem, że ma pan taki sposób mówienia, jakby pan żartował. Ale kiedy pułkownik wspomniał, jak to pan mu powiedział, że nie jest pan pewien czy chce pan współpracować z policją, to byłem bardzo zaskoczony. Przypomniałem sobie taką samą uwagę, którą skierował pan do mnie, więc sobie dodałem dwa do dwóch i wyszło mi, że chyba mówił pan to całkiem serio. A czegoś takiego nigdy bym się po panu nie spodziewał.

- Przykro mi - rzekł Amberley.

- Wiem, rzecz jasna, że w swojej pracy zawodowej działa pan często wbrew prawu - ciągnął poważnie sierżant.

- Co?

- Załatwia pan uniewinnienie tym, którzy powinni siedzieć w Dartmoor.

Wiele razy pan to robił, ale, jak to się mówi, taką ma pan pracę. I to jest w porządku. Ale przez to różne pomysły przychodzą panu do głowy.

- Słuchaj pan! - zniecierpliwiał się Amberley. - O co właściwie chodzi?

- Proszę mi wybaczyć, ale tak naprawdę nie pracuje pan dla nas - ciągnął uparcie sierżant. - Coś pan ukrywa. Nie udzielił pan

nam żadnych wskazówek, a to jasne jak słońce, że ma pan jakieś swoje podejrzenia.

- Czyżby? Przykro mi to słyszeć. Niech pan na mnie aż tak me naciska!

Sierżant obrzucił go badawczym spojrzeniem i nagle uświadomił sobie, że uwaga Amberleya skierowała się gdzie indziej. Patrzył gdzieś poza niego, na bramę Ivy Cottage ledwo widoczną w głębi alei. Sierżant już miał się odwrócić, żeby zobaczyć, co go tak zainteresowało, lecz Amberley powstrzymał go.

- Niech się pan nie odwraca, sierżancie - powiedział cicho. Sierżant poczuł nieprzewartą chęć zerknięcia przez ramię, lecz zdołał się powstrzymać.

- Co pan zobaczył?

Amberley już nie spoglądał w kierunku alei. Przed minutą przez furtkę w bramie wysliznął się jakiś mężczyzna. Rozejrzał się ukradkiem i na widok samochodu u wlotu alejki i kierowcy zatopionego w rozmowie z sierżantem Gubbinsem, odwrócił się czym prędzej i odszedł w przeciwnym kierunku.

- Bardzo ciekawe - podjął przerwana rozmowę Amberley przeciągając słowa.

- I co pan na to, sierżancie?

- I co pan na to?! - sierżant aż zakipiał z oburzenia. - Najpierw każe mi się pan nie odwracać, a potem pyta, co ja na to?

Amberley potarł brodę w zadumie.

- Wygląda na to, że nie pomyliłem się aż tak bardzo.

- Naprawdę? - zapytał z wściekłością sierżant. - To świetnie. A może, jeśli będę cierpliwy, to uzna pan za stosowne powiedzieć mi, co pan zobaczył.

- Mężczyznę sierżancie. Po prostu mężczyznę.

- Tak, czasem widuje się tu ludzi - zgodził się sarkastycznie sierżant. - Teraz na przykład widzę dwóch, młodego Thomasa i pana Farleigh. Zaraz i pan ich zobaczy.

- Zwykły, godny szacunku człowiek-myślał na głos Amberley. - A jednak nie był zachwycony naszym widokiem. Dokąd prowadzi ta droga, Gubbins?

- Na farmę Fawcetta - warknął sierżant.
- Nigdzie dalej?
- Nie, tam się kończy.
- Ach tak! Czy myśli pan, że nasz przyjaciel Collins naprawdę ma jakiś interes na farmie Fawcetta?
- Collins? - zainteresował się sierżant. - To był on?
- Tak, sierżancie. Składał wizytę w Ivy Cottage.
- To dziwne - zauważył sierżant. - Czego on tam szukał? I poszedł w stronę farmy Fawcetta? No to pójdzie na przelaj przez pola. Jest tam ścieżka. Przyszło mi właśnie do głowy, że nic nie wiemy o tym rodzeństwie Brownów. Ten młody Brown spędza prawie wszystkie wieczory w knajpie „Pod Błękitnym Smokiem” i upija się do nieprzytomności. Co on może mieć za konszachty z lokajem?
- Nad tym właśnie się zastanawiam - rzekł Amberley.
- Tak, nie wątpię, że się pan nad tym zastanawia, gdybym tylko miał pewność, że na tym się skończy... Co właściwie miał pan na myśli mówiąc, że nie pomylił się pan aż tak bardzo?
- Widzę, że nic się przed panem nie da ukryć - rzekł Amberley potrząsając głową.
- No, mam nadzieję, że jeszcze trochę rozumu mi zostało - odparł sierżant nieco ułagodzony. - Nie uważam się za takiego, co to myśli, że wszystko wie, jak niektórzy, co myślą, że zjedli wszystkie rozумы i wyrażają się tak mądrze, że nigdy nie wiadomo o co im chodzi; jeśli w ogóle o coś im chodzi, w co czasem można by wątpić.
- Na przykład? - Amberley wyszczerzył zęby w uśmiechu.
- Och, pomyślałem sobie o takim jednym - odparł sierżant niedbałym tonem.
- Ach tak, rozumiem. Przez chwilę miałem wrażenie, że mówi pan o mnie. Sierżant przez chwilę walczył ze sobą.
- Niech pan posłucha! - powiedział w końcu. Nic mogę przez cały dzień stać na drodze i słuchać jak pan sobie urządza ze mnie żarty. Mam robotę. Zamierzałem powiedzieć, że nigdy mi

się ten Collins nie podobał, tylko po co? I tak nie obchodzi pana, co ja myślę.  
- Absolutnie - przyznał szczerze Amberley. - Ale bardzo jestem ciekaw, po co Collins chodzi do Ivy Cottage.

- No, to akurat łatwo sprawdzić - w sierżanta wstąpił nowy zapał. - Co prawda nie bardzo rozumiem jaki to ma związek ze zbrodnią, ale chyba rozsądniej będzie jak się zajmę tym, zamiast grzebać jak głupi w zgniłych liściach w poszukiwaniu łuski od naboju. Inspektor kazał właśnie to robić paru ludziom. Jeszcze nie znaleźli i pewno nie znajdą, chociaż posterunkowy Parkins znalazł w rowie dziurawy czajnik i pół starego buta.

- Znaleźli może ślad roweru albo motoru na polu za żywopłotem? - zapytał Amberley.

- O ile wiem, to nie.

- A patrzyli tam w ogóle?

- O tak, chociaż trochę im przeszkadzono, że tak powiem, a to z powodu młodych byczków pana Fawcetta, które wydostały się na pole. Zdaje się, że były w świetnym nastroju do zabawy.

- Wspaniale! Pobawiły się z inspektorem Fraserem? Sierżant dużą dłonią zasłonił usta.

- No, słyszałem, że inspektor nie został na polu na tyle długo, żeby dać im szansę, że się tak wyrażę.

Amberley roześmiał się i włączył silnik.

- Może nie przepada za zwierzętami. No, sierżancie, niech pan mnie już dłużej nie zatrzymuje, bo mam coś ważniejszego do zrobienia.

- Ja? Ja pana zatrzymuję? No...

- I jeśli nie sprawi to panu różnicy, to sam sprawdzę, po co Collins był w Ivy Cottage.

Samochód ruszył powoli; sierżant przeszedł kilka kroków obok niego.

- Wszystko ładnie - pięknie, ale kiedy udzieli nam pan jakichś wskazówek?

- Wszystko w swoim czasie - obiecał Amberley. - Sam jeszcze niewiele wiem.

Powiem panu jedno - o ile się nie mylę, to

przekonacie się, że zamordowanie Dawsona jest najmniej ciekawą częścią całego problemu. Do zobaczenia!

Sierżant cofnął się, popatrzył za oddalającym się w stronę Ivy Cottage samochodem, po czym ruszył w dalszą drogę do Upper Nettlefold.

Amberley zostawił samochód przed białą furtką i skierował się do frontowych drzwi domu. Okno w pokoju na parterze było otwarte i słychać było rozdrażniony głos Marka Browna.

- Wszystko zepsułaś. Trzeba było mnie to zostawić. Na pewno nie dałbym się uprzedzić. Najpierw pozwalasz mu to zabrać, a potem po niego posyłasz. No i po co to było? A jak go ktoś widział?

Amberley głośno zapukał do drzwi i głos raptownie umilkł. Po chwili Mark Brown otworzył drzwi, a najwyraźniej uradowany bullterrier wyskoczył, żeby przywitać gościa.

- Dzień dobry - powiedział Amberley swobodnie. - Przyszedłem zwrócić pana siostrze coś, co zgubiła.

Mark rozpoznał go i zaczerwienił się.

- Och, to pan. Proszę wejść. Zdaje się, że... nieźle się wtedy zalałem.

Dziękuję, że odwiózł mnie pan do domu.

Amberley odparł, że nie było to nic wielkiego. Kiedy chciał, potrafił być miły, a teraz najwyraźniej chciał. W dwie minuty zaskarbił sobie sympatię Marka, który pozbył się nieco swej podejrzliwości i zaprosił go do środka.

Amberley w towarzystwie psa wszedł za Markiem do małego saloniku.

Shirley Brown stał za stołem. Nie okazała najmniejszego zadowolenia na jego widok, a jedynie przyglądała mu się bacznie marszcząc brwi.

- Jak się pani miewa? - spytał bez śladu skonsternowania. - Czy tamtego wieczoru dotarła pani bezpiecznie do domu?

- Gdybym nie dotarła, to by mnie tu nie było - odparła opryskliwie.

- Och, zamknij się, Shirley! - wtrącił się jej brat podsuwając gościowi krzesło.

- Proszę usiąść. Nazywa się pan Amberley, tak? Czy nie wspomniał pan, że ma pan coś, co należy do mojej siostry?

W oczach dziewczyny pojawiło się zaskoczenie.

- Coś mojego? - zapytała pośpiesznie.

- Coś, co zgubiła pani w Norton Manor - rzekł Amberley. Zapadła pełna napięcia cisza. Oczy brata i siostry spotkały się na ułamek sekundy.

- Tak? A co takiego? - spytał Mark z wymuszoną swobodą.

- Tylko coś, co panna Brown upuściła - wyjaśnił Amberley i wyciągnął z kieszeni zmiętą chusteczkę. - Proszę.

Napięcie zelzało. Shirley wzięła chusteczkę.

- Jak to uprzejmie z pana strony, że zadał sobie pan tyle trudu

- powiedziała ironicznie.

- Ależ nie ma o czym mówić - odrzekł szarmancko. Wpatrywała się w niego z mieszaniną zaskoczenia i wrogości

w oczach. Jej brat, bardziej gościnny niż ona, wypełnił niezręczną ciszę pytając Amberleya czy nie zechciałby zostać na herbacie.

Amberley przyjął zaproszenie i, napotkawszy pełne oburzenia spojrzenie dziewczyny, uśmiechnął się złośliwie. Przełknęła jakieś przekleństwo i poszła do kuchni.

Mark zaczął przeproszać za mizerne otoczenie. Wynajęli ten dom tylko na miesiąc, tłumaczył; oboje pracują w Londynie

- przy tych słowach odwrócił na chwilę wzrok - i teraz są na wakacjach.

Shirley jest sekretarką Ann March. Mark spodziewał się, że Amberley zna to nazwisko - Ann March to autorka niezłych, choć nieco kiczowatych powieści. Zapytany o miejsce pracy Mark odparł wymijająco i z jakimś zawstydzeniem, że w banku. Amberley wiedział, że banki nie mają w zwyczaju dawać swoim pracownikom całego miesiąca urlopu, więc domyślił się, iż praca Marka zakończyła się nagle i nieoczekiwanie. Nie był tym zaskoczony, lecz z rzadkim u siebie taktem skierował rozmowę na inne tory, z dala od niewygodnych tematów.

Gdy pojawiła się Shirley z herbatą, podziwiał narzutę ze skór szakala pokrywającą sofę. Mówił, że jeden z jego znajomych przywiózł podobną z Durbanu. Mark dodał, że jest ich mnóstwo w tamtejszych sklepach i że kupują je głównie turyści.

Shirley przerwała tę uprzejmą wymianę zdań pytając szorstko czy gość życzy sobie cukru i mleka do herbaty. Amberley przeniósł swoją uwagę na dziewczynę i ku jej irytacji uparł się, żeby rozmawiać o balu w Norton Manor. Monosylaby, które słyszał w odpowiedzi w najmniejszym stopniu go nie peszyły. Dziewczyna starała się ukryć irytację, która wyraźnie bawiła Amberleya.

Gdy wypili herbatę Shirley kazała Markowi sprzątnąć ze stołu i natychmiast po jego wyjściu otwarcie zaatakowała Amberleya..

- No? O co chodzi?

- Co o co chodzi? - zdziwił się Amberley.

- Po co pan tu przyszedł? Chyba nie myśli pan, że uwierzę, że naprawdę chodziło o oddanie mi chusteczki, co? Jeśli pan tak myśli, to chyba uważa mnie pan za idiotkę!

- Zgadza się - odrzekł. Jego słowom towarzyszył rozbijający uśmiech, który wywołał isierkę uśmiechu w jej oczach. Stłumiła ją zaraz.

- Nie sądzę też, by przyszedł pan tu dla samej przyjemności przebywania w towarzystwie takiej... s m a r k u l i jak ja.

- Przynajmniej pamięć pani dopisuje - roześmiał się.

- Jest pan najbardziej grubiańskim człowiekiem jakiego miałam pecha w życiu spotkać - rzekła gniewnie.

- Naprawdę? Zdawałoby się że pani sama ma wszelkie kwalifikacje do wydawania podobnych sądów.

Roześmiała się nieoczekiwanie i wstała.

- Jest pan niemożliwy - powiedziała wyciągając rękę.

Był to sygnał do zakończenia wizyty. Amberley podniósł się, jednak nie podał jej ręki. Ręka dziewczyny opadła, uśmiech znikł z jej oczu.

- Panie Amberley - powiedziała szorstko.

- No?

- Uważa mnie pan za podejrzaną, zdaję sobie z tego sprawę. W takim razie dlaczego nie odda mnie pan w ręce policji?

Amberley potrząsnął głową.

- Obawiam się, że przecenia pani inteligencję naszego inspektora. Prawdopodobnie doprowadziłby panią do stryczka.
- Pracuje pan dla policji, prawda? Niech się pan nie trudzi zaprzeczeniem, wiem, że pan pracuje. I nadal uważa pan, że miałam coś wspólnego z tym morderstwem. No to...
- A nie miała pani z nim nic wspólnego? - przerwał jej Amberley. Pobladła.
- Co pan ma na myśli?
- To, co mówię. Poszła się pani spotkać z Dawsonem.
- Nie!
- Proszę nie kłamać. Dawson miał coś, co pani chciała mieć. I z powodu tego czegoś został zamordowany. Pani zjawiała się na scenie za późno.
- To nieprawda! - zaprzeczyła ochryplym głosem. - Nie ma pan na to dowodu!
- Ale będę miał - zapewnił i wziął kapelusz. - Nie musi pani robić takiej obrażonej miny. Nie zamierzam pani o nic pytać. Uzyskałem już tę informację, po którą przyszedłem. Resztę też będę niedługo wiedział - i to bez pani pomocy.
- Jaką informację? Wyobraża pan sobie, że co pan odkrył?
- A to już zostawiam pani domysłom. Do widzenia!



Nadzieje Amberleya na spokojny wieczór rozwiął telefon, który zadzwonił w samym środku kolacji. Sir Humphrey surowo krytykował ludzi, którzy niezmiennie dzwonią w porze posiłków, ponieważ „są pewni, że zastaną cię w domu” i gniewnie wypytywał lokaja kto dzwoni i dlaczego nie zostawił wiadomości.

Amberley z całego serca popierał zapatrywania wuja, jednak dowiedziawszy się, że telefon pochodzi od Basila Fountaina zdecydował się odejść od stołu. Kilka chwil później wrócił do jadalni i w odpowiedzi na dociekania Felicity powiedział, iż Fountain prosi go o przybycie do Norton Manor po kolacji.

- Po co? - zacięła się Felicity.

- Najwyraźniej przypomniał sobie coś ważnego - odparł Amberley nakładając sobie na talerz sałatkę.

- Ja też mam z tobą jechać?

- Nie.

- O kurczę! - powiedziała Felicity beznamiętnie.

Amberley pojechał do Norton Manor około wpół do dziewiątej. Wieczór był piękny i bezchmurny. Skąpany w świetle księżyca Norton Manor rzucał ostre, czarne cienie. Dom wyglądał niezbyt zachęcająco, ponieważ story były szczególnie zaciągnięte i z żadnego okna nie dochodziło światło.

Drzwi otworzył Collins i wprowadził Amberleya do biblioteki, gdzie czekał na niego pan domu. Był sam.

Fountain przeprosił Amberleya za wyciągnięcie z domu o takiej porze i dla usprawiedliwienia wyjaśnił, że dopiero po południu dowiedział się od komisarza, iż Amberley przejął sprawę. Okazało się, iż wie coś na temat zamordowanego

kamerdynera i uważał, że Amberley powinien się o tym dowiedzieć. Przerwał, kiedy do pokoju wszedł Collins z kawą na tacy i czekał, aż lokaj poda filiżankę gościowi. Jednakże tym razem nie miał nic przeciwko temu, żeby Collins słyszał, co ma do powiedzenia.

- Rozmawiałem z Collinsem o tym, co chcę panu powiedzieć, ale niestety nie może nam wiele pomóc - podjął Fountain biorąc do ręki kulisty kieliszek. - Miałem nadzieję, że może wie coś więcej niż ja. Ale, jak twierdzi, Dawson rzadko mówił o swoich sprawach.

Amberley spojrzał w kierunku lokaja, na którego obliczu nie malowało się żadne uczucie.

- Czy Dawson sprawiał wrażenie, że ma coś do ukrycia?

- Nie, proszę pana - odparł Collins swoim uładowym, beznamiętnym tonem

- ale nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Nie byliśmy zaprzyjaźnieni.

- Czy mówiąc, że nie byliście zaprzyjaźnieni, masz na myśli, że się nie lubiliście?

- Ach nie, nic podobnego - odparł Collins. - Gdyby były jakiegokolwiek scysje nigdy nie zostałbym na służbie w Norton Manor.

Amberley przeniósł wzrok na kominek.

- Czy jeszcze coś, proszę pana? - zapytał po chwili uprzejmie Collins.

- Nie, to wszystko - rzekł Fountain. Odczekał aż służący wyjdzie, a potem powiedział, że udało mu się znaleźć kamerdynera na miejsce Dawsona.

- Naprawdę? Słyszałem, że pojechał pan do Londynu obejrzeć kandydata. Nadawał się?

- Chyba tak - odparł Fountain. - Miał świetne referencje. Chociaż prawdę mówiąc wolałbym porozmawiać przez telefon z jego poprzednim pracodawcą. Niestety, wyjechał do Ameryki. Dał Bakerowi - tak się nazywa ten nowy kamerdyner - bilecik, ale nigdy nic nie wiadomo z tymi referencjami, które wręczają ci sami

służący. W każdym razie ten Baker był gotów zacząć od zaraz, więc postanowiłem wziąć go na próbę. Przez miesiąc czy dwa był bez pracy, bo trochę chorował. Mam nadzieję, że nie okaże się jakimś oszustem.

Podsunał Amberleyowi pudełko z cygarami, ale zaraz przypo- J mniał sobie, że jego gość nie pali i zaczął się rozglądać za " papierosami.

Amberley potrząsnął przecząco głową, wyjął fajkę i zaczął ją nabijać.

- Co takiego chciał mi pan powiedzieć? - spytał.

Historia, którą opowiedział mu Fountain była dość zagadkowa. Incydent ów zdarzył się dwa lata wstecz, kiedy Fountain został dziedzicem swego wuja.

Kiedy przejął dom wiedział, że każdy ze służących miał raz w miesiącu wolny dzień, nie licząc wolnych popołudni. Uważał takie ustalenia za słuszne,

zresztą nie zamierzał zmieniać żadnych reguł w domu. Dawson jako jedyny korzystał z przywileju późnego powrotu, co oznaczało, że nie musiał być w domu przed dziesiątą wieczór, kiedy miał wychodne, a to dlatego, że

podobno odwiedzał siostrę mieszkającą w Brixton, dokąd trudno było dojechać z Upper Nettlefold. Fountain nigdy tego nie kwestionował aż do

czasu, kiedy przypadkiem pewnego razu był na kolacji w Londynie. Dawson miał akurat wtedy wolny dzień. I kogóż to nie ujrzał trzy stoliki dalej, jak nie

Dawsona we własnej osobie, w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

Amberley uniósł brwi, ale nie odezwał się.

- Restauracja nazywała się „Magnificent” - to takie niegus-towne, przeładowane ozdobami miejsce, ale wcale nie tanie. Może Amberley je zna?

Amberley skinął głową i sięgnął do kieszeni po zapalniczki.

No więc Fountain zdziwił się, lecz ponieważ nie była to jego sprawa, co

Dawson robi w wolnym czasie, udał, że go nie zauważył. Następnego dnia

rano Dawson z własnej woli poruszył ten temat. Powiedział, że jest świadom tego, iż jego pana musiała zastanowić jego obecność w restauracji i pragnął

to wyjaśnić.

Fountain uznał wyjaśnienie za zadowalające, toteż cały incydent wyleciał mu z pamięci. Przypomniał sobie dopiero teraz, kiedy bez przerwy roztrząsał w myślach to morderstwo i próbował zebrać wszystko to, co wie na temat Dawsona.

A więc Dawson jadł kolację z pewnym Amerykaninem, znajomym sprzed lat, kiedy był na służbie w Nowym Jorku. Fountainowi zdawało się, że był zwykłym służącym u jakiegoś milionera, ale nie był pewien - to było tak dawno. Jedno co wiedział na pewno to to, że Jasper Fountain natknął się na niego w Ameryce i przywiózł do Anglii jako kamerdynera. Tak czy owak, ów Amerykanin, z którym był na kolacji tamtego wieczoru - według słów Dawsona - wzbogacił się i przyjechał z wizytą do Anglii. Odszukał adres starego znajomego i zaprosił go na kolację w Londynie. Prawdopodobnie chciał go oszołomić swoim majątkiem, przynajmniej takie wrażenie odniósł Fountain, gdy Dawson mu to opowiedział. Tak czy inaczej, przestał o tym myśleć aż do chwili, gdy zaczął przypominać sobie wszystko, co wie o Dawsonie. Pierwszą rzeczą, na którą zwrócił uwagę, była tajemnicza żyła złota Dawsona. Nikt jak dotąd nie dotarł do jej źródła. Jego sugestia, że może Dawson grał na wyścigach została z miejsca odrzucona za sprawą gospodyni, która stwierdziła stanowczo, iż kamerdyner potępiał wszelkie formy hazardu.

I wtedy właśnie przypomniał sobie ten wieczór w restauracji „Magnificent”. Dawniej nie wątpił w prawdziwość wyjaśnień Dawsona, lecz w świetle nowo odkrytych faktów przyszło mu do głowy, że Dawson mógł skłamać. Czy nie mogło być i tak, że ten Amerykanin nie był wcale żadnym starym znajomym, a kimś, kogo Dawson trzymał w szachu?

- Szantaż? Zupełnie możliwe. Czy Dawson sprawiał wrażenie człowieka zdolnego do szantażowania?

- Nie, zupełnie nie. Ale skąd miał te pieniądze? To wstrętne obrzucać błotem zmarłego, ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej mi to pasuje. To było dwa lata temu, rozumie pan. Mniej więcej w tym czasie Dawson otworzył konto w Carchester. I co pan o tym sądzi?

- Bez wątpienia ciekawe - rzekł Amberley. - Czy pamięta pan dokładną datę?  
- Nie, niestety, okropnie mi przykro - powiedział ponuro Fountain. - To było wkrótce potem jak tu nastalem, a więc jesienią. W każdym razie pomyślałem, że należy panu o tym powiedzieć.

- Zupełnie słusznie. Trzeba to będzie dokładnie sprawdzić. Inspektor Fraser poszukujący nieznanego Amerykanina - a może wcale nie Amerykanina - który jadł kolację w restauracji dwa lata temu nie wiadomo którego dnia powinien dać niezłe widowisko.

Fountain roześmiał się.

- Tak przedstawiona sprawa wydaje się beznadziejna. A to kto może być, u licha?

Gdzieś w głębi domu zadźwięczał dzwonek. Osoba, która za niego pociągnęła najwyraźniej chciała mieć pewność, że zostanie usłyszana. Przez kilka chwil w ciszy domu rozbrzmiewał głuchy odgłos metalu uderzającego o metal.

- To do frontowych drzwi - rzekł Fountain. - Wszystkie pozostałe dzwonki są elektryczne. Mam nadzieję, że to nie ten cholerny inspektor Fraser.

Przychodzi stale i zadaje służbie idiotyczne pytania. Bardzo tego nie lubią. Amberley zerknął na zegar.

- Inspektor nie przyszedłby o tej porze, chyba że miałby jakąś niezwykle ważną sprawę.

Dźwięk dzwonka umilkł. Usłyszeli otwieranie frontowych drzwi i jakieś bezładne, coraz donośniejsze głosy.

Fountain uniósł brwi zdumiony i nieco rozbawiony.

- Co u licha... - zaczął, ale zaraz urwał i zaczął nasłuchiwać. Jeden z głosów wzniósł się nagle, ale nie można było rozróżnić słów. Potem dał się słyszeć odgłos jakiejś szamotaniny i rozpaczliwy krzyk „Pomocy!”.

Fountain zerwał się na równe nogi.

- Dobry Boże, to Collins!

Krzyk rozległ się ponownie. - Pomocy! Pomocy!

Fountain gwałtownym ruchem otworzył drzwi i wypadł na korytarz. Drzwi wejściowe stały otworem, a w progu dwaj mężczyźni szamotali się zawzięcie. Jednym z mężczyzn był lokaj, drugim - Mark Brown.

Światło z ganku padło na lufę pistoletu w dłoni Marka. Collins usiłował pochwycić pistolet; twarz miał posiniąłą z wściekłości, wargi cofnięte i obnażone zęby, oczy rozjarzone furią i nienawiścią.

Zanim Fountain czy Amberley zdążyli dobiec do drzwi, Mark zdołał wyszarpnąć się Collinsowi.

- Boisz się iść do piekła, co? - zawołał. - To ja ci pomogę! Nastąpił ogłuszający huk, lecz oddając strzał Mark słał się na nogach i kula poszła bokiem. Rozległ się trzask i brzęk tłuczonego szkła; kula trafiła w oszkloną szafę stojącą w końcu hallu i wbiła się w ścianę za nią. Nim Mark zdołał wystrzelić ponownie, Amberley dopadł go, złapał za rękę z pistoletem i wykręcił. Mark krzyknął z bólu i wypuścił pistolet na podłogę. Fountain złapał Marka za drugie ramię i przytrzymał. Amberley puścił go, schylił się, podniósł pistolet i wsunął go do własnej kieszeni.

W tym momencie otworzyły się drzwi sali bilardowej i wyszedł Anthony, a Joan tuż za nim.

- No, no, no! - powiedział wesoło. - Co to za rejwach?

- Już w porządku, nic się nie stało - odparł Amberley. Fountain przypatrywał się pojmanemu.

- Coś ty za jeden, do diabła? - zapytał gniewnie. - Czego tu szukasz?

Ból wykręconej ręki zdawał się nieco otrzeźwić Marka. Obrzucił Fountaina mściwym spojrzeniem.

- Puść mnie pan! - wymamrotał. - I tak nic nie powiem. Puść mnie pan! Fountain nie zwalniał uścisku.

- Wezwij policję, Collins - polecił. Nabiegłe krwią oczy Marka roz błysły.

- Lepiej nie - powiedział z groźbą w głosie - bo pożałujesz. Gorzko pożałujesz, ja ci to mówię. Nikt się nie będzie wtrącał do moich spraw!

- Pijany - stwierdził Corkran. - Zalany w pestkę. Kto to jest?

- Zdaje się, że to ten młody człowiek z Ivy Cottage - odezwał się Collins. Odzyskał już swoje zwykłe opanowanie: ani na jego twarzy, ani w spokojnym głosie nie było już śladu emocji.

- Co? - Fountain przyjrzał się Markowi.

- To twój kumpel, Collins? - dopytywał się Corkran.

- Ależ skąd, proszę pana. Obawiam się, że ten młody dżentelmen jest, jak pan mówi, nie zupełnie trzeźwy.

- Powinieneś wyleczyć się z tego nawyku do przesady - rzekł Corkran. - Do kogo on strzelał?

- Do mnie, proszę pana, ale wydaje mi się, że nie odpowiada za swoje czyny.

- Ciekawe dlaczego tak uważasz? - powiedział niewinnym głosem Corkran. Fountain nie spuszczał wzroku z Marka.

- Dżentelmen, co? Masz całkowitą rację, Tony, on jest pijany. Wepchnął Marka do hallu i wolną ręką zamknął drzwi. Puścił chłopaka i zmarszczył brwi.

- No, młody człowieku - rzekł. - Co ty sobie, u diabła, wyobrażasz, żeby nachodzić mój dom i strzelać do służącego? Czy wiesz, że mogę cię za to wsadzić do więzienia?

Mark pocierał bolącą rękę.

- No i dobrze, wsadźcie mnie do więzienia! - powiedział wyzywająco z pijacką brawurą. - Wcale się nie boję! Tak zrobię, że pożałujecie żeście się ośmielili ze mną zaczynać! Zobaczycie!

- Powinienem kazać go aresztować - powiedział z niesmakiem Fountain - ale jest zbyt pijany, żeby wiedział co robi.

- Wszystko ładnie - pięknie - zaoponował Anthony - ale z jakiego powodu chciał zamordować Collinsa? Tylko dlatego, że jest w świetnym humorze?

- Wcale nie chciałem go zamordować! - zawołał Mark przestraszony. - Wcale nie chciałem strzelać!

- Lepiej byś przeprosił pana Fountaina - odezwał się Amberley, który do tej pory przypatrywał mu się w milczeniu. - Wygłupiłeś się.

Fountain szybko zwrócił wzrok na Amberleya.

- Zna go pan?

- Trochę. Stan, w jakim się znajduje jest dla niego normalny.

- Dobry Boże! Nie chciałbym osądzać go zbyt surowo. Co mam zrobić? Wezwać policję czy go puścić?

- Ja osobiście bym go puścił - rzekł Amberley. - Ale decyzja należy do pana.

- No, nie wiem. W końcu przecież mógł zabić Collinsa. Lokaj zakasłał, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Nie chciałbym, żeby ten młody dżentelmen miał przeze mnie kłopoty, jaśnie panie. Kiedy wytrzeźwieje, to sobie uświadomi, że zachował się niemądrze.

Mark wodził niepewnie wzrokiem od Collinsa do Fountaina.

- Nie chciałem tego zrobić, naprawdę. Ja... pomyliłem się. Przepraszam.

- Niech to będzie lekcja na przyszłość, żebyś się trzymał z daleka od trunków

- powiedział surowo Fountain i otworzył drzwi. - A teraz wynoś się!

Mark bez słowa odwrócił się i wyszedł powłócząc nogami.

- No tak! - wybuchnął Corkran, gdy Fountain zamknął drzwi. - To najgłupsza rzecz, jaką mogłeś zrobić! Skąd wiesz, czy to nie on zastrzelił Dawsona?

- Zastrzelił Dawsona? - powtórzył bezmyślnie Fountain. - Dlaczego, do diabła, miałby to zrobić?

- Skoro już o tym mowa, to dlaczego miałby strzelać do Collinsa? - spytał Corkran. Odprowadził wzrokiem lokaja, który zniknął za wahadłowymi drzwiami po drugiej stronie hallu. - Nie mówię, że go za to potępiam z kretesem, ale...

- Tony, nie bądź taki okropny! - odezwała się Joan błagalnym głosem. Wciąż jeszcze drżała z przestachu spowodowanego



nagłym strzałem. - Panie Amberley, chyba pan nie myśli, że to był morderca?

- Nie, uważam, że to zupełnie nieprawdopodobne - odparł Amberley.

- No dobrze, powiedzmy, że nie zabił Dawsona - upierał się Anthony. - To po co przyszedł tu węszyć? Tylko nie mówcie, że to dlatego, że był zalany, bo niedobrze mi się robi. Gdybym to ja wdarł się do obcego domu i próbował kogoś zastrzelić i potem tłumaczył się, że byłem pijany, to byście uznali to za wystarczające wyjaśnienie? Akurat! Zaczniemy od tego, że ten facet chciał kogoś zabić. Po czterech czy pięciu kolejkach pomyślał sobie: „Do diabła, pójdę i zabiję go od razu!” Przestańcie mi wmawiać, że naturalną reakcją zalanego w pestkę faceta jest wziąć broń, przejść zataczając się kilka mil, wdrzeć się do zupełnie obcego domu i zrobić w nim strzelaninę. To dziecinne.

- Masz absolutną rację - zgodził się z nim Amberley.

- Gdybyś to ty wdarł się do cudzego domu, to pomyślałbym, co najgorsze. Ale ty nie jesteś niezrównoważony psychicznie, a ten chłopak jest.

- No proszę! - rzekł z zadowoleniem Anthony. - Moje szare komórki pracują, co?

- Tego nie powiedziałem. Jest różnica pomiędzy niezrównoważonym psychicznie, a umysłowo niedorozwiniętym.

Anthony rozejrzał się za czymś, czym mógłby w niego rzucić.

- Och, przestańcie! - wtrąciła się pospiesznie Joan. - Naprawdę tak pan myśli, panie Amberley?

W oczach Amberleya zamigotały iskierki.

- Widzi pani, chodziłem z nim do szkoły - wyjaśnił z poważną miną.

- Jeszcze trochę, a przestanę ci pomagać w wyjaśnieniu tego morderstwa, drogi przyjacielu z lat dziecięcych.

- Cóż to byłaby za ulga dla tego nieznanego mordercy!

- zauważył Amberley. - Ale tak poważnie, panno Fountain, mam wrażenie, że ten młody Brown czuje do kogoś jakąś urazę. Jak sobie trochę wypije, to nie bardzo wie, co to za uraza ani do kogo.

Z tego co wiem, to może być taka ogólna nienawiść do kapitalizmu i dlatego obrał sobie za cel ten dom. W każdym razie naprawdę nie sądzę, żebyście musieli się go obawiać.

Spojrzał na zegarek.

- Muszę już iść. Mam nadzieję, że nie będziecie już dzisiaj mieli więcej niezrównoważonych gości.

Corkran natychmiast dostrzegł szansę rewanżu.

- Nie, dwóch jednego wieczoru to aż nadto - rzekł z niezmierną ulgą w głosie.

Po wyjściu z Norton Manor Amberley me pojechał do Greythorne, lecz skręcił w prawo, w stronę Upper Nettlefold. Nie ujechał daleko, gdy reflektory samochodu oświetliły wyraźnie postać człowieka wlokącego się smętnie poboczem. Amberley zrównał z nim samochód i zatrzymał się. Przechylił się ponad sąsiednim siedzeniem, otworzył drzwi i kazał Markowi wsiąść.

Mark odmówił ze złością i ruszył dalej, lecz kiedy Amberley z nieukrywaną wściekłością powtórzył polecenie - usłuchał.

Amberley nie wykazywał ochoty do rozmowy. Przez całą drogę do Ivy Cottage nie odezwał się, poza stwierdzeniem że Mark zrobił z siebie kompletnego durnia. Mark mamrotał jakieś tłumaczenia, lecz niewiele z tego, co dotarło do uszu Amberleya poprzez hałas silnika miało jakikolwiek sens. Po chwili uświadomił sobie, że Amberley nie zwraca uwagi na jego zawile wyjaśnienia i umilkł nadąsany.

Kiedy samochód zatrzymał się przed Ivy Cottage Mark wysiadł i ruszył ścieżką przez ogród nie czekając na Amberleya. Usiłował iść z wyzywającą nonszalancją, ale niepewny krok niweczył zamierzony efekt.

Gdy doszedł do wejścia, drzwi otworzyły się wpuszczając promień ciepłego światła lampy.

- Czy to ty, Mark? - rozległ się zaniepokojony głos Shirley. W tej samej chwili zauważyła drugą, roślejszą sylwetkę. - Kto to? - zapytała pośpiesznie.

Amberley niedbałym krokiem wszedł w smugę światła.

- Proszę się nie bać - powiedział.

Gapiła się na niego, ale na jej twarzy pojawiła się ulga.

- Mogłam się tego domyślić - powiedziała. - Co się stało? Odpowiedział jej Mark, który nie mógł ustać spokojnie i kręcił się nerwowo.

- On aż się pali, żeby ci opowiedzieć - rzekł wojowniczym tonem. - I nie myśl sobie, że mam ochotę na wysłuchiwanie twoich kazań. Idę spać.

Chciał przepchnąć się obok niej i wejść do środka, ale przytrzymała go za ramię.

- Gdzieś ty był? Byłam w „Błękitnym Smoku”. Powiedzieli mi, że wyszedłeś. Strząsnął z ramienia jej rękę.

- No to może to cię nauczy, żebyś się za mną nie włóczyła

- burknął i wpadł do domu.

- Proszę wejść - zwróciła się do Amberleya zrezygnowanym głosem.

Amberley wszedł za nią do pokoju. W bladym świetle lampy jej twarz wyglądała na zmęczoną i mizerną. Wskazała mu krzesło.

- Jak się domyślam przywiózł go pan do domu - powiedziała.

- Wydaje się, że stało się to pańską życiową misją. Co on robił?

- Koniecznie starał się, żeby go aresztowano - odparł Amberley. Wyciągnął z kieszeni rewolwer i położył go na stole.

- Czy mogę zasugerować, żeby trzymała go pani w takim miejscu, gdzie go w przyszłości nie znajdzie?

Bladość jej twarzy pogłębiła się.

- Wiem. Zauważyłam, że go nie ma. Nie miałam pojęcia, że on wie, gdzie go trzymam. Dokąd poszedł?

- Przecież pani wie, prawda? - powiedział miękko Amberley. Nie odpowiedziała; uniosła tylko wzrok i spojrzała mu

w oczy.

- Poszedł do Norton Manor.

- Kiedy się upije zachowuje się jak szaleniec - powiedziała bezbarwnym tonem. - Co on zrobił?

- Nic takiego, poza tym, że próbował zastrzelić lokaja Fountaina.

- O Boże - powiedziała z goryczą.  
- Tak, to obrzydliwe, prawda? - zgodził się Amberley.  
- Zwłaszcza po tych wszystkich trudach, jakie pani podjęła.  
- I co oni zrobili? Co powiedzieli?  
- Doszli do wniosku, że jest zbyt pijany, żeby wiedzieć, co robi i wyrzucili go.  
- Czy lokaj został ranny?  
- Ach nie, nikt nie został ranny. Milczała przez chwilę próbując zebrać myśli.  
- Puścili go - powiedziała po dłuższej pauzie. - Wobec tego...  
- urwała i zaczęła bębnić palcami po stole.  
- Właśnie - przyznał Amberley. - Wygląda na to, że zdradził tajemnicę, co?  
Przyjrzała mu się przenikliwie.  
- Nie rozumiem, co ma pan na myśli.  
- Dlaczego nie chce mi pani zaufać? - spytał łagodnie. Wzruszyła ramionami.  
- Nie widzę powodu, żeby panu ufać. Nic o panu nie wiem poza tym, że współpracuje z policją. A ponieważ policja nie może mi pomóc...  
- Wiem. Ale ja mogę.  
Jej oczy były pełne nieufności. Odgarnęła z czoła włosy.  
- Proszę mnie już nie męczyć - powiedziała ze znużeniem.  
- Nie chcę się spierać i nie mam pojęcia, o czym pan mówi.  
Twarz Amberleya stwardniała.  
- Woli pani działać samodzielnie?  
- Absolutnie. Amberley wziął kapelusz.  
- Postępuje pani niemądrze. Sprawy mogą przybrać bardzo niebezpieczny dla pani obrót, panno Shirley Brown.  
- O Boże, czy to groźba? - spytała drwiąco.  
- Po co miałbym pani grozić? Ostrzegam tylko. Dobranoc.  
Przez całą drogę do Greythorne marszczył brwi z niezadowolenia, a potem nieuprzejmie potraktował Felicity, która koniecznie chciała wiedzieć dlaczego tak długo go nie było. Następnego

ranka wyszedł zaraz po śniadaniu i pojechał na posterunek policji w Carchester. Do sanktuarium inspektora Frasera wpuszczono go natychmiast. Inspektor powitał go z zawołaną wrogością i oświadczył, że spodziewał się jego wcześniejszej wizyty.

Amberley nie był w nastroju skłonnym do kompromisów, więc odpowiedział mu tak obcesowo, że inspektor poczerwieniał z gniewu. Amberley nie dał mu czasu na przyjście do siebie

- natychmiast zażądał sprawozdania z dotychczasowych poczynań policji.

Inspektor zdawał sobie sprawę, po czyjej stronie stanie komisarz okręgowy, toteż uznał, że polityczniej będzie zastosować się do życzenia Amberleya.

Najpierw przeprowadził go przez długą listę osób posiadających alibi doskonałe. Wszyscy w Norton Manor mieli alibi, nawet kobiety ze służby. Zanim Amberley wysłuchał że główna gospodyni była w Upper Nettlefold, że ogrodnik składał wizytę szoferowi, że lokaj prasował ubranie dla pana Fountaina, że pomocnik ogrodnika był ze swoją narzeczoną

- już otwarcie ziewał z nudów. Kiedy inspektor zaproponował omówienie listy osób mieszkających w pobliżu miejsca przestępstwa, przerwał jego monolog mówiąc, że nie przybył do Carchester po to, żeby wysłuchiwać kto nie popełnił morderstwa.

Inspektor powiedział coś enigmatycznego na temat detektywów amatorów i przeszedł do poszukiwań łuski naboju. Nie odnaleziono jej, nie odkryto też żadnych śladów roweru na polu za żywoplotem. Źródło dochodów Dawsona też nadal okryte było tajemnicą. Prawdę mówiąc, policja niczego nie odkryła, co Amberley wytknął bez wahania.

Gdy inspektor przetrawił te bezlitosną krytykę, Amberley krótko streścił to, co poprzedniego wieczoru powiedział mu Fountain.

Inspektor zainteresował się.

- No, wreszcie mamy jakiś punkt zaczepienia - powiedział zacierając ręce. -

Szkoda, że pan Fountain nie przypomniał sobie o tym wcześniej. Wyrobiony umysł od razu pozna, że to ważne.

- Bardzo - zgodził się Amberley. - Życzę owocnej pracy. A w międzyczasie chcę, żeby pan kazał obserwować Marka Browna.

Inspektor wybałuszył oczy, ale zaraz przybrał minę pełnego tolerancji rozbawienia.

- Marka Browna? No, no, zdaje się, że naczytał się pan ostatnio za dużo kryminałów. Wiem, co w nich jest - tajemniczy młodzieniec, który przyjeżdża gdzieś bez powodu. Ale to na nic. Policja czuwa.

- Nie cała! - powiedział słodko Amberley. A propos, czy zrozumiał pan, co powiedziałem? Chcę, żeby pan kazał obserwować Marka Browna.

- Wszystko ładnie -pięknie, panie Amberley, ale sprawdziliśmy go. Jest czysty. Jest pan na fałszywym tropie. Mieszka z siostrą w Earl's Court w małym mieszkaniu, które teraz na miesiąc odnajęli. Ona pracuje jako sekretarka Ann March.

- Chcę, żeby Mark Brown był pod obserwacją.

- Rozkazy przyjmuję wyłącznie od komisarza okręgowego, panie Amberley.

- Bardzo słusznie. Czy mogę skorzystać z pańskiego telefonu?

- Jeśli ma pan jakiś konkretny powód, żeby znać jego poczynania, to oczywiście zmienia postać rzeczy - inspektor zaczął się wycofywać. - Czego się pan o nim dowiedział?

- Niczego jak dotąd. Będę mógł dać pełniejszą odpowiedź na pańskie pytanie za - powiedzmy - parę dni.

- Tylko podejrzenia, co? Niestety, policja potrzebuje czegoś więcej, żeby działać.

- Właśnie dlatego nie chcę pana obarczać moimi podejrzeniami.

Inspektor potarł palcami podbródek zerkając z ukosa na Amberleya.

- Chyba lepiej będzie, jak powie mi pan o co chodzi - powiedział w końcu. - Podejrzewa pan, że to on zamordował Dawsona?

- Nie. Uważam, że najprawdopodobniej nie miał z tym nic wspólnego. Inspektor poczerwieniał.

- Nie wiem do czego pan zmierza, ale jeśli Brown nie jest zamieszany w to morderstwo, to mnie nie interesuje.

- W to jestem gotów uwierzyć. Nigdy nie był pan w stanie spojrzeć dalej niż czubek własnego nosa, no nie? Tak jak już mówiłem, to morderstwo prawdopodobnie okaże się najmniej interesującym aspektem całej tej sprawy.

- Czyżby? Zabawne, nie? Ja natomiast odnoszę wrażenie, że to morderstwo stanowi całą sprawę.

- To niech pan czym prędzej wyrzuci z głowy tę błędną myśl. o ile się nie mylę, to jestem na tropie czegoś znacznie większego i bardziej fantastycznego niż którykolwiek z was potrafi sobie wyobrazić. Inspektor zeszywniał.

- Czy pan próbuje mnie w coś zrobić? - zapytał z oburzeniem. - O co właściwie tu chodzi?

Amberley wstał.

- Nic ma sensu, żebym panu o tym mówił, inspektorze

- powiedział. - W tej sprawie policja niewiele może zdziałać.

- Hm! Może mimo wszystko policja mogłaby spróbować coś zdziałać.

- Tego właśnie najbardziej się obawiam - odrzekł Amberley.

- Widzi pan, nie chciałbym, żeby jedyny istniejący dowód został zniszczony.

- Słuchaj pan, musi pan mieć jakieś podstawy, żeby tak mówić!

- Mam, inspektorze - uśmiechnął się Amberley. - Mam jedną ważną wskazówkę - zrobił pauzę i jego uśmiech stał się jeszcze bardziej sardoniczny

- która w obecnych warunkach jest całkowicie bezwartościowa.

- Nie będę udawał, że rozumiem. To, co pan mówi brzmi jak jakiś bełkot.

- Pewnie tak - zgodził się Amberley. - Niemniej jednak będzie pan musiał mi zaufać. Więc jak? Wyznaczysz pan człowieka, który będzie miał na oku Browna, czy mam najpierw porozmawiać z komisarzem?

- No dobrze, każę go śledzić, skoro panu tak na tym zależy - rzekł inspektor niechętnie.

Amberley skinął głową.

- Może być byle który z tych pańskich obiecujących młodych ludzi. Im mniej będzie się krył tym lepiej,. Ale Brown ma być śledzony cholernie uważnie.

Przyjdę do pana jutro lub pojutrze. Proszę przekazać ukłony komisarzowi.

Żegnam!

Wrócił do Upper Nettlefold i zatrzymał się przy stacji kolejowej, żeby kupić gazetę. Gdy stał przy kiosku właśnie wjechał pociąg z Londynu. Odwrócił się więc i leniwie zaczął się przyglądać wysiadającym pasażerom.

Z tylnego wagonu wysiadł z dwoma walizkami chudy mężczyzna w średnim wieku. Ubrany był ze spokojną elegancją i wyglądał jak wyższy rangą służący.

Od razu zauważył Amberleya i, sięgając do kieszeni kamizelki po bilet, przyglądał mu się ukradkiem.

Amberley wodził leniwie oczami po peronie. Nagle jego wzrok spoczął na owym człowieku i zatrzymał się. Mężczyzna podniósł swoje walizki i ruszył peronem w stronę barierki. Mijając Amberleya rzucił mu szybkie, ukradkowe spojrzenie, ale twarz Amberleya zasłaniała rozpostarta gazeta.



Podczas następnej wizyty u Fountaina Amberley stwierdził, że nowy kamerdyner na dobre zadomowił się w Norton Manor. Był to pełen uniżenia mężczyzna o nieśmiały, piwnych oczach, łysy na czubku głowy. Anthony Corkran stwierdził, że jest w porządku, ale trochę nadgorliwy. Stale się człowiek na niego natyka. Trudno go winić za to, że stara się być miły dla reszty służby, ale jak na gust Anthony'ego wykazywał zbyt wiele życzliwości w stosunku do Collinsa.

Być może właśnie ta ostatnia uwaga, którą od niechcienia rzucił w rozmowie Corkran sprawiła, że Amberley obdarzył nowego kamerdynera długim, badawczym spojrzeniem, gdy przyszedł z wizytą do Norton Manor. Baker otworzył mu drzwi z uprzejmym uśmiechem i ruszył w stronę salonu, by zaanonsować gościa.

- Nazywam się Amberley - zatrzymał go Frank uprzejmie. Baker obrzucił go szybkim spojrzeniem.

- Tak, proszę pana - rzekł przepaszająco. - Dziękuję panu.

- Chyba nie mogłeś tego wiedzieć - powiedział Amberley jeszcze bardziej uprzejmie.

- Nie, proszę pana. Zapomniałem zapytać. Amberley bez pośpiechu podążył za nim do salonu. Fountain, w przeciwieństwie do Corkrana, entuzjastycznie odnosił się do nowego kamerdynera. Baker znał swoje obowiązki, był chętny do pracy i - co więcej - zgadzał się z resztą służby. Nie odznaczał się być może inteligencją, ale przecież nie można mieć wszystkiego. Nawet Collins był z nim w dobrych stosunkach, a to rzadkość - zapewnił Fountain.

W końcu porzucił temat kamerdynera i spytał Amberleya czy przyszedł w jakimś konkretnym celu. Wyglądało na to, że nie. Amberley zadał Fountainowi parę niezbyt ważnych pytań i zebrał się do wyjścia. Fountain spytał czy jest już nieco bliższy rozwikłania zagadki, na co otrzymał wymijającą odpowiedź w postaci wzruszenia ramion.

- Kazałem Fraserowi śledzić Marka Browna - powiedział Amberley.

Wyraz zainteresowania i szacunku zniknął z twarzy Fountaina. Najwyraźniej nie uznał tego posunięcia za zbyt rozsądne.

- Rozwiąłem pańską wiarę we mnie? - uśmiechnął się Amberley z przekąsem. Fountain zaprzeczył pośpiesznie. Wyraził przypuszczenie, że Amberley ma swoje powody, ale... no, czy to przypadkiem nie jest strata czasu? Chyba nie przypuszcza na serio, że Brown miał coś wspólnego z zamordowaniem Dawsona? Jego zdaniem taka nadzieja jest skazana na niepowodzenie. Amberley uśmiechnął się ponownie i zauważył, że nie jest pierwszą osobą, która wyraża rozczarowanie tym posunięciem w grze.

Wyszedł odprowadzany pełnym powątpiewania wzrokiem Fountaina i pojechał do Upper Nettlefold spotkać się z sierżantem Gubbinsem.

Fraser i Fountain byli rozczarowani, za to sierżant powitał go z otwartymi ramionami i stwierdził, że cały czas wiedział, iż można mieć do Amberleya zaufanie.

- Znam pana już od trzech lat albo i więcej - zaczął wspominać - Dwa razy udzieliłem panu ostrzeżenia za niebezpieczną jazdę, trzy razy wlepiłem mandat za parkowanie w niedozwolonym miejscu i raz współpracowałem z panem w sprawie przestępstwa. Więc jeśli nie ja pana znam, to chciałbym wiedzieć kto. Przez cały czas - na przekór pozorom - powtarzałem: „Panu Amberleyowi można zaufać”.

- Sierżancie, prawie odebrał mi pan całą odwagę - rzekł Amberley. - O co chodzi?

Sierżant zrobił minę człowieka dobrze poinformowanego.

- Mark Brown, co? Obaj wiemy coś na temat tego młodzieńca. Ale inspektorowi pana pomysł się nie spodobał, zupełnie się nie spodobał. Miał mnóstwo do powiedzenia na temat amatorów mieszających się w sprawy policji, ale nie będę tego powtarzał. Tylko że on nie widział Alberta Collinsa wychodzącego z Ivy Cottage - sierżant zrobił pauzę i podrapał się po głowie.

- No, jak tak sobie o tym pomyślę, to ja też nie widziałem. Ale pan widział i to mi wystarczy.

Amberley zapytał czy powiedział o tym inspektorowi. Sierżant znacząco puścił oko.

- Nie, nie powiedziałem. Jakoś nie przyszło mi to do głowy

- dodał niedbałym tonem.

- Cóż za dogodny rodzaj pamięci - uśmiechnął się Amberley.

- To niech mu pan już nie mówi.

- Nie powiem. Oczywiście, gdybym to ja, na własne oczy widział Collinsa - dodał ze wzrokiem utkwionym surowo w twarzy Amberleya - to zupełnie co innego. Ale nie ma przecież sensu powtarzać inspektorowi czegoś, co zna się tylko ze słyszenia.

- Zupełnie nie ma sensu - zgodził się Amberley. - No, a chłopak jest śledzony?

- Jest śledzony - zapewnił sierżant. - Ale moim zdaniem równie dobrze można było wysłać za nim słonia zamiast tego młodego Tuckera. Słoń mniej by się rzucał w oczy.

- Nie szkodzi - rzekł Amberley. - Wystarczy, że ktoś go śledzi.

Sierżant chrząknął.

- Pewnie ma pan ku temu swoje powody? - spytał z nadzieją, że Amberley mu je wyjawia.

- Nie - wyznał szczerze Amberley. - Mam tylko pewne podejrzenia... które jednak mogą okazać się błędne. Obserwacja Browna to tylko środek ostrożności i zupełnie możliwe, że to przesadna ostrożność.

- Coś mi się zdaje, że zanoszą się na dziwną sprawę.

- Chyba ma pan rację, sierżancie. Bardzo dziwną.

- Zupełnie nie rozumiem - ciągnął sierżant - co ten młody pijak może mieć z nią wspólnego. Bo to pijak, zwyczajny pijak. To skandaliczne w jego wieku. Co wieczór to samo. Przychodzi do „Błękitnego Smoka”, zalewa się w pestkę i trzeba go wyrzucać przed zamknięciem. Współczuję tej młodej damie, ale uważam, że powinna go oddać do takiego zakładu, gdzie leczą z pijaństwa. Może to trochę okrutne, ale co zrobić z takim młodym ochlapu-sem? Ona myśli, że sama da sobie z nim radę, ale to bzdura. Pani Jones, która sprząta w Ivy Cottage mówi, że kiedy najdzie go pragnienie, to trzeba by pułku żołnierzy, żeby go zatrzymać w domu.

- Chodzi do „Błękitnego Smoka” co wieczór, tak? - powiedział z zadumą Amberley.

- Regularnie jak w zegarku. Wszyscy to wiedzą. Nawet stary Wagge, który nie wiadomo ile razy siedział za pijaństwo i zakłócanie porządku jest wstrząśnięty widząc jak taki dzieciak tyle chleje.

- Dużo gada?

- O ile wiem to nie. Podobno jak ktoś zada zwykłe pytanie, tak z uprzejmości, żeby pogadać, to on zachowuje się idiotycznie. Mówi, że nikt się niczego od niego nie dowie. Znałem już wielu takich pijaków, którzy już po czwartym, piątym kieliszku zaczynali się zachowywać tak, jakby mieli mnóstwo sekretów, które wszyscy chcieli od nich wyciągnąć.

- A więc mówi takie rzeczy?

- No, może nie aż w tylu słowach. Nie, po prostu siedzi i pije. A jak już się odezwie, to gada te bzdury. Ale szybko mu to stadium mija. Zresztą gdyby mu nie minęło, to Hawkins by go wyrzucił. Robi się potem bardzo spokojny i tylko gapi się przed siebie takim nieprzyjemnym wzrokiem, podobno bardzo nieprzyjemnym. Nie twierdzę, że nie byłby zdolny kogoś zamordować po pijanemu, ale bardzo bym był zdziwiony, gdyby to zrobił. Bardzo bym się zdziwił. Nie potrafię sobie wyobrazić jakim cudem udaje mu się dotrzeć bezpiecznie do domu, a co tu dopiero mówić, żeby miał kogoś zastrzelić. A po trzeźwemu to, na

mój rozum, jest zbyt strachem podszyty, żeby kogoś zamordować. Jednak uważam, że pan wie najlepiej. A zresztą żadna krzywda się nikomu nie stanie, jak będzie pod obserwacją.

- Mam nadzieję, że uda się w ten sposób zapobiec jakiegokolwiek krzywdzie - rzekł Amberley i wyszedł.

Wsiadł do samochodu i ruszył przez Rynek. Nie dane mu jednak było od razu skręcić w stronę Greythorne, gdyż zatrzymała go idąca chodnikiem Shirley Brown. Posłusznie podjechał do krawężnika i zatrzymał samochód obok niej. Panna Brown drżącym z oburzenia głosem oznajmiła, że chce z nim porozmawiać. Z lekką kpina w głosie odparł, że to przyjemna niespodzianka.

Nie zwróciła uwagi na jego słowa. Jej ciemne oczy pałały gniewem; nawet lekko się jąkała. Jak on śmiał kazać śledzić jej brata! Powiedziała, że nie ma sensu zaprzeczać. Amberley roześmiał się tylko. Oskarżyła go o dwulicowość, bo czyż nie prosił, by mu zaufała, a przez cały czas myślał o szpiegowaniu Marka? Nagle zmieniła front i zaczęła pogardliwie wyszydzać policjanta w cywilu, który śledził Marka: każdy obdarzony nawet szczątkową inteligencją od razu rozpoznałby w nim policjanta. Cała ta sprawa to zniewaga i życzyła sobie nigdy więcej w życiu Amberleya nie oglądać. Po czym odwróciła się na pięcie i odeszła szybkim, dumnym krokiem wściekła, bo wiedziała, że Amberley się z niej śmieje.

Następnego dnia musiał znieść drugą wizytę komisarza, który był bardzo zaniepokojony. Przeczował, że coś się wydarzy, pomyślał więc, że będzie lepiej jak zajrzy do Amberleya. Amberley, który tego dnia też był w dziwnie drażliwym nastroju odparł opryskliwie, że pułkownik powinien być wdzięczny, iż nic się nie zdarzyło, a kiedy niezmiernie zdenerwowany pułkownik ośmielił się zapytać, co przez to rozumie, nie raczył odpowiedzieć, tylko wsadził fajkę w zęby, wepchnął ręce do kieszeni swych szarych, flanelowych spodni i kontynuował wędrówkę po pokoju. Nagabywany przez pułkownika oświadczył w końcu, że dopóki nie

otrzyma odpowiedzi na depeszę, nie będzie mógł udzielić pułkownikowi żadnej informacji.

Odpowiedź nadeszła tego samego dnia wieczorem, tuż przed dziesiątą. Kamerdyner przyniósł ją do salonu, gdzie Amberley wysłuchiwał monologu sir Humphreya na temat ochrony zwierzyny. Sir Humphreya zupełnie nie interesowały miejscowe morderstwa, za to do białej gorączki doprowadzała go obecność w okolicy kłusowników. Opowiadał Amberleyowi o tym, co powiedział zarządca, co zdaniem starego Clitherow-Wilinamsa należałoby zrobić, a także o tym, jak sam słyszał strzał o piątej któregoś ranka. Amberley układał skomplikowanego pasjansa i od czasu do czasu odpowiadał coś z roztargnieniem. Sir Humphrey właśnie obwieścił swój zamiar porozmawiania z tym Fountainem na temat jego zarządcy, tego najbardziej niekompetentnego durnia, jakiego ziemia nosiła i w dodatku lenia, kiedy wniesiono depeszę.

Amberley zgarnął karty, wstał i nie czekając do końca monologu wuja wyszedł, by odczytać depeszę w samotności.

Podniecona ciekawością Felicity znalazła pretekst, żeby udać się za nim do gabinetu i zaczęła błagać, by powiedział jej czy ta depesza ma coś wspólnego z zamordowaniem Dawsona. Amberley nie podnosząc głowy znad depeszy odparł, że nie ma.

Felicity była rozczarowana.

- Ale wyglądasz na zadowolonego.

- Zawsze jestem zadowolony, kiedy okazuje się, że moje teorie są słuszne - odrzekł Amberley. Wstał i rzucił okiem na zegarek. - Muszę cię opuścić, skarbie. Niedługo wrócę.

Poszedł do garażu, wyprowadził samochód i po raz drugi tego dnia pojechał do Upper Nettlefold na posterunek policji. Sierżant właśnie skończył służbę i wybierał się do domu, ale chętnie zawrócił z powrotem na posterunek i wprowadził Amberleya do swojego maleńkiego gabinetu.

- Chodzi o Marka Browna - rzekł od progu Amberley nie tracąc zbędnych słów. - Inspektor nie traktuje poważnie konieczności śledzenia go i zdaje mi się, że taka opinia udzieliła się

posterunkowemu Tuckerowi. Niech pan zrozumie, sierżancie! To niezmiernie ważne, żeby policja nie spuszczała z oka tego Browna. Niech pan wyśle kogoś, żeby zmienił dziś wieczorem Tuckera. Na moją odpowiedzialność.

Sierżant zareagował w sposób godny podziwu.

- Nie mam nikogo wolnego, ale jeśli pan sobie tego życzy, to zajmę się tym osobiście. Tak, o co chodzi? - zwrócił się do policjanta, który pełnił służbę na posterunku, a który właśnie wszedł do gabinetu w wielkim pośpiechu.

- To Tucker, panie sierżancie. To znaczy, nie on osobiście, ale jest od niego pilna wiadomość. Chce, żeby pan zaraz przyszedł na Collinghurst Road.

- No więc o co chodzi? - spytał sierżant. - No dalej, gadaj!

- Ten facet, którego śledził, panie sierżancie. Wpadł do rzeki.

- Po co robisz z tego takie tajemnice - rozgniewał się sierżant. - Każdy głupi mógł się domyśleć, że prędzej czy później tak się musi stać. A Tucker jeszcze głupszy, że do tego dopuścił.

- On nie żyje, panie sierżancie - powiedział posterunkowy.

- Nie żyje? - sierżantowi szczęka opadła; spojrzał tępo na Amberleya.

Amberley, który odwrócił się szybko na wejście policjanta, stał przez chwilę w zupełnym bezruchu. Następnie wyciągnął papierośnicę i powoli, z namysłem wyciągnął z niej papierosa. Spojrzał na sierżanta i napotkał jego wzrok; zamknął z trzaskiem papierośnicę i sięgnął do kieszeni po zapalnik. Sierżant siedział i gapił się na niego jak sparaliżowany. Amberley zapalił papierosa i wrzucił zapalnik do kominka. Zaciągnął się głęboko i spojrzał na posterunkowego.

- Kto przysłał wiadomość?

- Nie wiem, jak się nazywał. To był dżentelmen. Powiedział, że przejeżdżał akurat, a Tucker poprosił go, żeby podjechał do najbliższego domu i zatelefonował do nas.

- Rozumiem. Sierżancie, zawiozę tam pana. Sierżant wziął się w garść.

- Tak jest. Harmer, złap Masona i Philpotsa. Każ im sprowadzić karetkę. Posterunkowy wyszedł. Sierżant wstał i spojrzął na Amberleya.

- Boże, czy to dlatego kazał go pan pilnować? Tego się pan spodziewał?

- Tego się obawiałem. Niech szlag trafi tego durnia Tuckera!

- Czy to morderstwo? - zapytał sierżant zniżonym głosem.

- Robi się pan całkiem bystry - uśmiechnął się Amberley. - Zobacz pan, że przysięgli u koronera wydadzą orzeczenie o śmierci w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Gotów pan?

Sierżant odezwał się dopiero w samochodzie.

- Skoro to było morderstwo, to zamierza pan to tak zostawić?

- A czyja powiedziałem, że to morderstwo? - spytał Amberley.

Ogromny Bentley ruszył przez miasto pełnym gazem i zwolnił dopiero za ostatnimi, z rzadka stojącymi domami. Teren obniżył się; wjechali w gęstą mgłę, która stawała się jeszcze gęściejsza, kiedy droga zbliżyła się do rzeki.

- Niech pan uważa! - błagał sierżant. - O tej porze roku mamy tu dużo mgły. To przez tę glinę.

- Tak, można by nawet iść o zakład, że będzie mgła, no nie? Nieco dalej z mgły wyłoniła się jakaś machająca rękami postać. Amberley zjechał na pobocze i stanął. Tumany mgły kłębiły się w blasku reflektorów; poprzez mgłę widać było niewyraźną sylwetkę drugiej osoby, a także jakąś postać leżącą twarzą ku ziemi.

Sierżant wysiadł z samochodu tak szybko, na ile pozwoliła mu tusza.

- Czy to ty, Tucker? Jak to się stało?

Amberley nagle zapalił ruchomy reflektor samochodu i skierował go w lewo; jego promień padł na tę drugą osobę. Był to Collins; był w samej koszuli i ociekał wodą.

- A to ciekawe! - rzekł Amberley i wysiadł z samochodu. Sierżant energicznym krokiem podszedł do Collinsa.



- A co pan tu robi, mój panie? - spytał.

Twarz lokaja była szara, czoło miał pokryte potem; wyglądał na wycieńczonego.

- To on wyciągnął Browna - wyjaśnił niechętnie Tucker. - Kiedy ja... kiedy ja nadszedłem, próbował go ocucić. Bardzo się staraliśmy, panie sierżancie, ale to na nic. On nie żyje.

- Tak, i będziesz musiał się z tego wytłumaczyć jak wrócimy na posterunek - rzekł sierżant. Spojrzał na Collinsa. - A jeśli o pana chodzi, to pójdzie pan z nami i też się wytłumaczy. Pilnuj go, Tucker. Odwrócił się i podszedł do Amberleya, który przykłęknął obok ciała Marka. Głowa chłopca była odwrócona w bok, ręce rozciągnięte.

- Światło sierżancie - powiedział Amberley nie podnosząc głowy.

Sierżant wyjął z kieszeni latarkę. Amberley wziął ją do ręki, włączył i w jej świetle obejrzał dokładnie głowę Marka.

- Niech mi pan pomoże go odwrócić, dobrze?

Odwrócili bezwładne ciało na plecy; oczy Marka były zamknięte, szczęka lekko zapadnięta. Amberley delikatnie odgarnął mu włosy z czoła i zbliżył latarkę. Po chwili zgasił latarkę

i podniósł się.

- Ani śladu uderzenia. Nieszczęśliwy wypadek, sierżancie.

- Co? Przy Collinsie? - wymamrotał pod nosem sierżant. - Jeszcze się przekonamy!

- Niestety, przekonamy się - rzekł Amberley i wrócił do samochodu.

- Wsiadaj lepiej, Collins i okryj się tym pledem - powiedział sadowiąc się za kierownicą. Zamyślony zapatrzył się przed siebie.

Sierżant zapytał czy Collinsa powiadomiono o jego prawach. Okazało się, że nie, więc zrobił to sam. Lokaj nie odezwał się.

Sierżant przykrył ciało Marka porzuconym płaszczem Tuc-kera i stanął obok niego czekając na karetkę. Tucker jękając się zaczął wyjaśniać okoliczności, ale sierżant przerwał mu oschle.

- Opowiesz to wszystko na posterunku.

Na drodze było bardzo zimno. Mgła roztaczała przygnębiającą wilgoć. Lokaj trząśnięty na tylnym siedzeniu; nie spuszczał wzroku z martwej postaci, raz tylko spojrzął na sierżanta.

- Mów pan co chcesz - mówił potem sierżant do Amberleya - ale on wyglądał jak morderca. Skoczył do wody, żeby go ratować, co? Bardziej prawdopodobne, że skoczył po to, żeby go utopić. Mówię panu, on wyglądał jak jakiś zbir. Wcale nie przesadzam.

Karetka w końcu nadszła. Wniesiono do niej ciało Marka, okryte je płedem i karetka odjechała do kostnicy. Sierżant Tucker wsiadł do samochodu Amberleya.

Powrotna droga minęła w zupełnym milczeniu. Po przybyciu na posterunek Collins został pod eskortą odesłany po suche ubranie, a Tucker i Amberley weszli z sierżantem do jego gabinetu.

Relacja Tuckera była z konieczności niekompletna, jako że nie było go w pobliżu wypadku. Posłuszny otrzymanym poleceniom poszedł za Markiem do „Błękitnego Smoka” i kręcił się pod barem przez jakiś czas. Potem zajrzał do środka; Mark, jak zwykle, siedział przy stoliku w kącie i był już zbyt pijany, żeby stać go było na jakąś rozróżbę. Ze słów inspektora wynikało, że pan Amberley podejrzewa, iż Brown zamierza zrobić coś, co może mieć związek z zamordowaniem Dawsona; więc Tucker uznał, że chłopak jest tak zamoczony alkoholem, iż nie trzeba go bardzo pilnować. A poza tym, nigdy nie opuszczał baru przed zamknięciem. Oddalił się więc tylko na chwilę, żeby napić się gorącej herbaty. Nie przypuszczał, że coś może się stać, jak posiedzi trochę w cieple i pogawędzi z właścicielem gospody. Wrócił na swój posterunek zaledwie kilka minut po zamknięciu baru, ale okazało się, że Mark udał się już do domu. Poszedł za nim, choć nie widział w tym sensu, ale takie dostał rozkazy. Brown musiał wyjść z „Błękitnego Smoka” jeszcze przed zamknięciem, bo nie dogonił go, chociaż szedł szybko. Jak zbliżył się do zakrętu, za którym droga biegnie dalej wzdłuż rzeki, usłyszał wołanie o pomoc. Rzucił się biegiem. Gdy zjawił się na

miejscu wypadku, Collins, wyraźnie wyczerpany, wyciągnął ciało Marka na brzeg i zaczął sztuczne oddychanie. Tucker natychmiast rzucił się do pomocy; harowali jak woły, żeby przywrócić go do życia. Po dziesięciu minutach nabrał pewności, że jest już za późno, ale Collins sklął go i zmusił do dalszego wysiłku. Collins cały czas powtarzał, z trudem łapiąc oddech, że chłopak nie był pod wodą na tyle długo, żeby się utopił, że muszą go przywrócić do życia. Ale nie udało się im wydobyć z Marka nawet iskierki. To Tucker zatrzymał pierwszy przejeżdżający samochód. Nie chciał zostawić Collinsa z ciałem, więc kazał kierowcy, którym był pan Jorrold z Collinghurst, zadzwonić na posterunek i przekazać wiadomość. Tucker przedstawił swoją relację w sposób prosty i jasny, ale starannie unikał wzroku Amberleya. Najwyraźniej spodziewał się nagany, bowiem kilka razy powtórzył, że inspektor nic nie mówił, że nie wolno mu spuszczać oczu z Browna.

- Jesteś dureń - powiedział sierżant i kazał wprowadzić Collinsa.

Lokajowi znaleziono ubranie, które było tylko odrobinę na niego za duże. Dostał też trochę gorącego alkoholu na rozgrzewkę. Szarość zniknęła z jego twarzy, a oczy - które sierżant uznał za oczy mordercy - znów powróciły do normalnego stanu: były jak zwykle zimne i bez wyrazu.

Zupełnie spokojnie zrelacjonował swój udział w wydarzeniach. Szedł w niewielkiej odległości za Brownem, ale z powodu mgły ledwo go widział. Młody człowiek wyglądał na bardzo pijanego, potknął się kilka razy, nie był w stanie iść prosto. Jego krok był tak niepewny, że Collins przyspieszył w obawie, że w tej mgłę może go potrącić jakiś samochód. Pomimo latarki sam niewiele widział. Na pewno zauważyli, że mgła jest wyjątkowo gęsta w miejscu, gdzie droga biegnie równoległe do rzeki, bo teren się tam obniża. Pomyślał więc, że chłopak musiał chyba zejść z drogi i zatoczyć się gdzieś nad brzeg rzeki, bo zniknął mu z oczu: w tym momencie usłyszał krzyk i plusk wody, natychmiast rzucił się biegiem do miejsca, w którym ostatni raz widział młodego

dżentelmena. Wołał do niego, ale odpowiedzi nie było. Widząc, w jakim stanie jest Brown obawiał się, że nie zdoła sam dopłynąć do brzegu. Uznał za swój obowiązek wskoczyć zaraz za nim do wody, zdjął tylko buty i płaszcz. Zdawało mu się, że pływa w kółko całe godziny. Pomyślał, że Brown chyba od razu poszedł na dno; jeżeli w ogóle próbował się ratować, to chyba bardzo krótko, bo kiedy on, Collins, wskoczył do wody, wszędzie panowała już absolutna cisza. Stracił już nadzieję, że uda mu się go wyciągnąć, kiedy złapał coś w wodzie: okazało się, że to ręka. Nie należy do dobrych pływaków, ale jakoś zdołał doholować ciało do brzegu i wyciągnąć na drogę. Wołał o pomoc, bo był wykończony i nie miał siły, żeby zastosować sztuczne oddychanie. Jednak robił, co mógł, aż nadbiegł Tucker. Miał nadzieję, że Tucker to potwierdzi.

Sierżant wysłuchał relacji bez słowa; z jego miny wynikało, że odnosi się do niej sceptycznie.

- A więc to tak było, co? - powiedział, gdy Collins umilkł;

- A cóż to pan robił na Collinghurst Road o tak późnej porze?

Odpowiedź zaskoczyła go.

- Śledziłem tego młodego dżentelmena - powiedział Collins. Tego sierżant był pewien, więc otwarta odpowiedź Collinsa wprawiła go w zakłopotanie.

- Ach, śledził go pan, tak? - powtórzył trochę bezmyślnie.

- A dlaczego?

Collins obrzucił Amberleya przelotnym spojrzeniem.

- Usiłowałem skontaktować się z tym młodym dżentelmenem od czasu bardzo nieprzyjemnego incydentu, który miał miejsce w Norton Manor trzy dni temu. Myślę, że pan Amberley będzie wiedział, o czym mówię.

- Mniejsza z tym, co wie pan Amberley - uciął sierżant. - Co to za nieprzyjemny incydent?

Collins zwilżył językiem wargi.

- A więc, panie sierżancie, pan Brown będąc pod wpływem alkoholu przyszedł do Norton Manor, a gdy otworzyłem mu

drzwi obrzucił mnie groźbami, których nie umiem sobie wytłumaczyć. Wydaje mi się, że mnie z kimś pomylił.

- Pomylił, co? A dlaczego tak pan uważa?

- Ponieważ pan Brown nie mógł mieć do mnie żadnej urazy.

- W ogóle go pan nie znał, tak?

Na czole Amberleya pojawiła się pionowa zmarszczka. Głos sierżanta zabrzmiał tak znacząco, że Collins zaczął się mieć na baczności.

- Trudno powiedzieć, że go znałem - odparł lokaj uprzejmym tonem. - Mam nadzieję, że znam swoje miejsce. Ale pewnego popołudnia spotkałem pana Browna w Upper Nettlefold, kiedy niezupełnie był sobą. Był w stosunku do mnie niezwykle przyjacielski. Tak przyjacielski, że oferował mi w prezencie swoją papierośnicę. Alkohol pewnie tak na niektórych działa. Pan Brown zdawał się być pod wrażeniem, że jestem jednym z jego przyjaciół. Byłem zmuszony przyjąć papierośnicę. Naturalnie zwróciłem mu ją tak szybko, jak mogłem.

- Odesłał mu ją pan?

- Nie, panie sierżancie. Sam ją odniosłem do Ivy Cottage i oddałem panu Brownowi - odparł Collins z niezmaconym spokojem.

Sierżant rzucił Amberleyowi wymowne spojrzenie.

- Pan Brown był wówczas zupełnie trzeźwy - ciągnął Collins

- i zachowywał się jak przystało dżentelmenowi.

- Ta opowieść brzmi dość dziwnie - oświadczył sierżant.

- Ale proszę dalej! Dlaczego przyszedł do Norton Manor?

- Nie mam pojęcia, panie sierżancie. Sam się nad tym głowię, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Ten młody dżentelmen próbował mnie zastrzelić, jak pan - skłonił głowę w stronę Amberleya - bez wątpienia pamięta. Pan Fountain nie chciał zbyt okrutnie potraktować pana Browna, który nie bardzo wiedział, co robi, więc pozwolił mu odejść. Ale pan Brown użył w stosunku do mnie pewnych zwrotów, których nie potrafiłem zrozumieć. Prawdę mówiąc groził, że mnie zastrzeli przy pierwszej nadarzającej się okazji.

- I dlatego pan go tropił, jak sądzę - rzekł sarkastycznie sierżant.

- Właśnie dlatego, panie sierżanie.

Nic nie było w stanie wyprowadzić Collinsa z równowagi.

- To bardzo nieprzyjemne uczucie - ciągnął dalej - kiedy się wie, że jest ktoś, kto cierpi na przywidzenia, które mogą być niebezpieczne w skutkach.

Wydawało mi się, że najlepiej będzie spotkać się z panem Brownem i dowiedzieć się, co ma przeciwko mnie. Oczywiście nie zawsze mogę opuścić dom, ale dziś pan Fountain pojechał do Londynu i ma wrócić późno wieczorem, więc mogłem wyjść. Znając... zwyczajnie pana Browna pozwoliłem sobie poczekać na niego pod „Błękitnym Smokiem”. Nie chciałem prowokować żadnych scen publicznie, więc zamierzałem pójść za nim do domu i tam zapytać, co takiego zrobiłem, że poczuł się aż tak urażony. A potem wydarzyło się to, co już opowiedziałem.

Sierżant był jawnie zdegustowany opowieścią Collinsa; nie uwierzył w ani jedno słowo. Jednak w danej chwili nie sposób było udowodnić mu kłamstwo ani też oskarżyć go o wepchnięcie Marka Browna do rzeki. Zeznanie Tuckera wykazało, że Collins nie tylko skoczył na ratunek Markowi, ale także nie chciał ustać w wysiłkach przywrócenia go do życia, kiedy policjant stwierdził, że sprawa jest beznadziejna. Sierżant spojrział na Amberleya jakby szukając u niego pomocy, ale Amberley rozmawiał już z lokajem. Chciał się dowiedzieć czy minął go jakiś samochód albo pieszy, gdy szedł za Markiem. Collins bez wahania odparł, że nie widział nikogo aż do czasu, gdy nadjechał pan Jarrold, którego zatrzymał Tucker.

Amberley wydawał się usatysfakcjonowany odpowiedzią; odszedł w stronę kominka i zaczął nabijać fajkę.

- Chyba może pan iść, Collins - rzekł sierżant niechętnie. - Zwracam panu uwagę, że wcale mi się nie podoba ta opowieść. Gdyby miał pan świadka, który by potwierdził, że wszystko wydarzyło się tak, jak pan mówi - to co innego. Ale wszystko, co

pan powiedział opiera się tylko na pańskich słowach, a jedyna osoba, która mogłaby powiedzieć co innego utonęła.

- Jestem pewien, panie sierżancie - powiedział powoli Collins - że panna Brown potwierdzi, że jej brat nie miał żadnego powodu, żeby chcieć mnie zamordować. Poza tym jednym wypadkiem, o którym wspomniałem, nigdy w życiu nie widziałem tego młodego dżentelmena.

- Możesz być pewien, mój panie, że porozmawiamy z panną Brown - zapewnił go sierżant.

- Będę szczęśliwy, jeśli pan to zrobi - powiedział potulnie Collins.

- I proszę nie zapomnieć, że będzie pan musiał złożyć zeznania przed koronerem - powiedział sierżant i gestem dał znać, że rozmowa skończona. Lokaj wyszedł eskortowany przez Tuckera. Sierżant odprężył się i spojrzał na Amberleya.

- No i co? Co pan na to? - spytał.

- Mówiłem już, sierżancie, że orzeczenie będzie brzmiało: śmierć na skutek nieszczęśliwego wypadku.

- Nie powie pan chyba, że uwierzył pan w ten stek kłamstw?

- Ach nie - odparł Amberley. - Ale jakżeż trudno byłoby je obalić! Po pierwsze, ta przyjacielska wylewność ze strony Marka jest wysoce prawdopodobna. Mnie też jakiś pijak chciał kiedyś koniecznie wcisnąć banknot pięciofuntowy. Wizyta w Ivy Cottage została wytłumaczona całkiem logicznie. Ten pan Albert Collins jest obdarzony bystrym umysłem; to czysta przyjemność mieć z nim do czynienia. Co się zaś tyczy dzisiejszego śledzenia Marka... Powód podał może nieco mniej wiarygodny, tym niemniej dość prawdopodobny. Obawiam się, sierżancie, że nie uda się panu go obciążyć odpowiedzialnością za śmierć Browna.

- Może tak, a może nie - rzekł sierżant. - Ale ten Albert Collins na pewno ma coś na sumieniu.

- Pewnie ma pan rację - zgodził się Amberley biorąc kapelusz. - Uwolnię pana od nieprzyjemnego obowiązku. Nie musi pan zawiadamiać panny Brown o tym, co się stało.

Sierżant wyglądał na zadowolonego.

- Będę bardzo wdzięczny, jeśli pan to zrobi. Może uda się panu dowiedzieć, co ona ma do powiedzenia na temat tej bajeczki Collinsa. Pewnie pan to zrobi lepiej niż ja.

- Na pewno - rzekł Amberley.



Kiedy Amberley przyjechał do Ivy Cottage Shirley wybierała się spać. Czekala na powrót brata i gdy otworzyła drzwi Amberley po jej bladej, zaniepokojonej twarzy poznał, że martwi się dlaczego Marka tak długo nie ma.

Na widok Amberleya cofnęła się i w pierwszym odruchu chciała zatrzaskać mu drzwi przed nosem, lecz pohamowała się. Wyraziła przypuszczenie, że może jeszcze raz przywiózł Marka do domu.

- Nie - odparł Amberley poważnym tonem. - Niestety nie. Czy pozwoli pani, że wejdę na chwilę?

Jego niezwykła uprzejmość sprawiła, że poczuła iż coś jest nie w porządku. Spojrzała na niego z niemym pytaniem w oczach.

- Nie przyszedłem się pani naprzykrzać - powiedział z łagodnym uśmiechem. - Przynoszę złą nowinę.

Ręka przytrzymująca drzwi zadrżała.

- Coś się stało Markowi! - wyszeptała Shirley.

- Tak - powiedział po prostu. Cofnęła się, by mógł wejść.

- Proszę mi powiedzieć. Czy on nie żyje? Zaprowadził ją do pokoju.

- Tak, nie żyje - popatrzył na nią dość surowo. - Czy może mi pani powiedzieć dlaczego od razu wysnuła pani taki wniosek?

Przycisnęła dłonie do skroni.

- Powiedział pan, że nie przyszedł pan dręczyć mnie pytaniami. Kiedy tak długo nie wraca, zawsze wyobrażam sobie co najgorsze. Jak to się stało?

- Wracal do domu, pijany oczywiscie i najwyrazniej potkal sie na brzegu i wpadl do rzeki.

Ręce jej opadły; szybko wciągnęła powietrze. W jej oczach utkwionych w twarzy Amberleya czaiło się przerażenie. Amberley nagle uświadomił sobie, że nigdy nie widział, by się bała. dzielnie usiłowała zachować spokój i tylko wielkimi, szarymi oczami starała się odczytać myśli z jego twarzy. Po raz pierwszy odczuł dla niej litość.

- Przykro mi, że w taki sposób musiałem pani o tym powiedzieć.

- To nie ma znaczenia - wyrzuciła z siebie unosząc dumnie głowę. - Czy... wie pan może coś bliższego?

- Niewiele. Ten dureń, który miał go pilnować stracił go z oczu. Winiem jestem pani za to przeprosiny.

Jedną ręką chwyciła się po omacku blatu stołu.

- Kazał... go pan śledzić, bo... myślał pan, że... może wpaść do rzeki?

- Niezupełnie. Pomyślałem, że po tym narwanym wyskoku w Norton Manor może nastąpić zamach na jego życie.

- Jest pan mądry - powiedziała cicho. Źle pana oceniłam... - przerwała. - Ktoś go wepchnął?

- Mogę tylko podać fakty. Wnioski musi pani wyciągnąć sama - odparł. - Jest tylko jeden świadek. Collins!

Drgnęła. - Ach!

- Właśnie. Kiedy posterunkowy Tucker dotarł na miejsce... wypadku, Collins wyciągał ciało pani brata na brzeg. Obaj stosowali sztuczne oddychanie dopóki nie przyjechałem z sierżantem.

- Collins usiłował go ratować? - powtórzyła jakby nie rozumiejąc.

- Najwyraźniej. To panią zdziwiło? Wyglądała na lekko oszołomioną.

- Niezupełnie mogę... Collins próbował... O mój Boże, nie powinnam była go tu sprowadzać!

- Collinsa?

Nie zwracała na niego wiele uwagi.

- Mojego brata. Tylko nigdy by mi nie przyszło do głowy, że... - urwała, odsunęła od stołu krzesło i usiadła, jakby nagle opadła z sił. Amberley oparł się o ścianę i przyglądał się jej. Nie udawała fałszywej rozpaczki; Amberley na tyle dobrze poznał Marka, by wiedzieć, że jego śmierć nie mogła złamać jej serca. Tym niemniej wiadomość, że nie żyje była dla niej wielkim ciosem. Ale także przeraziła ją. Nie wiedziała do kogo się zwrócić. Zadrżała i nerwowo spłotła dłonie.

- Parę dni temu był tu Collins. Po co? - zapytał Amberley po chwili.

Ocknęła się z zamyślenia.

- Powiedział, że tu był?

- Widziałem go.

- Musiał się pan pomylić.

- Nie pomyliłem się. Collins przestawił mi swoją wersję powodu wizyty, teraz bardzo chciałbym poznać pani wersję.

Kostki jej dłoni pobielwały.

- Nie zamierzam odpowiedzieć - oświadczyła. - Nawet jeśli tu był, to z zupełnie niewinną wizytą i panu nic do tego.

- Rozumiem. A kiedy sierżant zapyta panią czy brat miał jakiś powód, żeby chcieć zamordować Collinsa, to co pani odpowie?

- Nie miał żadnego powodu - odparła z trudem. - Absolutnie żadnego.

Amberley zbliżył się do niej i przysiadł na brzegu stołu. Uniosła głowę i spojrzała na niego na poły wyzywająco, na poły ze strachem. Położył rękę na jej splecionych mocno dłoniach.

- Nie uważa pani, że najwyższy czas opowiedzieć mi wszystko? - powiedział łagodnie. - No, naprawdę można mi zaufać.

Ku jego zdumieniu wysunęła dłoń i ścisnęła jego rękę.

- Wiem - powiedziała nieoczekiwanie. - Ale nie mogę. Nie ma sensu prosić. Nie odważę się panu powiedzieć. Mark nie żyje, ale ja jeszcze nie skończyłam. Nie poddam się łatwo.

- Nie odważy się pani powiedzieć - powtórzył. Spojrzał na

nią nieco zagadkowo. - Zmuszę panią. Nie, nie teraz, ale niebawem. Moja... miłość własna została zraniona. Opowie mi pani wszystko i to z własnej, nieprzymuszonej woli. Wstał i rzucił okiem na zegarek.

- Teraz proponuję, żeby pojechała pani ze mną do Greythor-ne. Ciocia będzie zachwycona mogąc panią gościć. Nie może pani zostać tu sama. Zarumieniła się.

- Dziękuję - powiedziała z wdzięcznością. - Jest pan dla mnie miłszy niż na to zasługuję. Ale nie mogę przenieść się do Greythorne. Zatrzymam się w Upper Nettlefold, w hotelu. Proszę nie nalegać. Z psem i pistoletem jestem bezpieczna. Ja... ja się nie upijam.

- W hotelu? Ma pani na myśli „Pod Głową Dzika”, na Rynku? Wolałbym raczej mieć panią na oku w Greythorne.

- Nie chcę być pod pańskim okiem, dziękuję - uśmiechnęła się słabo.

- Wiem o tym. To może przyjdzie pani tylko na tę noc do Greythorne, a jutro przeniesie się do hotelu?

- Nie, dziękuję, zostaną tutaj. Naprawdę, nic mi się nie stanie. - Wstała i wyciągnęła rękę. - Przepraszam, że byłam dla pana nieuprzejma. Dziękuję za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Czy może pan... czy mógłby pan już pójść? Wrócił do Greythorne w chwili gdy ciotka z kuzynką udawały się na górę do swoich sypialni. Felicity zapytała obojętnym tonem czy coś się stało i była wstrząśnięta odpowiedzią. Amberley oznajmił krótko, że Mark Brown nie żyje.

Lady Matthews była już na półpiętrze. Powiedziała, że to elektryzująca wiadomość, ale kto to jest Mark Brown? Nigdy o nim nie słyszała.

Felicity szybko wyjaśniła jej kim był Mark Brown, a potem koniecznie chciała się dowiedzieć, kto go zabił.

- Wpadł do rzeki i utonął. Nikt go nie zabił - odparł Amberley.

Felicity natychmiast przepełniła troska o Shirley, która

została sama w Ivy Cottage. Lady Matthews, do której dotarło, że Shirley to ta miła dziewczyna, która podniosła jej pakunek u Hodgsona, obwieściła, że nie można dopuścić do tego, aby to biedne dziecko zostało samo w tym okropnym domu. Amberley przyznał się, że już zaoferował gościnę w Greythor-ne, lecz spotkał się z odmową.

- Ach tak. Bez wątpienia. Muszę wziąć płaszcz - powiedziała lady Matthews. - Przykro mi wyciągać cię z domu jeszcze raz, ale o tej porze nie mogę tego wymagać od Ludlofa. Felicity, kochanie, ten mały pokój gościnny. I lepiej powiedz ojcu. Pechowo się składa, bo i tak już jest zirytowany.

Lady Matthews najwyraźniej miała zamiar udać się osobiście na ratunek Shirley Brown.

Bentley jeszcze raz zatrzymał się przed białą furtką. Lady Matthews wysiadła i łagodnym tonem zabroniła siostrzeńcowi towarzyszyć sobie. Amberley ostrzegł ją, że Shirley Brown to nieco uparta młoda dama.

- Biedne dziecko! - mruknęła jego ciotka ze współczuciem. Wizyta nie trwała długo. Ku zdumieniu Amberleya ciotka

wyszła w towarzystwie Shirley z małą walizeczką w ręku i wiernego Billa, który nie odstępował swej pani. Shirley sprawiała wrażenie dziwnie potulnej; nie spojrzała na Amberleya. Obie kobiety usiadły z tyłu. Bill i walizka znaleźli się na siedzeniu obok kierowcy. Bill, wdzięczny za przejażdżkę, na przemian wystawiał łeb na zewnątrz, aby rozkoszować się powiewem wiatru i lizał Amberleya po policzku.

- Trzeba mieć nadzieję, że Wolf jest zamknięty - zauważył Amberley spychając z nadgarstka wielką łapę.

Bill skromnie opuścił uszy, lecz nie podzielał nadziei Amberleya. Jego zdaniem mała, wesoła potyczka stanowiłaby miłe zakończenie dnia.

Miał co chciał! Szofer właśnie wracał z Wolfem z wieczornego spaceru. Samochód zatrzymał się przed wejściem i Wolf rzucił się na powitanie przybyłych. Bill nie czekał na otwarcie drzwi samochodu; wyskoczył ponad nimi zanim Amberley zdążył go

przytrzymać. Zdawał sobie sprawę, że znajduje się na terytorium Wolfa; gdyby wcześniej nie spotkał się z owczarkiem, etykieta nakazałaby mu powstrzymać się od walki. Ale należał do takich, którzy nie zostawiają nie zakończonych spraw. Zamieszanie ściągnęło sir Humphreya. Pojawił się w momencie, kiedy szofer zabierał szarpiącego się wściekle choć bezradnie Wolfa. Kazał uspokoić tego cholernego psa, a żonę zapytał, gdzie zamierza umieścić to drugie bydło. Shirley trzymając Billa za obrozę przeprosiła sztywno^ Sir Humphrey przypomniał sobie o obowiązku gospodarza i zwałił całą winę na Wolfa. Shirley jeszcze bardziej sztywno oświadczyła, że chciałaby zatrzymać Billa przy sobie.

Poglądy sir Humphreya na temat obecności dużych psów w domu były powszechnie znane. Zamierzał już zaznajomić z nimi gościa, ale żona uprzedziła go.

- Naturalnie, moja droga. O tyle bezpieczniej. Pójdziemy na górę. Trzeba znaleźć dla niego jakiś chodniczek. Frank, ty tak świetnie umiesz znajdować różne rzeczy. Znajdź, proszę, jakiś chodniczek. Może w tej dębowej komodzie.

Poprowadziła Shirley na górę. Sir Humphrey nie odezwał się już, choć był oburzony. Kiedy lady Matthews po chwili zeszła na dół oznajmił, że bardzo mu się to wszystko nie podoba. Wszyscy są winni, głównie Frank, który uparł się, żeby wsadzać nos w nieswoje sprawy. No i proszę co z tego wynikło. Psy w sypialniach. I nikt nie raczył zapytać go o zdanie przed sprowadzeniem do domu tej młodej damy. Gdyby ktoś go zapytał, to kategorycznie by się podobnym zamiarom sprzeciwił. Nic o tej dziewczynie nie wiedzą i chociaż naturalnie, bardzo jej współczuję, to zupełnie nie rozumie dlaczego żona uznała za swój obowiązek ingerować w cudze sprawy. Lady Matthews przyjęła surową krytykę z niewzruszonym spokojem. Poklepała go po dłoni i powiedziała:

- Okropne, kochany. Ale nie mogła zostać w tym domu zupełnie sama przez całą noc.

- Ale to przecież w żadnym wypadku nie jest nasza sprawa - upierał się lekko już udobruchany.

- Oczywiście, że nie, najdroższy. Ale widzisz, ona nie ma tu żadnych przyjaciół. To taka przykra sytuacja. A taka miła z niej dziewczyna, czuję to. Kogoś mi przypomina, tylko nie wiem kogo.

- Chciałbym poznać kogoś, kto ci nikogo nie przypomina, Marion - rzekł sir Humphrey. - Idę spać. Mam nadzieję, że jej powiedziałaś, żeby nie pozwoliła psu wlaźć na meble.

Rano odzyskał dobre maniery. Odtajał nawet na tyle, że zaproponował Shirley pozostanie w Greythorne aż do rozprawy u koronera, po której - jak sądził - będzie wracała do Londynu. Stwierdził nawet, że Bill jest dobrze ułożonym psem i obdarzył go kawałkiem cynaderek, co Bill przyjął bez wahania.

Shirley nie skórzystała z zaproszenia. Była bardzo cicha, a głębokie cienie pod oczami świadczyły o bezsennej nocy. Lady Matthews nie nalegała, by została u nich i powstrzymała męża przed naciskami w tej sprawie.

- O wiele lepiej pozwolić ludziom robić to, co chcą - oznajmiła. - Ktoś zadzwoni i zarezerwuje dla ciebie pokój w hotelu, moje dziecko.

Zdążyli zaledwie odejść od stołu po śniadaniu, kiedy wszedł Jenkins z wiadomością, że w bibliotece czeka pan Fountain, który chciałby rozmawiać z panem Amberleyem.

Wiadomość ta nadwątlila nieco dobry humor sir Humphreya. Zaczął wyrzekać na ludzi, którzy przychodzą o nieprzyzwoitych porach i nagle przypomniał sobie o strasznej rzeczy, która miała nastąpić tego dnia, a mianowicie o proszonej kolacji.

- A biorąc pod uwagę, że oboje Fountainowie i ten niemądry młody człowiek, który u nich jest przychodzą dziś wieczorem, zupełnie nie rozumiem dlaczego konieczna jest wizyta o dziesiątej rano - oświadczył i spojrzał oskarżycielsko na siostrzeńca.

- Wiem, wuju, wiem - uśmiechnął się szeroko Frank. - To wszystko moja wina. Nawet ta proszona kolacja.

Nie zostawiając wujowi czasu na odpowiedź wyszedł przyjąć Fountaina.

Fountain stał przy oknie w bibliotece i patrzył na ogród. Gdy wszedł Amberley odwrócił się i ruszył ku niemu z wyciągniętą ręką. Minę miał głęboko zatroskaną.

- Przyszedłem do pana w związku z tym tragicznym wypadkiem wczorajszego wieczoru - zaczął bez żadnych wstępów. - Usłyszałem o tym zaraz po powrocie z Londynu.

- Tak? - powiedział Amberley. - Ma pan na myśli utonięcie Marka Browna?

Najwyraźniej pół wsi spodziewało się czegoś takiego.

- Ale pan kazał go śledzić, prawda?

- Prawda. Ale śledzono go niezbyt starannie, jak się okazuje. Fountain spojrzął na niego z zaciekawieniem.

- Teraz, kiedy ten biedak nie żyje, musi mi pan powiedzieć dlaczego kazał go pan śledzić. Nie mogłem tego zrozumieć. Myśli pan, że on miał coś wspólnego ze śmiercią Dawsona?

- Kiedy jakiś człowiek - nawet pijany - wdziera się do obcego domu i strzela, to zawsze uważam, że należy go mieć na oku

- odrzekł Amberley.

- Rozumiem - zaśmiał się Fountain krótko. - Zastanawiałem się czy trafił pan na jakiś mroczny spisek! - Spoważniał.

- Właściwie przyszedłem zapytać o udział Collinsa w tej całej sprawie. Martwi się, bo wbił sobie do głowy, że policja podejrzewa go o wepchnięcie Browna do rzeki.

- Ach nie, chyba nie! - odparł Amberley.

- No, to się cieszę, bo przecież to absurdalny pomysł. Dlaczego miałby wpychać tego chłopca do rzeki? Collins mówi, że wskoczył do wody, żeby go wyciągnąć. To chyba prawda?

- Nie było mnie przy tym - powiedział Amberley. - Ale na pierwszy rzut oka wygląda na to, że tak.

Fountain zmarszczył brwi.

- Chciałbym, żeby pan był ze mną szczery - powiedział z nutą rozdrażnienia w głosie. - Zatrudniam Collinsa, więc chyba mam prawo znać prawdę. Do licha, najpierw ginie mój kamerdyner,



a potem mój lokaj jest oskarżony o utopienie jakiegoś zupełnie obcego człowieka. Czy nie jest prawdą, że próbował go uratować? Wiem, że nie można wierzyć we wszystko, co mówi służba, ale chyba nie mógł sobie tego zmyślić?

- Chyba nie - zgodził się Amberley. - Nikt nie zaprzecza, że wyciągnął ciało z wody i zastosował sztuczne oddychanie.

- No, miło mi to słyszeć — rzekł z ulgą Fountain. - Mówię panu, mam już zupełnie dosyć tych tajemniczych wydarzeń związanych z moim domem. To cholernie nieprzyjemne. Jeszcze jeden taki tajemniczy wypadek, a opuści mnie cała służba. Skąd Collinsowi przyszło do głowy, że policja go podejrzewa? To brzmi tak idiotycznie. Przecież chyba nie miał żadnego motywu, żeby zabijać Browna, prawda?

- W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo - odparł Amberley. - Być może policja odniosła wrażenie, że jego obecność na miejscu wypadku nie została wyjaśniona przekonywująco.

Ten aspekt sprawy nie przyszedł Fountainowi wcześniej do głowy.

- Rzeczywiście. Teraz, jak się tak nad tym zastanowić, to dlaczego w ogóle tam był? Zapomniałem go zapytać.

Amberley powtórzył relację Collinsa bez żadnych dodatkowych komentarzy.

Fountain wysłuchał jej uważnie, a na końcu zauważył, że jest tak bezsensowna, iż pewnie to prawda. - Wcale się nie dziwię, że policja uznała ją za mało przekonywującą.

- Osobiście nie zdziwiłbym się - ciągnął - gdyby chodziło o coś więcej. Wie pan, jacy są ci służący. Zawsze coś ukrywają. Jednak nie sądzę, żeby pomiędzy Collinsem a Brownem coś było. Pewnie kiedyś naskoczył na Browna w barze i nie chce się przyznać. A kiedy Brown przyszedł do Norton Manor go załatwić, Collins dostał pietra i postanowił zawrzeć z nim pokój.

- Tak - powiedział Amberley z zadumą. - Niezłe wytłumaczenie.

Fountain zrobił zadowoloną minę.

- Wydaje mi się bardziej prawdopodobne. Tylko nie mogę pojąć, dlaczego policja miałaby uważać, że wpełznął Browna, skoro zastali go na wyciąganiu go z wody. Amberley zaczął przyglądać się swoim paznokciom. - Wie pan, można zrobić i to, i to - powiedział powoli. - Wystarczy tylko być na tyle inteligentnym, żeby coś takiego wymyśleć.

- Dobry Boże! - rzekł Fountain bezbarwnym tonem. - Cóż za upiorny pomysł! Naprawdę, Amberley, tego już za wiele! Jak Boga kocham, potrafi pan zmrozić człowiekowi krew w żyłach!

Amberley uniósł brwi.

- Przepraszam, że uraziłem pańską wrażliwą duszę. Aleja tak właśnie bym to zaplanował.

- Przeróżające! - rzekł Fountain. Zerknął na zegarek. - Muszę iść. Aha, a co z jego siostrą? Joan mówi, że on miał siostrę. To okropne dla tej biednej dziewczyny.

- Tak - odparł Amberley. - Obecnie jest tutaj z nami. Ciotka Marion przywiozła ją wczoraj wieczorem.

- Złote serce ma lady Matthews! - powiedział Fountain. - To się nazywa prawdziwa dobra Samarytanka! Pewnie będzie musiała tu zostać aż do rozprawy dochodzeniowej?

- Wcześniej nie może wrócić do Londynu. Ciotka chciałaby ją zatrzymać, ale panna Brown nie chce tu zostać, niestety. To samodzielna kobieta. Więc zobaczymy was wszystkich na dzisiejszej kolacji, tak?

- Tak. Czekamy na nią z niecierpliwością - powiedział Fountain i pożegnał się.

Pokój w hotelu „Pod Głową Dzika” zarezerwował dla Shirley Amberley, także Amberley zaofertował się odwiedzić ją tam. Shirley wolałaby raczej skorzystać z usług Ludlowa, ale w obecności lady Matthews i Felicity nie wypadało mu tak wprost odmówić. Na tyle poznała charakter pana Amberleya, by wiedzieć, że na delikatną aluzję nawet nie zareaguje.

Po namowach zgodziła się zostać na obiedzie, ale zaraz potem opuściła Greythorne. Gdy dziękowała lady Matthews za jej dobroć, wydała się Amberleyowi zupełnie inną istotą. Po raz pierwszy w jej głosie zabrzmiała cieplejsza nuta, a w oczach zaszklili się łzy.

Jednak jak tylko wsiadła do samochodu, znów odgrodziła się wysokim murem i na wszelkie próby nawiązania rozmowy odpowiadała monsyłabami.

Amberleyowi przyjemność sprawiało prowadzenie błażej rozmowy, takiej rozmowy, jaką mógłby prowadzić z przypadkowo poznaną osobą. Shirley nie bardzo wiedziała co myśleć, więc na wszelki wypadek była podejrzliwa. Bawiła go taka sytuacja.

Najpierw zawiózł ją do Ivy Cottage, aby mogła zabrać swoje rzeczy. Rzeczy Marka miały zostać spakowane później; na razie wzdrygała się przed tą czynnością.

Sądziła, że Amberley zaczeka na nią w samochodzie, jednak on wszedł z nią do domu i kazał jej iść na górę spakować kufer. Sam zabrał się za porządki na parterze. Przy takich domowych czynnościach wydał się jej zupełnie innym, nieznanym człowiekiem.

Ponieważ poprzedniego dnia opuściła dom dość nieoczekiwanie, roboty było sporo. Przebywała na górze prawie pół godziny. Gdy zeszła na dół przekonała się, że Amberley dotrzymał słowa. Niewiele zostało do zrobienia w pokoju czy w kuchni. Posprzątał nawet w spizarni stosując bardzo prosty a skuteczny sposób: wyrzucił wszystkie łatwo psujące się produkty na pole za żywopłotem, a tam stado białych kaczek rozchwytało je w mgnieniu oka.

Shirley założyła łańcuch na kuchenne drzwi, zasunęła zasuwki i przekręciła klucz w zamku. Amberley poszedł na górę po kufer i zniósł go do samochodu. Shirley obeszła jeszcze raz dom, wyszła i zamknęła drzwi na klucz. Wsiadła do samochodu. Amberley zapalił silnik i zaczął wycofywać samochód w kierunku głównej drogi. Wtem zatrzymał się i zaklął. - Cholera!

- Co się stało? - spytała.

Zaczął szukać czegoś po kieszeniach.

- Zdaje się, że zostawiłem kapciuch z tytoniem. Tak, na pewno.

- Gdzie pan go zostawił? - położyła rękę na klamce, żeby wysiąść.

- Nie jestem pewien. Nie, proszę zostać, ja pójdę. Prawdopodobnie jest w kuchni.

Zapalałem tam fajkę. Proszę mi dać klucz, dobrze? Zaraz wracam.

Otworzyła torebkę i podała mu klucz do frontowych drzwi. Wrócił i wszedł do domu.

Szybko poszedł do kuchni, odryglował po cichu drzwi, zdjął łańcuch, a klucz, który Shirley zostawiła w zamku włożył do kieszeni. Potem wrócił do samochodu.

- Znalazł pan? - spytała Shirley. Oddał jej klucz do frontowych drzwi.

- Tak, leżał na stole. Przepraszam za zwłokę.

Odwiózł ją do hotelu, a potem pojechał na posterunek, lecz dowiedział się, że sierżant nie ma dziś służby. Ten sam młody posterunkowy, który przyjął go kiedy przyjechał z wiadomością o zamordowaniu Dawsona powiedział, że nie ma pojęcia, gdzie

może być sierżant i zaproponował, żeby Amberley zostawił wiadomość. Amberley przyjrzał mu się pełnym zadumy wzrokiem.

- Nie, chyba nie zostawię żadnej wiadomości - rzekł po głębokim namyśle. - Ale dziękuję.

Dwie minuty później posterunkowy poinformował swojego kolegę, że ten Amberley nieźle go wkurzył.

Po powrocie do Greythorne Amberley gdzieś zatelefonował. Felicity, która weszła do biblioteki zdążyła jeszcze usłyszeć, jak mówi: „I proszę zaraz dać mi znać.

Zrozumiano? Tak. To wszystko.”

- Cóż za wspaniałe maniery - zauważyła Felicity. - Z kim tak uprzejmie rozmawiałeś, jeśli wolno spytać?

- Z moim służącym - odparł Amberley.

Lady Matthews obawiała się, że proszona kolacja będzie sztywna, ale upłynęła w miłej atmosferze. Ku zadowoleniu sir Humphreya goście nie siedzieli długo. Sir Humphrey, podobnie jak pan Woodhouse stanowczo był zdania, że „im wcześniej przyjęcie się kończy, tym lepiej”. Odprowadził ostatniego gościa, stwierdził z ulgą, że ma już to przyjęcie za sobą i zamierzał udać się spać. Amberley zatrzymał go jeszcze na moment. -

- Wuju, nie zdziw się, kiedy usłyszysz samochód. Chyba będę musiał jeszcze dziś wyjść. Pomyślałem, że lepiej cię o tym zawiadomię. Jeżeli usłyszysz nad ranem skradające się kroki, to nie będzie to włamywacz, tylko ja.

- Wychodzisz? - zdumiał się sir Humphrey. - O tej porze? Po co, na litość boską?

- Później to wytłumaczę - odrzekł Frank z niewzruszonym spokojem. - Najpierw oczekuję telefonu. Wyjdę dopiero po rozmowie. Uprzedzam cię o tym, żebyś się nie niepokoił.

- Niepokoi mnie bardzo, jak widzę, że robisz z siebie takiego pajaca - powiedział surowo sir Humphrey. - Nie, nie musisz mnie uprzedzać. Doskonale zdaję sobie sprawę, że wychodzisz w związku ze śledztwem. Miałbym o tobie lepsze zdanie, gdybyś przestał mieszać się do spraw, które zupełnie cię nie dotyczą.

Ruszył za swoją żoną, ale przy drzwiach odwrócił się jeszcze i dodał: - Jak będziesz wracał, to nie stawaj na piątym stopniu, chyba że chcesz nas wszystkich pobudzić.

- Nie na piątym, kochanie. Na czwartym - poprawiła go lady Matthews.

- Nie stanę ani na piątym, ani na czwartym - obiecał Amberley.

Został sam. Udał się do biblioteki, poszedł do półek z książkami i wybrał sobie coś odpowiedniego do czytania. Usiadł przy biurku uzbrojony w „Anatomie melancholii” Burtona i pograżył się w lekturze. Czytał przez godzinę, od czasu do czasu zerkając na zegarek. Czas mijał i Amberley zaczynał się denerwować.

Krótko po północy rozległ się przenikliwy dzwonek stojącego na biurku telefonu.

Amberley podniósł słuchawkę. - Halo?

Rozmowa była bardzo krótka. Ze strony Amberleya padły jedynie trzy słowa.

Wysłuchał, co ma do powiedzenia osoba po drugiej stronie, powiedział „W porządku, dziękuję” i odłożył słuchawkę. Następnie odszukał w notesie jakiś numer i poprosił centralę o połączenie. Po dłuższym oczekiwaniu telefonista w centrali poinformował go, że numer nie odpowiada. Amberley zasugerował uprzejmie, żeby spróbował jeszcze raz. Znow musiał poczekać długą chwilę. Wreszcie odezwał się nieco zirytowany i bardzo zaspiany głos.

- Halo!

Amberley uśmiechnął się szeroko.

- Dobry wieczór, sierzancie. Co słyhać?

- To pan, Amberley? - spytał sierżant już bez irytacji w głosie. - Co się stało?

- Dzwonię, żeby zobaczyć czy pan nie śpi.

- Słuchaj pan...! - w głosie sierżanta zabrzmiało oburzenie.

- A gdyby pan spał - ciągnął Amberley - to dzwonię po to, żeby pana obudzić. Śpi pan?

- Nie, nie śpię... dzięki panu! Jeśli to jeden z tych pańskich dowcipów...

- Jest pan w dobrej formie, sierzancie? Pełen energii i entuzjazmu?

Przez moment w słuchawce rozległ się tylko ciężki oddech.

- Pewnego dnia coś się panu przydarzy - powiedział sierżant drżącym z tłumionej wściekłości głosem.

- Miejmy nadzieję - odparł Amberley.

- Ja mam taką nadzieję - rzekł ponuro sierżant. - Żeby mnie tak trzymać w nocnej koszuli tylko po to, żeby mi zadawać te idiotyczne pytania!

- Nie chcę pana trzymać dłużej w nocnej koszuli. Na pewno by mi się ten widok nie spodobał. Proszę iść się ubrać.

- Iść się... Słuchaj pan, o co właściwie chodzi? Po co mam się ubierać?

- Bo tak nakazują dobre obyczaje - wyjaśnił Amberley. - Przyjadę po pana i udamy się na małą przejażdżkę. Będę za piętnaście minut. Na razie!

Kwadrans potem zabrał sierżanta sprzed jego domu i zawiózł go do Ivy Cottage.

Sierżant był mocno zaintrygowany i koniecznie chciał się dowiedzieć, co będą robić. Amberley wyjaśnił, że będą zbierać dowody.

- Wydaje mi się, sierżancie, że będzie pan świadkiem włamania do Ivy Cottage.

- Tak? - spytał sierżant. - Gdybym rzeczywiście miał być świadkiem włamania, to nie traciłbym czasu na przyglądanie się, tylko zaraz bym włamywacza aresztował.

- Jeśli kogoś aresztujemy, to pod zarzutem morderstwa, a nie włamania - ostudził go Amberley.

Minał Ivy Cottage, zatrzymał samochód jakieś sto jardów dalej, za zakrętem, i zgasił wszystkie światła. Sierżant nie wiedział, że Shirley Brown przeniosła się do hotelu, dopóki Amberley mu o tym nie powiedział. Zapytał czy dała mu klucz. Amberley wyznał, że wziął go bez jej wiedzy. Sierżant z wielkim zaniepokojeniem wyraził nadzieję, że nie wynikną z tego kłopoty.

W domu panowała cisza. Było ciemno, jedynie przez nie zasłonięte okna wpadało światło księżyca. Amberley polecił sierżantowi zamknąć okiennice w kuchni, a sam poszedł zaciągnąć zasłony w pozostałych pomieszczeniach.

- Aa, rozumiem - powiedział sierżant w prześlasku zrozumienia. - Będzie wyglądało tak, jakby ta młoda dama nadal tu była. A co teraz?

- Zaraz powiem - obiecał Amberley.

Obszedł cały dom, wrócił do kuchni i zapalił stojącą na stole lampę.

- A teraz, sierżancie, niech pan posłucha - rzekł. - Przy odrobinie szczęścia będzie pan mógł dokonać aresztowania, którego pan tak pragnie. Proszę iść na górę i położyć się do łóżka. Jak usłyszy pan, że ktoś idzie na górę, to proszę się starannie przykryć. Myślę, że będziemy mieli gościa.

- I to wszystko, co mam robić? - spytał sierżant. - Bo jeśli tak, to wracam do własnego łóżka.

- Ależ nie, sierżancie. Będzie pan grał rolę pozoranta. Jeśli nasz gość będzie próbował pana udusić albo uśpić chloroformem, złapie go pan za kołnierz.

- A pewnie, że złapię - powiedział z zapalem sierżant. - Czy to znaczy, że Albert Collins zamierza załatwić pannę Brown?

- Ależ nie - odparł Amberley. - Nikt jej nie załatwi, jeśli uda mi się temu zapobiec. Zbliżył rękę do lampy i spojrzał na zegarek.

- Na wszelki wypadek niech pan już idzie. Tylko niech pan nie popełni błędu, dobrze? Jeśli nie będzie próbował pana zamordować, niech się pan nie rusza. Niech pan go tylko obserwuje.

Przed pójściem na górę sierżant zatrzymał się jeszcze na chwilę.

- No, nie wiem - powiedział. - Dziwne mi się to wydaje. Mam do pana zaufanie, ale mówiąc szczerze wcale mi się to nie podoba.

Kilka chwil później okropne skrzywienie obwieściło, że położył się na łóżku.

Amberley tymczasem uchylił drzwi na korytarz, usiadł na jednym ze znajdujących się w kuchni drewnianych krzeseł i zgasił lampę. Absolutną ciszę zakłócało jedynie tykanie zegara na kominku.



Czas włókł się minuta za minutą. Sierżant leżał na wąskim łóżku Shirley i wyteżał słuch nasłuchując najlżejszego szelestu. Zastanawiał się dlaczego nie zaproponował, żeby Amberley udawał Shirley. Nie uważał się za człowieka nerwowego, ale takie czekanie w ciemności na kogoś, kto ma przyjść z zamiarem morderstwa nie należało do przyjemności. Zdecydował się porozmawiać o tym z Amberleyem. Minęło dziesięć, piętnaście, dwadzieścia minut; zaczął się niecierpliwić. Ogarnęły go wątpliwości. A może to głupi dowcip, może ten diabeł pojechał sobie do domu? Nie, byłoby to do niego niepodobne. Sierżant miał wielką ochotę zejść na dół i przekonać się czy Amberley jest tam nadal. Po namyśle odrzucił jednak ten pomysł. Nawet Amberley nie zrobiłby czegoś podobnego dla zwykłego żartu.

Gdy skrzypnęła szafa nieźle się przestraszył. Zimny dreszcz<sup>4</sup> przebiegł mu po kręgosłupie. Miał nadzieję, że Amberley ma się na baczności. Ledwo zdołał przekonać samego siebie, że to tylko szafa skrzypnęła, kiedy rozległ się niesamowity, przerażający krzyk. Sierżant poderwał się łapiąc za rewolwer. Krzyk powtórzył się; sierżant odetchnął głęboko z ulgą. Przypomniawszy sobie, że jako chłopiec zastrzelił i wypchał sowę. Był teraz zadowolony, że to zrobił; żałował tylko, że nie zastrzelił ich wtedy więcej.

Położył się ostrożnie. Amberley zachowywał się bardzo cicho. Nic dziwnego, on jest zawsze taki opanowany. Może nie byłby aż tak bardzo opanowany, gdyby to on miał tak leżeć w oczekiwaniu kogoś, kto przyjdzie go zamordować.

Jakaś mysz obgryzając boazerię i przyprawiała sierżanta o skurcz strachu. Syknął na nią i chrobot ustał.

Nagle ciszę przerwał inny dźwięk. Mógłby przysiąc, że usłyszał jak otwiera się furтка. Zawiasy były zardzewiałe i skrzypnęły cicho. Sierżant zacisnął ręce na kocu i nasłuchiwał.

W kuchni Amberley bezszelestnie wstał z krzesła i podszedł do drzwi prowadzących na korytarz. W domu panowała absolutna ciemność, w której tykanie zegara zdawało się rozbrzmiewać głuchym echem.

Od strony okna w pokoju dobiegł cichutki brzęk. Rama zatrzeszczała, jak gdyby ktoś wciskał coś pomiędzy skrzydła okna. Rozległ się suchy trzask wyłamywanego zamka blokującego ze sobą górną i dolną część okna, a potem nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

Amberley stał przy uchylonych drzwiach i czekał.

Ktoś ostrożnie podnosił od zewnątrz górną część okna; zacięło się nieco i Amberley usłyszał jak ręka pośliznęła się na szybie. Po tym zdradzieckim dźwięku znów nastąpiła chwila zupełnej ciszy, ale zaraz okno podniosło się wyżej, a zasłony rozchyliły się wpuszczając do środka blade światło księżyca.

Amberley obserwował okno z kuchni przez szparę w uchylonych drzwiach. Dłoń w rękawiczce odsunęła zasłonę i chwyciła się parapetu. Nocny gość bezszelestnie wszedł do pokoju. Przez moment stał w świetle księżyca i Amberley mógł mu się przyjrzeć. Miał na sobie długi płaszcz, a gdy się odwrócił widać było, że ma coś na głowie, prawdopodobnie jakiś worek z wyciętymi otworami na oczy, co nadawało mu osobliwie złowieszczy wygląd. Amberley był ciekaw, co o tym pomyśli sierżant. Błysnęła latarka. Nieznany osobnik cicho wszedł do małego korytarzyka, który dzielił pokój i kuchnię. Promień latarki omiótł ściany i zatrzymał się na schodach. Mężczyzna stanął bez ruchu. Jego sylwetka rysowała się ciemną plamą na tle światła księżyca. Wyjął coś z kieszeni i wykonał taki ruch, jakby skrapiał perfumami chusteczkę.

Nagle zamarł i zaczął nasłuchiwać. Przed chwilą skrzypnęła furka.

Amberley wycofał się bezszelestnie, ostrożnie podszedł do spiżarni i wymacał klamkę. Zaczął ją przekręcać. Kimkolwiek by nowy przybysz nie był, to na pewno nie podziewał się go ten, który stał w bezruchu u stóp schodów.

Ktoś wlaził przez okno. O ścianę zaskrobał but, całe okno zatrzęsło się, gdy głowa weszła w nagły kontakt z ramą.

- Psiakrew! - wyrwało się przybyszowi.

Człowiek u stóp schodów odwrócił się i w mgnieniu oka znalazł się w kuchni. Korzystając z hałasu, jaki czynił ten drugi, Amberley otworzył drzwi spiżarni. Kiedy światło latarki omiotło kuchnię, nikogo w niej nie było. Zakapturzony mężczyzna miał na nogach buty na gumowej podeszwie, toteż jego kroków nie było słyhać na kamiennej posadzce. Dotarł do drzwi, przekręcił klucz w zamku - i już go nie było.

Amberley wyszedł ze spiżarni i ruszył na spotkanie drugiego mężczyzny, który tymczasem przełazi już przez okno i zmierzał do kuchni.

- Ty skończony durniu! - zawołał z wściekłością Amberley.

- Ty niezdarna, tupa pało!

- Wielki Boże - Corkranowi dech w piersiach zaparło; zmrużył oczy przed blaskiem latarki Amberleya. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że to byłeś ty? Co tu robisz, do diabła?

Amberley odwrócił się w kierunku schodów.

- Może pan zejść, sierżancie! - zawołał. - Zabawa skończona. Corkran podskoczył

- Co? Sierżant Gubbins tam jest? A gdzie panna Brown? No, no!

- Anthony - rzekł Amberley niebezpiecznie spokojnym tonem - jesteś bardzo bliski śmierci. Nie przeciągaj struny!

Na schodach rozległy się ciężkie kroki schodzącego na dół sierżanta.

- Co się tu stało? - zapytał sierżant.

- Nic - odparł Amberley rozgoryczony. - Dzięki mojemu wspaniałemu przyjacielowi.

Sierżant oświetlił latarką Corkrana i spojrzał na niego życzliwym okiem.

- No, nie wiem czy jest mi bardzo przykro z tego powodu

- powiedział.

- Ale, słuchajcie! - zaczął z zapalem Anthony i urwał. - Co to za smród, do cholery?

- Chloroform - wyjaśnił Amberley. Wszedł do pokoju i zapalił zapałkę.

Sierżant Gubbins poczuł nagle wielką sympatię do Corkrana.

- Niech to wszystko szlag! Niemożliwe, żebym to ciebie śledził aż od Norton Manor! - zaprotestował Anthony.

- Pewnie, że nie mnie. - Amberley zapalił lampę i odwrócił się.

- Może zainteresuje cię informacja, że obaj z sierżantem czekaliśmy tu na człowieka, którego śledziłeś. Wlazłeś tu z takim łomotem, że umarłego by postawił na nogi. Gdybyś się nie wmieszał, już byśmy go mieli.

- Niech to szlag trafi! Ale skoroś tu był, to czemuś go nie złapał? - zdziwił się Anthony.

- Bo chciałem go przyłapać, ty idioto!

- Przyłapać na czym?

- Na usypianiu sierżanta chloroformem - zaśmiał się Amberley. - No, trudno, nie ma rady. Lepiej powiedz coś ty robił.

Podszedł do okna, zamknął je i zaryglował.

Corkran zabawiał się w detektywa na własną rękę. Po powrocie z kolacji w Greythorne poszedł do łóżka, ale nie po to, żeby spać od razu. Przez jakiś czas czytał; światło zgasił gdzieś chyba po północy. Po zgaszeniu światła nie spał jeszcze jakiś czas. Gdy zaczynał zasypiać, usłyszał jakiś dźwięk na dworze. Jego pokój znajduje się od frontu i już wcześniej zauważył, że kiedy ktoś się zbliża, to odgłos kroków jest spotęgowany przez luźny żwir, którym wysypany był podjazd.

Pomyślał, że to dziwne, iż ktoś może kręcić się po dworze tak późno w nocy.

Ciekawość kazała mu wstać i wyjrzeć przez okno. W pierwszej chwili nikogo nie zauważył, ale nagle z cienia dużego rododendronu wyłonił się jakiś człowiek.

Znajdował się w odległości mniej więcej trzydziestu jardów od domu i zmierzał w kierunku bramy, tak więc Corkran widział tylko jego plecy, a i to niewyraźnie.

Człowiek ów szedł wąskim pasem trawy na poboczu podjazdu i prowadził rower na żwirze. Mężczyzna miał na sobie długi płaszcz i głęboko wciągniętą tweedową czapkę. Corkran nie był w stanie go rozpoznać z tej odległości, ale miał wrażenie, że idzie jakby ukradkiem," co w połączeniu z późną porą wzbudziło

w nim podejrzania. Był prawie pewien, że to Collias, więc natomiast postanowił go śledzić w nadziei odkrycia czegoś ważnego.

Pospiesznie wciągnął spodnie na piżamę, naciągnął skarpetki i buty, chwycił płaszcz i po cichu, na palcach zbiegł na dół. Nie chciał ryzykować, że obudzi i przestraszy Joan, szczególnie też zależało mu na obudzeniu Basila. Przypadkiem wiedział, że w szopie jest stary rower, którego używała czasem Joan. Pobiegnął po niego i ruszył w pościg.

Zanim dotarł do bramy po tajemniczym rowerzyście nie było śladu. Pomyślał, że najprawdopodobniej pojechał w stronę Upper Nettlefold, ruszył więc tą drogą. Jodełko roweru było dla niego za nisko, a jedna z opon bardzo potrzebowała napompowania. Wszystko razem wzięwszy, jechało mu się bardzo niewygodnie, ale nie rezygnował. W końcu, w odległości mniej więcej jednej mili od Norton Manor jego trud został nagr odzony - dostrzegł swoją zwierzynę. Potem pościg był już dziecinną igraszką. Uważał, żeby trzymać się w sporej odległości, bo chociaż jego rower nie miał świateł, to jednak księżyc mógł go zdradzić, gdyby ścigamy przypadkiem się obejrzał.

Pod koniec o mały włos nie dał się zaskoczyć. Tajemniczy osobnik minął aleję prowadzącą do Ivy Cottage, a on, Corkran, pedałowal za nim zawzięcie. Ale po kilku jardach ów osobnik zatrzymał się, zsiadł z rowerui wepchnął go do rowu. Na szczęście Corkran akurat znajdował się w cieniu kępy drzew. Także więc poszukał schronienia w rowie i zaczął, żeby zobaczyć, co zrobi ścigany. Mężczyzna zaczął iść w kierunku, z którego przyjechał. Corkran przyznał, że trochę się wtedy wystraszył. Mężczyzna nie miał już na głowie czapki, lecz jakiś worek z otworami na oczy. W świetle księżycy wyglądał dość makabrycznie, zwłaszcza zanim Corkran zorientował się, że to tylko worek. W tym momencie nabrał pewności, że ow ktoś musi mieć niecne zamiary, skoro zamaskował się w ten sposób. Żałował, że nie ma broni, ale Basil trzymał broń pod kluczem, a on nie ma w zwyczaju zabierać w podróż rewolweru. Jednak w takiej chwili głupio było zrezyg-

nować z podchodów, więc poszedł za zamaskowanym mężczyzną. Zza żywopłotu otaczającego dom widział, jak włamuje się do środka. Potem, rzecz jasna, z bronią czy bez musiał dokończyć to, co zaczął. No a resztę już znają.

Sierżant wysłuchał relacji z podziwem i na koniec pochwalił go mówiąc, że takie działanie przynosi mu chlubę. Amberley powiedział, że intencje może były dobre, ale za to rezultat opłakany. Wyraził też przypuszczenie, że na dodatek pewnie będzie musiał odwieźć go do Norton Manor.

- Słuszne przypuszczenie - rzekł Anthony wesoło. - Za nic w świecie nie wsiądę ponownie na ten welocyped.

- Pójdę zamknąć kuchenne drzwi - powiedział Amtoerley. - Możemy wyjść od frontu.

Poszedł do kuchni. Drzwi wciąż stały otworem tak jak zostawił je zbieg. Amberley już miał je zamknąć, kiedy do jego uszu dobiegł jakiś szmer. Zapalił latarkę i omiótł promieniem podwórko. Przy drzwiach do drewnutni coś się poruszyło; przez moment ujrzał twarz Bakera. Twarz zaraz zniknęła i trzasnęła jakaś sucha gałązka nadepnięta przez uciekającego. Amberley wyszedł szybko do małego ogródka warzywnego; w tej samej chwili tuż za nim pojawił się Corkran pytając, co robi. Czy kogoś zobaczył?

Amberley nie odpowiedział od razu. Zgasił latarkę i dopiero wtedy powiedział:

- Nie, chyba nie. Idę zamknąć furtkę od tyłu. A ty otwórz okiennice w kuchni, dobrze?

Zaczekał aż Corkran wejdzie z powrotem do środka, po czym zbliżył się do drewnutni. Nikogo tam nie było, nikt też chyba nie czał się w ogrodzie. Amberley stanął bez ruchu nasłuchując pilnie. Najmniejszy dźwięk nie zdradził czyjejkolwiek obecności. Amberley uniósł nieco brwi, zawrócił i wszedł do domu.

Sierżant z Corkranem gawędzili po przyjacielsku. Byli zgodni co do dwóch punktów: owym człowiekiem bez wątplenia był Albert Collins, a Amberley nie powinien był pozwolić mu uciec.

Tyle usłyszał Amberley wchodząc do kuchni. Zamknął i zaryglował drzwi.

- Intencje macie dobre, ale brakuje wam rozwagi - rzucił przez ramię. - Kiedy dokonamy aresztowania, to pod zarzutem morderstwa... i innych rzeczy. A nie pod zarzutem włamania. A ponadto chciałbym zwrócić waszą uwagę na jeden drobny, lecz znamieny szczegół. Człowiek, który dzisiaj się tu włamał nie wiedział o istnieniu Billa.

Sierżant rzucił wymowne spojrzenie Corkranowi.

- A któż to jest Bill? - spytał.

- Bill - odparł Amberley - to bullterrier panny Brown. Przemyślcie to.

Następnego ranka przy śniadaniu Anthony Corkran zdał starannie ocenioną relację ze swego udziału w nocnych wydarzeniach. Podczas jazdy do Norton Manor Amberley poinstruował go szczegółowo i Anthony zrozumiał, że ujawnienie obecności w Ivy Cottage pozostałej dwójki byłoby bardzo złym posunięciem. Początkowo uważał, że najlepiej w ogóle nic nie mówić na temat nocnej przygody. Potem jednak przyznał rację Amberleyowi, który wytłumaczył mu, że jego milczenie niechybnie ostrzeże tajemniczego włamywacza, iż jest podejrzany. Ów ktoś przyszedł z Norton Manor; co więcej, musi wiedzieć kto go śledził, ponieważ Anthony zaklął głośno uderzywszy się głową o ramę okienną. Jeśli Anthony zachowa milczenie, to ów człowiek będzie się miał na baczności.

Tak więc następnego dnia przy śniadaniu, kiedy Joan odeszła już od stołu, zgodnie z sugestią przyjaciela Anthony opowiedział Fountainowi, że przez całą noc ścigał zamaskowanych ludzi. Fountain spojrział na niego jak na niegroźnego wariata i powrócił do jedzenia. O tej porze nigdy nie był w najlepszym nastroju, toteż w odpowiedzi wydał jedynie jakieś niezrozumiałe mruknięcie.

Anthony posmarował masłem kolejną grzanekę.

- Mówiąc ściślej, nie ludzi, ale człowieka. Jednego. W worku na głowie.

Fountain podniósł wzrok znad gazety.

- O czym ty, do diabła, mówisz? - spytał z rozdrażnieniem.

- Jak mi nie wierzysz, to obejrzyj sobie rower - rzekł Anthony. - Nie był w najlepszym stanie, kiedy na niego wsiadałem, za to teraz nadaje się tylko na zwolnienie chorobowe.



Fountain odłożył gazetę.

- Jaki rower? Naprawdę, wolałbym, żebyś przestał wygadywać takie bzdury!

- Rower Joan. Przejechałem na nim siedem mil. I z powrotem.

- Tak, mogę sobie wyobrazić ciebie jadącego na rowerze siedem mil - zaśmiał się

Fountain. - A teraz może wyjaśnisz, na czym polega dowcip?

Anthony wyjaśnił. Sporo czasu zabrało mu przekonanie Fountaina, że nie żartuje.

Kiedy w końcu mu się to udało, Fountain z miejsca chciał wiedzieć, kim był ów tajemniczy człowiek. Anthony odparł, że nic wie, chociaż ma pewne podejrzenia.

- Collins? - zapytał Fountain zniżając głos. - Wielkie nieba!

- Pamiętaj, że nie mam pewności - ostrzegł go Corkran. - Nie widziałem jego twarzy.

Fountain nie ukrywał faktu, iż jest porządnie zirytowany. Powiedział, że teraz wygląda na to, iż będzie musiał Collinsa wyrzucić. Anthony zgodzą się z nim ochoczo, jednak zirytowało go nieco, że Fountain nadał miał pewne wątpliwości co do samej opowieści. Fountain uważał, że to wszystko jest dość dziwaczne i żałował, iż Anthony nie złapał tego człowieka i nie zdemaskował go. Postąpiłby bardzo niemądrze oskarżając Collinsa bez żadnego dowodu. Musi całą sprawę przemyśleć i wziąć Collinsa pod ścisłą obserwację. To szalenie nieprzyjemna sprawa, żeby nie powiedzieć oburzająca. Jeśli policja znów przyjdzie przesłuchiwać służbę, to gospodyni odejdzie. Już poprzednio była obrażona i zdenerwowana nietaktowną metodą przesłuchiwania przez inspektora.

- Prawdę mówiąc wiele bym dał, żebyś nie wyglądał przez to okno - mówił ze złością. - Przynajmniej o niczym bym nie wiedział.

W tej chwili do pokoju weszła Joan i dyskusja natychmiast została zakończona. Joan i Corkran mieli zamiar zagrać w golfa. Uprzejma propozycja, żeby Basil poszedł zagrać z nimi została

odrzucona. Nie zamierzał grać roli przyzwoitki, powiedział. A poza tym ten stary nudziarz Matthews dzwonił, że przyjdzie z jakąś sprawą.

- Wiem, o co mu chodzi - ciągnął Fountain. - Napomknął coś wczoraj przy kolacji, ale udałem, że nie dosłyszałem. I tak mam dość zmartwień bez przewinień mojego zarządcy.

- Kłusownicy? - zapytała Joan. - Słyszałam, Felicity o nich mówiła. Hitchcock jest chyba dość leniwy.

- W każdym razie nie mam zamiaru zwalniać go tylko dlatego, żeby zadowolić starego Matthews'a - oznajmił Fountain.

Sir Humphrey przyjechał o dwunastej. Jego szofera Ludlowa powaliła grypa, więc Felicity przywiozła go swoim małym samochodem. Baker wprowadził ich do biblioteki i poszedł po swego pana.

Sir Humphrey, jak wszyscy miłośnicy książek, zaczął obchodzić bibliotekę studiując ciasno zapchane półki. Powiedział z przyganą w głosie, że dziwi się, iż Fountain nie kazał skatalogować i uporządkować zbiorów.

Siedząca w oknie Felicity odparła, że nie sądzi, by mu na tym zależało.

- To nie jest mól książkowy - uśmiechnęła się.

- To widać - rzekł jej ojciec. Założył okulary i zaczął studiować grzbiety oprawnych w skórę klasyków.

- Zresztą one wszystkie wyglądają na nudne - odparła Felicity bez troski.

Sir Humphrey nie odpowiedział pocniony znalezionym skarbem. Felicity zostawiła ojca w spokoju i skierowała uwagę na ogrodnika, który grabił liście na trawniku. Kiedy wszedł Fountain przepaszając, że musieli na niego czekać, sir Humphrey przerzucił kartki zakurzonego tomu wydobytego gdzieś z mroków najwyższej półki.

- Nie ma za co, nie ma za co - powiedział z roztargnieniem. - Oglądałem pańskie książki. Czy zdaje pan sobie sprawę, że poustawiano je według wielkości?

Fountain z nieco zakłopotaną miną wyraził obawę, że nie przepada za czytaniem. Usłyszał w odpowiedzi, że powinien zatrudnić kogoś do uporządkowania biblioteki. Okazało się, że w jego posiadaniu było wiele rzadkich wydań, i że De Quincey ocierał się o czyjeś „Wspomnienia z carskiego dworu”. Z tonu sir Humphreya Fountain wywnioskował, że jest to zbrodnia, więc wyjaśnił, iż jest w tych sprawach zupełnym ignorantem.

- Zdaje się, że pański dziadek był zapalonym kolekcjonerem

- ciągnął sir Humphrey. Uniósł do góry trzymaną w ręku książkę.

- A to jest stara przyjaciółka, której od lat nie widziałem. Nie wiem dlaczego nie mam jej w swoich zbiorach. Czy mógłbym ją pożyczyć? Zdaję sobie sprawę, że to brzydki zwyczaj.

- Ależ proszę bardzo - powiedział Fountain z nadzieją, że ucieknie od tematu książek. - Proszę sobie pożyczyć, co pan chce. Będzie mi bardzo miło.

Sir Humphrey spojrział na niego z takim zdumieniem, jakie by objawił na widok dinozaura.

- O Boże!-zawołał.-Ależ to dzieło, to Disraeli! „Osobliwości literatury” - naprawdę uznałby je pan za warte... trudu przeczytania. Ale nie przyjechałem tu rozmawiać o książkach. Nie powinienem marnować pańskiego czasu.

Fountain wymamrotał uprzejme zaprzeczenie, ale nie uczynił najmniejszej próby, by odwieść sir Humphreya od przejścia do rzeczy. Po dzwudziestu minutach rozmowy obiecał porozmawiać ze swoim zarządcą. Dowiedziawszy się, że na terenie jego posiadłości widziano jakichś podejrzanych osobników; sir Humphrey był zdania, że obowiązkiem każdego właściciela ziemskiego jest zlikwidować zagrożenie kłusownictwem i wyraził przekonanie, iż Fountain się z nim zgodzi.

Fountain był gotów zgodzić się ze wszystkim. Naturalnie, że trzeba pozbyć się kłusowników; porozmawia z Hitchcockiem.

Felicity zauważyła jego źle ukrywane zniecierpliwienie. Wstała i stwierdziła, że jeśli zaraz nie pójdą, to nie zdążą odwiedzić Upper Nettlefold przed obiadem. Sir Humphrey powiedział, że

nie będą zabierać więcej czasu i że liczy na jego działanie w tej sprawie.

Uścisnął mu na pożegnanie dłoń i już miał wyjść, kiedy cicho otworzyły się drzwi i wszedł Collins. Lokaj zatrzymał się w progu.

- Proszę o wybaczenie, jaśnie panie. Myślałem, że pan jest sam - powiedział od razu.

- Nie szkodzi. Skoro już tu jesteś, to odprowadź sir Humphreya i pannę Matthews - rzekł Fountain. - Do widzenia panu. Zaraz się zajmę tą sprawą. Czy na pewno nie chce pan pożyczyć więcej książek? Proszę się nie krępować, zawsze chętnie pożyczę panu każdą książkę. Będzie mi bardzo miło!

Oczy lokaja spoczęły na moment na tomie, który trzymał sir Humphrey. Następnie szybko spojrzął na półki. Przez jego twarz przemknął jakiś nikły grymas.

- Czy mam zapakować tę książkę, milordzie? - zapytał.

- Nie, dziękuję, nie trzeba - odparł sir Humphrey ruszając do wyjścia.

- Obawiam się, że może być bardzo zakurzona. Czy mam ją wytrzeć?

- Wytrzeć? Nie, nie trzeba! - zirytował się sir Humphrey. - No, do widzenia, Fountain. Chodź, Felicity, bo się spóźnimy.

- Czy zauważyłeś tego człowieka? Mam na myśli lokaja - powiedziała Felicity w samochodzie.

- Czy go zauważyłem, córeczko? Naturalnie, że go widziałem. A dlaczego miałbym na niego zwrócić uwagę w szczególności?

- Obrzucił cię... takim nieprzyjemnym spojrzeniem.

- Zdawało ci się tylko - rzekł sir Humphrey. - Dlaczego miałby mnie obrzucać nieprzyjemnym spojrzeniem?

- Nie wiem. Ale to zrobił.

Pojechała do Upper Nettlefold, ponieważ lady Matthews poleciła jej wstąpić do hotelu i sprawdzić czy Shirley Brown jest

tam wygodnie i zaproponować, że może jej towarzyszyć podczas rozprawy u koronera następnego dnia. Portier powiedział jej, że panna Brown jest w pokoju i poszedł po nią. Felicity i sir Humphrey czekali w hallu.

Shirley zeszła po kilku minutach. Była zadowolona z wizyty Felicity, ale nieco onieśmialona. Oprócz czarnej opaski na rękawie tweedowego żakietu nie nosiła innej żałoby. Była zmartwiona, ale na twarzy nie było śladów płaczu. Powiedziała, że jest jej tu bardzo wygodnie i odrzuciła propozycję lady Matthews. To bardzo uprzejmie ze strony lady Matthews, ale nie potrzebuje asysty. Nie chciałyby, żeby przez nią lady Matthews musiała uczestniczyć w czymś tak nieprzyjemnym.

Sir Humphrey obrzucił ją nieprzychylnym spojrzeniem.

- Moja żona pomyślała - powiedział - że może byłoby pani miło mieć... mm... wsparcie w tak bolesnych okolicznościach.

Shirley spojrzała mu w oczy.

- Nie żałuję się - odparła. - Był to dla mnie szok i zmartwiło mnie to. Ale nie chcę udawać rozpaczki. Bo, widzi pan, nie jestem zrozpaczona. Przykro mi, jeśli to pana gorszy.

Rzeczywiście, sir Humphrey był zgorszony. Powiedział, że być może nie miała jeszcze czasu uświadomić sobie, co się stało. Uśmiechnęła się nieco lekceważąco, ale nie podtrzymała tematu. Na pytanie o powrót do Londynu udzieliła niejasnej odpowiedzi, celowo - domyśliła się Felicity. Podobno jakaś sprawa związana z Ivy Cottage wymagała załatwienia.

Gdy Felicity podniosła się, żeby się pożegnać, Shirley nie starała się zatrzymać gości. Felicity uważała, że Shirley znajduje się w wielkim napięciu, choćby nie wiadomo co mówiła. Zdradziły ją oczy.

W drodze do domu sir Humphrey nawet nie starał się ukryć swej niechęci do Shirley. Jego poczucie dobrego wychowania zostało urażone przez jej brak hipokryzji; nie umiał wybaczyć takiej otwartości, choćby Mark Brown był nie wiadomo jakim utrapieniem. Mimo wszystko należało zachować przyzwoitość. Brak żałobnego stroju oznacza brak szacunku dla zmarłych.

Nawet jeśli ktoś za życia był nędznikiem, śmierć - w oczach sir Humphreya - z miejsca czyni go godnym szacunku.

Przerwał nagie swoje wywody i zaczął szukać czegoś na tylnym siedzeniu. Felicity zwolniła.

- Ca się stało, tato?

- Zdaje się, że zostawiłem w hotelu tę książkę, którą pożyczyłem - powiedział z irytacją. - Nie rozumiem, jak mogłem zrobić coś podobnego. Będziemy musieli wrócić.

Tak często krytykował żonę i córkę za nawyk zapominania różnych rzeczy, że Felicity aż pisnęła z radości.

Zawróciła i po dziesięciu minutach jazdy, znaleźli się znów przed hotelem „Pod Głową Dzika”. Sir Humphrey wszedł do hallu. Shirley siedziała samotnie, a na stoliku obok niej leżała książka. Dziewczyna była zarumieniona, a kiedy uniosła głowę, sir Humphrey ujrzał w jej ciemnych oczach tyle blasku, że aż się zdumiał. Psiakość, ta dziewczyna wyglądała tak, jakby nagle spotkało ją wielkie szczęście, a nie dopiero co straciła jedyne brata.

- Zapomniał ją pan wziąć, prawda? Przeglądałam ją. Odkurzyłam też, bardzo tego potrzebowała. - Włożyła mu książkę w ręce. - Proszę.

- I co pani o niej sądzi? - spytał sir Humphrey. Delikatny uśmiech zawisł na jej: wargach.

- Wydaje się zawierać bardzo ciekawe rzeczy - powiedziała.

Amberleya nie było na obiedzie, ponieważ pojechał do Carchester na naradę z komisarzem. Pojawił się dopiero po południu, i to w nienajlepszym nastroju. Sir Humphrey próbował przeczytać mu anegdotę o *Abbi Marolles*, lecz Amberley przerwał mu natychmiast.

- Czytałem ją.

- Naprawdę? - obraził się sir Humphrey. - Tym niemniej będę zdziwiony, jeśli potrafisz powiedzieć, z jakiej książki pochodzi.

- „Osobliwości literatury” - odparł Amberley bez wahania. - Nie wiedziałem, że masz tę książkę.

Sir Humphrey rozchmurzył się zadowolony, że jego siostrzeniec jest bardziej odczytany niż sobie wyobrażał. Wyjaśnił, że rano pożyczył tę książkę od Fountainina. Podjął jeszcze jedną próbę odczytania fragmentu, ale został powstrzymany jeszcze bardziej stanowczo.

- A pamiętasz, Frank, ten kawałek? - zaczął.

- Tak - uciał Amberley.

Sir Humphrey poinformował go, że jego maniery są nie do zniesienia. Żeby wyładować złość cierpko wyraził nadzieję, że Frank nie zamierza chyba znów obudzić całego domu nad ranem, tak jak poprzedniej nocy.

Amberley, który mijając o czwartej rano sypialnię wuja słyszał jego chrapanie, uśmiechnął się szeroko i zapewnił potulnie, że tej nocy nikt nikomu nie będzie zakłócał snu.

Mylił się. Dwadzieścia po drugiej ciszą domu wstrząsnął łomot, który zbudził nie tylko sir Humphreya i jego żonę, ale także Amberleya.

Wydawało się, że miejscem hałasu był salon; zaraz po nim nastąpiła kompletna cisza. Amberley po cichu wyszedł z pokoju z pistoletem w jednej dłoni, a latarką w drugiej. Przystanął i zaczął nasłuchiwać.

Gdzieś w dole skrzypnęła deska. Amberley bezszelestnie zaczął schodzić na dół. W tym momencie drzwi sypialni sir Humphreya otworzyły się z trzaskiem i sir Humphrey wybiegł na korytarz.

- Kto tam jest? - zawołał i zapalił światła na górze. Amberley zaklął pod nosem i dwoma susami dopadł do hallu.

Za późno. Kiedy zapalił latarkę w salonie nikogo już nie było. Oszklone drzwi do ogrodu były otwarte i przeciąg wydymał zasłony. Amberley szarpnięciem rozsunał story i wyrzwał. Ogród skąpany był, co prawda, w świetle księżyca, drzewa jednak rzucały plamy cienia. Nikogo nie było widać, promień latarki nie

ujawnił żadnej zaczajonej w cieniu postaci. Ten, kto włamał się do domu znajdował się już daleko i ściganie go byłoby daremne.

Amberley powrócił do salonu i obejrzał drzwi do ogrodu. Dwie małe szybki zostały starannie wycięte umożliwiając włamywaczowi otwarcie górnego i dolnego zamka.

- Co ty, do diabła, robisz, Frank! - zawołał z wściekłością sir Humphrey. - Czy w tym domu nigdy już nie będzie spokojnej nocy?

Amberley wyszedł do hallu.

- Zejdź tutaj, wuju - powiedział spokojnie.

- Nie mam najmniejszego zamiaru! Co za zabawy sobie urządzasz?

- Miałeś gościa - rzucił krótko Amberley. Stał w progu salonu i zaczął się przyglądać panującemu tam chaosowi.

Sir Humphrey stanął obok niego.

- To nie ty? Czy chcesz powiedzieć... Wielkie nieba! Okrzyk spowodował widok, jaki przedstawił się jego oczom.

Widok ów dla kogoś tak pedantycznego musiał być wstrząsający. Najwyraźniej ktoś czegoś szukał w szaleńczym pośpiechu. Pokój przewrócony był do góry nogami: poduszki, książki, papiery porozrzucane były po całej podłodze, pomieszane jak groch z kapustą. Szuflady biurka lady Matthews były otwarte, ich zawartość wyrzucona. Do śmieci w kaflowym kominku dorzucono skorupy wielkiego wazonu; najwyraźniej intruz rozbił go niechcący i to właśnie spowodowało ten huk, który postawił cały dom na nogi.

Okno jako następne przyciągnęło osłupiały wzrok sir Humphreya.

- Wielkie nieba! - powtórzył słabym głosem i spojrzął na Amberleya szeroko otwartymi oczami.

- Lepiej się rozejrzyjmy - zaproponował Amberley i ruszył do biblioteki.

Bałagan w bibliotece był jeszcze większy, natomiast stan gabinetu sir Humphreya wyrwał z ust jego właściciela cichy jęk. Biurko zostało splądrowane i wszystkie papiery wyrzucone na podłogę.



- Wielkie nieba! - powtórzy! sir Humphrey po raz trzeci. - To włamanie!  
Siostrzeniec spojrział na niego wzrokiem, w którym nie było zbyt wiele szacunku.  
- Jakim cudem udało się wujowi tak szybko na to wpaść?  
- spytał. - Witaj, cioteczko. Przyszłaś popatrzeć na szczątki?  
W progu stała lady Matthews z lokówkami we włosach i twarzą posmarowaną kremem; rozglądała się z zainteresowaniem. Nie była w ogóle wstrząśnięta.  
- Boże mój, ależ to emocjonujące! Taki bałagan! Biedny Jenkins! Dlaczego akurat gabinet?  
- Umiesz trafić w samo sedno, cioteczko, choć nikt by cię o to nieposądzał- pokiwał głową Amberley. - Czemu masz na twarzy to białe?  
- To krem, mój drogi. W moim wieku niezbędny. Czy wyglądam okropnie?  
- Upiornie - zapewnił ją Amberley. Sir Humphrey podrygiwał niecierpliwie.  
- Boże, Frank, co twarz Marion ma z tym wszystkim wspólnego? Spójrz na moje biurko! Spójrz na moje papiery!  
- Lepiej poszukaj sreber, mój drogi- powiedziała jego żona.  
- A może Jenkins zabrał je na górę? Może leży zamordowany? Niech ktoś pójdzie sprawdzić.  
Jednakże Jenkins nie został zamordowany. Pojawił się właśnie w ubraniu narzuconym w pośpiechu na piżamę. Sir Humphrey powitał go z ulgą: i nie doznał rozczarowania. Uczucia Jenkinsa nie różniły się od jego własnych, więc obaj lamentowali dopóki nie wmieszał się Amberley.  
- Sprawdź cenne rzeczy, Jenkins - poprosił.  
Jenkins wyszedł natychmiast. Sir Humphrey zabrał żonę, żeby pokazać jej zniszczone drzwi w salonie, a Amberley został pośrodku bałaganu w gabinecie i pograżył się w zadumie.  
Wkrótce dołączyła do niego Felicity. Była w świetnym nastroju, choć nieco oburzona, że nikt nie raczył jej obudzić.

Amberley wykazał niewinne zainteresowanie metodami stosowanymi zazwyczaj przez pokojówkę, kiedy budziła ją co rano.

Jenkins powrócił z wiadomością, że o ile zdołał się zorientować bez przeliczenia sreber - nic nie zginęło. Jadalnia pozostała nietknięta, a gregoriańskie solniczki spoczywały spokojnie w kredensie.

Amberley udał się na poszukiwanie wuja. Znalazł go w salonie, gdzie wciąż jeszcze pieklił się z powodu zniszczonych drzwi. Lady Matthews przytakiwała mu dla świętego spokoju.

- Wuj, chciałbym, żebyś sprawdził czy nic nie brakuje w gabinecie - rzekł Amberley.

- Jak mam to stwierdzić, do diabła?—powiedział gniewnie sir Humphrey. -

Uporządkowanie papierów zajmie mi kilka godzin! Słowo daję, czasami wydaje mi się, że w tej Anglii prawo już w ogóle nie istnieje!

- Czy trzymasz w biurku coś cennego? - przerwał Amberley.

- Nie, To niejaki pocieszenie, że wysiłek tego cholernego złodzieja okazał się kompletnie bezowocny!

- Nie miałeś tam żadnych pieniędzy? Na pewno?

- Pewnie, że na pewno! Czy sądzisz, że trzymałbym pieniądze byle gdzie?

- A ty, ciociu?

- Nie, mój drogi. Tylko rachunki i tak dalej. Głupi ten złodziej. Jak myślisz, czego on szukał?

- Nic nie myślę. W tej chwili nic jeszcze nie wiem. Rozejrzył się po pokoju uważnie.

- Salon, gabinet, biblioteka - zamyślił się. - Dziwne. Wygląda na to, że masz, wuju, coś na czym komuś bardzo zależy. Jakiś dokument?

- Oczywiście, że mam! Wszystkie ważne dokumenty są złożone w banku. Zresztą one są ważne tylko dla mnie, nikt inny nie miałby z nich żadnego pożytku.

- Po co było wyrzucać książki na podłogę? - odezwała się lady Matthews. - Wydaje mi się to takie bezsensowne.

Amberley spojrział na nią szybko.

- Książki! Dobry Boże!

- No, do roboty, Frank! - pisnęła Felicity. - To mi się podoba!

Amberley nie zwrócił na nią uwagi.

- Wuju, gdzie jest ta książka, którą pożyczyłeś od Fountina?

- W sypialni. Wziąłem ją ze sobą do łóżka. Co ma...

- Idź po nią, Jenkins, dobrze? - zwrócił się Amberley do lokaja. - To „Osobliwości literatury”.

Lady Matthews usiadła.

- Ależ to zachwycająco tajemnicze! - powiedziała. - Po co ci ta książka?

- Mam wrażenie, że chodziło tu o tę książkę - odparł Amberley. - W każdym razie taką mam nadzieję.

Wrócił Jenkins z książką i podał ją Amberleyowi. Amberley przerzucił kartki, potrząsnął nią, zajrzał w jej grzbiet i starannie obmacał oprawę.

- Bardzo emocjonujące! - mruknęła lady Matthews. Amberley wyglądał na zbitego z tropu.

- Zdaje się, że się pomyliłem. A jednak... chyba się jednak nie mylę - zerknął w zamyśleniu na wuja. - Tak się zastanawiam.

- Nad czym się zastanawiasz? - spytał sir Humphrey. - Nie bądź taki tajemniczy, błagam!

- Czy ktoś wchodził dziś w nocy do sypialni wuja.

Sir Humphrey, jak wielu innych, błędnie wierzył, że ma lekki sen, toteż oburzył się święcie. Gotów był przysiąc, że nikt nie mógłby wejść do jego pokoju, żeby go nie obudzić.

- Kochany Franku - wtrąciła lady Matthews - to wszystko szalenie intrygujące, ale nie denerwuj wuja.

- Wybacz, ciociu. To wszystko jest bardzo rozczarowujące. Wracam do łóżka.

Sir Humphrey spytał gniewnie, co powstrzyma teraz włamywacza przed wejściem przez uszkodzone drzwi. Amberley okazał zupełny brak zainteresowania. Wyszedł zabierając ze sobą książkę.

Anthony Corkran już miał odebrać telefon, który od dłuższej chwili dzwonił przeraźliwie we wnęce w hallu, lecz ubiegł go uprzejmy Baker.

Kamerdyner ze swoją zwykłą unizonością przeprosił za spóźnienie i zdjął słuchawkę z widełek. Powiedział „Halo!”, a Corkran mógł przysiąc, że odpowiedział kobiecy głos. Kamerdyner spojrział na niego z ukosa i powiedział z wyszukaną starannością: „Nie wiem czy będzie mógł teraz podejść, panienko.” Głos w słuchawce przemówił ponownie. Baker wysłuchał i spytał - „A jak pani godność?”

Najwyraźniej nie chciała podać nazwiska. Corkran zobaczył, że służący robi dość dziwną minę, więc się zainteresował. Baker starannie odłożył na bok słuchawkę i poszedł w stronę kuchni. Zainteresowanie Corkrana wzrosło, toteż przystanął w drzwiach biblioteki, żeby zobaczyć po kogo poszedł Baker. Nie był bardzo zaskoczony, kiedy kilka chwil później w hallu pojawił się Collins i skierował się ku wnęce z telefonem. Corkran wycofał się do biblioteki i zamknął drzwi.

Collins podniósł słuchawkę.

- O co chodzi? Tu Collins.

- Chyba pan wie, kim jestem? - powiedział kobiecy głos. Lokaj rzucił szybkie spojrzenie przez ramię.

- Nie ma sensu dzwonić do mnie tutaj - powiedział natarczywym tonem. - To niebezpieczne. Już mówiłem.

- Więc chyba lepiej będzie, jak się spotkamy - powiedział głos chłodno. - Mogę narobić kłopotów.

Collins wyduł wargi w ponurym uśmiechu.

- Nic pani przez to nie osiągnie.

- Nie odstraszy mnie pan odmawiając spotkania. Albo dojdziemy do porozumienia, albo wszystko zepsuję. Mówię serio Jestem w stanie to zrobić. Jak mówią, lepsze pół bochenka chleba niż ani okruszyny. A ja właśnie mam pół bochenka. No więc" Palce Collinsa zacisnęły się na słuchawce, jakby to było czyjeś gardło.

- Zgoda. Ale proszę tu więcej nie dzwonić. Spotkam się z panią. Nie wiem, kiedy będę mógł wyjść. Dam znać.

- Dzięki, może mi pan powiedzieć teraz.

- Mówię pani, że nie mogę wyjść tak sobie w każdej chwili Powinna pani o tym wiedzieć. Spotkamy się, jak będę miał wolny wieczór. Tylko musi pani być sama.

- Spotka się pan ze mną dzisiaj - rzekła stanowczo kobieta

- Sam, oczywiście.

- To niebezpieczne. Nie mogę wyjść na tak długo.

- Nie szkodzi, mogę ją przyjąć do pana -zgodziła się usłużnie

- Jak będzie pan mądry, to zdoła się pan wymknąć na pół godziny.

Lokaj znów obejrzał się nerwowo.

- Dobrze. Ale pod warunkiem, że więcej tu pani nie zadzwoni.

- Jak będzie pan rozsądny, nie będzie potrzeby, żebym dzwoniła - obiecała. - Gdzie się spotkamy?

Pomyślał przez chwilę.

- To ryzykowne, ale czy zna pani ten pawilon w lesie?

- Nie, niestety.

- Nie dochodząc do stróżówki jest brama, która prowadzi do gajówki. Pawilon jest nad jeziorem, zaraz za tą bramą. Trudno nie trafić. Będę tam o szóstej.

Odwiesił słuchawkę nie czekając na odpowiedź i wyszedł z wnęki.

Z biblioteki wyszedł Fountain i bez odwracania się zamknął za sobą drzwi. Minę miał bardzo groźną i patrzył na lokaja podejrzliwie.

- Kto do ciebie dzwonił? - spytał rozkazującym tonem. - Pan Corkran właśnie mnie pytał czy wiem o tym, że moja służba używa telefonu do załatwiania prywatnych spraw. Kto to był?

Collins stał bez ruchu ze spuszczonym wzrokiem; usta wykrzywiały mu jakiś nieprzyjemny grymas. Nie odpowiadał.

- Jakaś kobieta, co? - Fountain podszedł krok bliżej. - Mam rację?

Oczy Collinsa uniosły się na ułamek sekundy.

- Tak jaśnie panie - odrzekł unizonym tonem. Chrząknął.

- To tylko pewna młoda dama, z którą się spotykam, jaśnie panie. Wyjaśniłem jej, że nie może tu więcej dzwonić.

- Spotykasz się z kobietą? To coś nowego. Słuchaj, Collins! Godzę się na wiele, ale są pewne rzeczy, których nie zniosę. Rozumiesz?

Lokaj skłonił się.

- Doskonale, jaśnie panie. To się już nie powtórzy.

- Lepiej, żeby się nie powtórzyło - rzekł Fountain groźnie.

- Zdaje się, że najwyższa pora, żeby się ciebie pozbyć. Biorąc pod uwagę wszystkie za i przeciw.

Przez cienkie wargi Collinsa przemknął cień uśmiechu, lecz nie odezwał się. W tej chwili z biblioteki wyszedł Corkran i Fountain odwrócił się. Lokaj oddalił się bezszelestnie.

- Miałeś rację, chłopie - rzekł Fountain. - Dzwonił do swojej dziewczuchy. Co za cholerny tupet! Dzięki, że mi powiedziałeś.

Siedem mil od Norton Manor panna Shirley Brown wyszła z budki telefonicznej w hotelu „Pod Głową Dzika” z triumfującym błyskiem w oku. Na korytarzu spotkała portiera, który poinformował ją, że na dole czeka na nią pewien dżentelmen o nazwisku Amberley. Dziewczyna przybrała obojętną minę i kazała poinformować pana Amberleya, że wyszła; tytułem usprawiedliwienia dodała, że musi zabrać psa na spacer i nie ma teraz czasu. Odczekała dziesięć minut, a potem zeszła z Billem na dół. Amberleya już nie było, nie zostawił też żadnej wiadomości. Z westchnieniem ulgi, choć nie bez pewnej dozy rozczarowania, Shirley wyszła z hotelu i udała się w stronę Ivy Cottage, gdzie rzeczy Marka czekały na spakowanie.

O piątej po południu zamknęła Billa w sypialni i wyszła ubrana w długi, tweedowy płaszcz i filcowy kapelusz wciągnięty głęboko na czoło. Udała się prosto na Rynek, gdzie rozpoczynały trasę autobusy obsługujące okoliczne wioski. Wsiadła do autobusu numer 9, na którym widniała tabliczka LOWBOROUGH. Po kilku minutach przyszedł kierowca, który pełnił także funkcję konduktora i uruchomił silnik.

Shirley, która wybrała miejsce za kierowcą, nachyliła się ku niemu i poprosiła, by ją wysadził przy drodze prowadzącej do Norton.

Od rana było pochmurnie. Autobus nie ujechał daleko, kiedy zaczął siąpić deszcz podobny do szkockiej mgły. Ściemniało się szybko i krajobraz po obu stronach drogi wyglądał szaro i smętnie. Shirley wzdrygnęła się na widok płaskich, mokrych pól. Jakiś wewnętrzny impuls nakazał jej rozejrzeć się po współpasażerach.

Pomyślała, że nerwy zaczynają ją zawodzić - a była to dolegliwość, którą pogardzała - od hotelu bowiem nie opuszczało jej dziwne uczucie, że ktoś ją śledzi. Współpasażerowie wyglądali zwyczajnie. Dwaj farmerzy dyskutowali o pogodzie z silnym akcentem hrabstwa Sussex; rumiany mężczyzna, który mógł być gajowym i który zajmował dwa siedzenia zatopiony był w lekturze gazety „Nasze psy”; kilka kobiet wracało z cotygodniowych zakupów w mieście. Po drodze autobus zatrzymywał się kilka razy, żeby zabrać nowych pasażerów czy wysadzić tych, którzy wracali z miasta. Za plecami Shirley jakaś Irlandka ze szczegółami opowiadała naiwnej i bardzo zaciekawionej znajomej o operacji wyrostka, jaką przeżyła jakaś nieznana osoba.

W pierwszej większej wsi większość osób opuściła autobus a kierowca poszedł doręczyć jakąś paczkę do gospody. Shirley została sama z rumianym mężczyzną. Nadal męczyło ją niepokojące uczucie, że jest śledzona, spojrzała więc ukradkiem na mężczyznę. Zaabsorbowany gazetą nie zwracał na nią uwagi. Miał za wioską wysiadł przy Zakładzie Hodowli Psów Myśliwskich. Shirley usadowiła się wygodniej i w myślach sama siebie wyśmiała za nieuzasadnione obawy.

Autobus zatrzymał się jeszcze kilka razy, żeby zabrać nowych pasażerów i raz, żeby kierowca mógł doręczyć kolejną przesyłkę. Shirley, nie przyzwyczajona do powolności wiejskich autobusów, zaczynała się niecierpliwić i co chwilę spoglądała na zegarek. Tymczasem ściemniło się prawie zupełnie i kierowca włączył światła. Na oknach połyskiwały krople deszczu; do autobusu wdarł się nieprzyjemny chłód. Kierowca zjechał na pobocze i zahamował.

- To tutaj. Dżdżysty wieczór. Shirley wyjęła portmonetkę.

- Wstrętny - przytaknęła. - O której jest następny autobus od miasta?

- Będę wracał za godzinę - odparł kierowca dając do zrozumienia, że na tej trasie kursuje tylko jeden autobus. - Chce pani powrotny bilet? To wyniesie szylinga.

- Nie, mogę na niego nie zdążyć - odrzekła Shirley.

- Wobec tego sześć pensów proszę.

Wręczyła mu pieniądze. Kierowca pochylił się i pociągnął dźwignię otwierającą drzwi. Shirley wysiadła. Przez chwilę stała na drodze odprowadzając wzrokiem autobus dopóki nie zniknął za zakrętem.

Miała przy sobie tatarkę, ale wciąż jeszcze nie było na tyle ciemno, by nie widziała dokąd ma iść. Stała na skrzyżowaniu. Drogowskaz wskazywał drogę do Norton. Postawiła kołnierz, żeby deszcz nie ściekał jej na szyję i szybkim krokiem ruszyła w kierunku wskazanym przez drogowca.

Droga niezaprzeczalnie należała do gorszej kategorii, lecz była w niezłym stanie. Wiła się pomiędzy bujnie rozrośniętymi żywopłotami, mijając sporadycznie jakiś wiejski dom czy zagrodę. Wyprzedziło ją dwóch czy trzech rowerzystów i jeden samochód, ale droga wydawała się mało uczęszczana. Raz ujrzała przed sobą pieszego i szybko go dogoniła. Pieszy pozdrowił ją z życzliwością charakterystyczną dla wieśniaków. Odwzajemniła pozdrowienie i przyspieszyła kroku.

W odległości mili od głównej drogi, w płytkiej dolince migotała grupka świateł wskazujących na obecność tam wioski.



Poza tym niewiele było śladów zamieszkania. W zapadającym zmierzchu wydawało się, że aż po horyzont szarzejący w oddali rozciągają się tylko mroczne, posepne, puste pola. Około pół mili za wioską monotony krajobraz urozmaiciły drzewa, które rosły coraz gęściej. Czuć było zapach sosen, a w nikłym świetle widać było srebrzystoszarą korę brzoź. Ze zmoczonych deszczem liści spadały na szosę duże krople. Nic żywego się nie poruszało. Może jest za mokro - pomyślała Shirley - żeby króliki, które zazwyczaj

o tej porze przemykały przez drogę, ośmieliły się opuścić swoje nory.

Nie była w stanie zorientować się jaką odległość przebyła; przypuszczała, że pewnie przeszła już ze dwie mile, więc zaczęła rozglądać się za bramą. Na poły ze złością na siebie samą, na poły z szyderczym rozbawieniem, obarczała zmierzch i pogodę winą za swoje zdenerwowanie. Deszcz siąpił nieustannie, nigdzie nie widać było żywej duszy. Jednak kilka razy przyłapała się na tym, że wytężała słuch na dźwięk - sama nie wiedziała czego. Może kroków; może szumu opon na mokrej szosie. Raz zdawało się jej, że słyszy silnik jakiegoś pojazdu, ale żaden samochód jej nie minął. Doszła więc do wniosku, że albo się przesłyszała, albo gdzieś niedaleko przebiega jakaś inna droga.

Nagle przed sobą ujrzała odbłask bieli. Podeszła bliżej. Okazało się, że to brama prowadząca w las po prawej stronie. Brama była na wpół otwarta, a za nią biegł porośnięty trawą konny trakt. Zawahała się i na popękanych słupach bramy zaczęła szukać tabliczki z nazwą posiadłości.

Zreflektowała się z wymuszonym uśmiechem: przeniosła na wieś umysł mieszczucha z przedmieść. Oczywiście, że nie ma żadnej tabliczki z nazwą. Ludzie na wsi zawsze wiedzą kto gdzie mieszka, na bramach nie ma nazw posiadłości. Tym niemniej, jest to trochę kłopotliwe dla obcych.

Przeszła kilka jardów zdezorientowana, potem ruszyła szybciej. Po pięciu minutach marszu ujrzała dużą, żelazną bramę

i światła stróżówki. To pewnie już brama Notron Manor.

Zawróciła w stronę pierwszej bramy. Las był ciemny i wyglądał tajemniczo. W gęstym podszyciu rosły krzaki jagód i wysokie, dochodzące do trzech stóp paprocie, które zaczynały już brązowieć na jesień. Grunt pod stopami był śliski od wilgoci, w koleinach alejki zabrały się błotniste kałuże.

Shirley szła ostrożnie wyglądając w ciemności domku. Niedaleko od bramy alejka rozwidlała się; na końcu krótszego odgałęzienia dziewczyna dostrzegła światło, skrzyła więc w przeciwną stronę, w lewo.

Znów poczuła zapach sosen i po kilku krokach znalazła się na twardym gruncie. Ziemia pod stopami stawała się bardziej piaszczysta, a dywan z sosnowych igieł zagłuszał kroki. Opadłe z drzew szyszki leżały rozsiane po całej alejce, gęste podszycie skończyło się. Równe rzędy wysmukłych, błyszczących od wilgoci pni drzew ginęły w mroku i spowijającej las mgły.

Panowała niesamowita, upiorna wręcz cisza. Deszcz, który padał bezdźwięcznie i szybko, jak koc tłumiał zwykle odgłosy lasu. Shirley zacisnęła zęby i w kieszeni płaszczka wymacała ręką dodając otuchy kolbę rewolweru.

Alejka skrzyła i natychmiast w oddali pojawiły się światła. Na końcu alei, którą wycięto w lesie od południowej strony Norton Manor znajdowało się sztuczne jezioro. W oddali migotały światełka; widać było kontury Norton Manor na tle nieba, a także rozległy trawnik dochodzący do skraju lasu.

Po przeciwnej od Norton Manor stronie jeziora, tworząc część widoku z południowych okien, stał biały pawilon zbudowany w stylu klasycznym, który to styl cieszył się taką popularnością w osiemnastym wieku. Z ciemnymi, pustymi oknami w ciemnościach wyglądał jak duch.

Shirley poczuła w gardle łomotanie pulsu. Pawilon wyglądał posepnie i złowieszczo. Miała wrażenie, że ukryty między drzewami czyha na nią jak na zdobycz. W pierwszym odruchu miała ochotę od niego uciec. Przez dłuższą chwilę stała w cieniu drzew i wpatrywała się w cichy budynek z mdlącym przeczuciem, że wydarzy się coś złego.

Stała tak cicho, że bicie serca zdawało się rozlegać głuchym echem. Gdzieś nieopodal charakterystyczny krzyk bażanta rozdarł martwą ciszę, rozległo się furkotanie skrzydeł. Podskoczyła-ze strachu i zaczęła nasłuchiwać. Jednak żaden inny dźwięk nie nastąpił po nagłym zrywie przestraszonego ptaka. Tłumaczyła sobie, że to skradający się lis spłoszył bażanta, lecz tak zupełnie nie była o tym do końca przekonana.

Wyciągnęła z kieszeni rewolwer i odwiodła kurek; szcęk zamka zabrzmiał uspokajająco. Pchnęła kciukiem bezpiecznik i ostrożnie ruszyła w stronę pawilonu. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Klamka zaskrzypiała, gdy ją nacisnęła. Stała plecami do ściany i pchnęła drzwi. Najłżejszy szmer nie zdradził obecności żadnej żywej istoty, więc po chwili wyciągnęła i zapaliła latarkę.

W pawilonie nikogo nie było. Zniesiono tam jakieś meble ogrodowe - wiklinowe krzesła, stół, a także kilka kolorowych kapoków. Shirley dokładnie oświetliła latarką wszystkie kąty. Weszła do środka, zamknęła za sobą drzwi i zmusiła się, żeby usiąść na krześle i zgasić latarkę.

Po jakimś czasie jej oczy przyzwyczyły się do mroku; była w stanie rozróżnić niewyraźne kształty znajdujących się tu przedmiotów. Ten sam instynkt, który przedtem ostrzegał ją przed zbliżeniem się do pawilonu, teraz nakazał jej przysunąć krzesło do ściany. Szare kwadraty okien wydawały się otaczać ją ze wszystkich stron. Musiała mieć pewność, że bez pomocy lampy nikt nie będzie mógł jej dostrzec z zewnątrz.

Tykanie zegarka przypomniało jej, żeby sprawdzić, która jest godzina. Odsunęła brzeg rękawiczki: fosforyzujące wskazówki pokazywały dwadzieścia po szóstej. Collins się spóźnił. Lęk, że mógł ją zwieść na chwilę stłumił rosnące przeczucie zagrożenia. Zacisnęła usta i zaczęła nasłuchiwać odgłosu kroków.

Nie usłyszała nic, nawet trzasku suchej gałązki, toteż na skrzypnięcie klamki serce podskoczyło jej do gardła. Wstała i opuściła bezpiecznik rewolweru.

W progu stanął jakiś mężczyzna. Nie była w stanie dostrzec jego twarzy. Czekwała wstrzymując oddech.

- Czy to pani? - padły słowa tak ciche, że ledwo je dosłyszała. Głos należał do lokaja.

- Tak. Spóźnił się pan bardzo - odparła i zapaliła latarkę. Skoczył ku niej.

- Proszę to zgasić! Żadnego światła! - zawołał szeptem. Usłyszała.

- Niech pan uważa - powiedziała z takim chłodem, na jaki mogła się zdobyć. - Mogę strzelić, jeśli skoczy pan tak jeszcze raz. Co się stało?

Przez moment, gdy latarka była zapalona, zdołała dostrzec nienaturalną błądź jego twarzy i błyszczący na czole pot. Był zdyszany i zdawał się czegoś nasłuchiwać.

Podszedł do dziewczyny i złapał ją za rękę.

- Na litość boską, niech pani stąd idzie! - wyszeptał. - Nie powinienem był się zgodzić na spotkanie tutaj. Ostrzegalem, że to niebezpieczne. Ktoś mnie śledził.

Proszę iść, szybko!

Odruchowo ściszyła głos i starała się opanować jego drżenie.

- Chce się pan mnie pozbyć. Nie dam się nabrać. Jesteśmy tu po to, żeby ubić interes.

- Wie pani, co spotkało pani brata - syknął. - Chce pani pójść w jego ślady? Przecież mówię, że ktoś mnie obserwuje. Proszę się stąd wynosić, i to zaraz!

Pchnął ją ku drzwiom. Uświadomiła sobie, że jego zdenerwowanie nie jest udawane, więc bez oporu pozwoliła się wciągnąć w bezpieczny cień drzew.

Mężczyzna zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Shirley nic nie dosłyszała, ale on wciągnął ją w jeszcze głębszy cień.

Puścił ją.

- Muszę wracać. Przysięgam, że nie chcę pani oszukać. Spotkam się z panią, ale nie tu. Robi się tu dla mnie za gorąco. Nie powinna była pani do mnie dzwonić. -

Przerwał i znów nasłuchiwał przez chwilę. - On mnie ściga - szepnął. - Muszę iść.

Na litość boską, niech pani wraca do Londynu! Grozi pani większe

niebezpieczeństwo, niż się pani zdaje. Spotkamy się, daję na to moje słowo!

- Radzę dotrzymać słowa - powiedziała. - Wie pan przecież, co posiadam.

- Pół bochenka - zachichotał bezgłośnie. - To za mało.

- Wystarczy, żeby wpędzić pana w kłopoty - stwierdziła oschle.

- Proszę bardzo. Tylko wtedy nigdy pani nie dostanie drugiej połowy - powiedział z groźbą w głosie. - To było szaleństwo tu przychodzić. Jest pani w niebezpieczeństwie. Nie mogę cały czas czuwać. Ani przez chwilę nie jest pani bezpieczna.

- Zostanę w Upper Nettlefold tak długo, aż zdobędę to, po co przyjechałam - powiedziała stanowczo.

Chwyił ją za rękę ostrzegawczym gestem.

- Słuchaj! - szepnął dotykając niemal wargami jej ucha. Napięte do ostatnich granic nerwy nie wytrzymały i nagle

wydało się jej, że cały las ożył. Zaszleściły opadłe liście - może poruszył się w nich królik, trzasnęła gałązka, cień drzewa jakby się poruszył.

Lęk mężczyzny udzielił się Shirley. Doznała uczucia, że obserwują ją z ukrycia czyjeś oczy i gwałtownie zapragnęła uciec z tego upiornego miejsca. Ręka jej zadrżała w jego uścisku. Puścił ją i pchnął lekko.

- Proszę iść! Nie mogą pani zobaczyć ze mną. Na litość boską proszę iść!

Odszedł cicho jak duch. Pełna nieznanym niebezpieczeństwom noc otoczyła Shirley ze wszystkich stron. Kolana pod nią drżały, nie była w stanie się poruszyć, jak gdyby jej paniczny strach siłą trzymał ją w miejscu. Po chwili jednak otrząsnęła się z przerażenia i zdołała zrobić krok w stronę traktu. Zrobiło się tak ciemno, że nie mogła rozróżnić żadnych kształtów, ale nie odważyła się zapalić latarki. Zaczęła szybko oddalać się od pawilonu tłumiąc w sobie chęć ruszenia biegiem.

Nie odeszła daleko. Na lewo od traktu nagle pojawił się krążek światła tajemniczo tańczący po ziemi. Ktoś jeszcze był w tym lesie i czegoś szukał.

Pędząc na oślep skręciła w las pod osłonę drzew. Potknęła się o wystający korzeń brzozy i upadła. Spojrzała za siebie - światelko zbliżało się w jej stronę. Podniosła się niezdarne; pomimo prerażenia uświadomiła sobie, że - na całe szczęście - rewolwer był zabezpieczony. Rzuciła się biegiem w stronę gęściejszej części lasu. Krzaki jeżyn uczepliły się jej płaszcz, smagały po nogach. Wyrwała się i dopadła krzaków jagód, które rosły pomiędzy wiotkimi pniami srebrzystych brzoź.

Przykucnęła śledząc wzrokiem poruszający się krążek światła.

Teraz słyszała już kroki, nieśpieszne kroki, które były coraz bliżej. Z tyłu rozległ się jakiś dźwięk, więc szybko spojrzała za siebie, ale nic nie dostrzegła.

Kroki minęły krzaki. Shirley była w stanie dostrzec ciemniejszy kształt sylwetki.

Była pewna, że to mężczyzna. Mężczyzna zatrzymał się i odgadła, że nasłuchuje.

Latarka zaczęła zataczać krąg. Shirley zastanawiała się jak gęste są te krzaki, czy są dość gęste, żeby ją ukryć.

Mężczyzna poruszył się. Zaczął się zbliżać najwyraźniej z zamiarem zajrzenia za krzaki jagód. Dziewczyna wymacała kciukiem bezpiecznik i czekała bez ruchu.

I wtedy złowróbną ciszę przerwał dźwięk zupełnie absurdalny w tym momencie: ktoś nieopodal gwizdał „Nad pięknym, modrym Dunajem”.

Światelko zniknęła; do uszu Shirley dotarł szelest ciała ocierającego się o liście wysokich paproci, a potem znów zaległa absolutna cisza. Gwizdanie umilkło, cień zniknął.

Minęły długie minuty zanim odważyła się poruszyć. Zaczęła przekradać się w kierunku - jak się jej zdawało traktu; co kilka kroków przystawała nasłuchując.

Światelka nie było widać, zniknęło na dobre spłoszone dźwiękiem walca, którego ktoś gwizdał w oddali.

Przedzierała się przez gąszcz podsycia nie ośmielając się zapalić latarki.

Żadne światełko nie zdradzało, żeby ktoś nadal za nią szedł. Kilka razy zdawało się jej, że gdzieś niedaleko słyszy zdyszany oddech, raz złowieszczo trzasnęła gałązka, ale gdy obejrzała się za siebie, nie widziała i nie słyszała niczego.

Ruszyła znów i znów usłyszała ciężki oddech, teraz już bliżej.

Pomknęła przed siebie i wypadła na trakt. Za przewodnika miała teraz trawę pod nogami i niewyraźne kontury drzew po obu stronach traktu, rzuciła się więc biegiem.

Prosto w twarz błysnęło jej światło. Mimo woli wyrwał się jej okrzyk, który zresztą zaraz stłumiła. Zatrzymała się i uniosła rewolwer.

- Dokąd to, panno Brown? - odezwał się chłodny, kpiący głos.

Ręka z rewolwerem opadła. Shirley głęboko wciągnęła powietrze.

- To pan! - powiedziała bez tchu. Odczuła taką ulgę, że aż zakręciło się jej w głowie.

- To... tylko... pan!

- Zabrzmiało to niezbyt pochlebnie - zauważył Amberley podchodząc do niej. -

Zdaje się, że pani się spieszy.

Chwyciła go za rękaw; dotknięcie szorstkiego materiału podziałało na nią uspokajająco.

- Ktoś mnie goni - powiedziała. - Ktoś mnie goni. Wziął ją za rękę i nagle uświadomiła sobie, że już się nie boi.

Ścisnęła jego dłoń z wdzięcznością i podążyła wzrokiem za promieniem latarki, którym powiódł dookoła.

Wtem z jej ust wyrwał się okrzyk. Promień latarki padł na jakąś twarz, twarz, która w ostrym świetle latarki zajaśniała bledością - i natychmiast zniknęła za krzakami.

- Kto to jest! - spytała bez tchu. - Tam... nie widział pan? On nas obserwował. Och, chodźmy stąd!

- Ależ proszę bardzo - zgodził się Amberley. - Dzisiejsza noc nie jest najlepsza na spacer po lesie.

- Widział pan? - nie ustępowała. - Jakiś człowiek był za tym krzakiem. Kto to? Gonił mnie. Słyszałam go.

- Widziałem - odparł Amberley. - To nowy kamerdyner Fountaina.  
Instynktownie przysunęła się bliżej niego.  
- Nie wiedziałam. On mnie gonił. Ja... ja niezupełnie... Proszę, chodźmy stąd.  
Amberley włożył sobie jej rękę pod ramię i ruszył traktem w stronę bramy.  
- Jest pan pewien, że nie idzie za nami? - spytała i obejrzała się nerwowo przez ramię.  
- Nie, nie jestem pewien, ale nie zamierzam się tym przejmować - odrzekł Amberley. - Prawdopodobnie odprowadza nas do granic posiadłości. Wie pani, tak się składa, że to teren prywatny.  
- Chyba nie mówi pan tego poważnie - obruszyła się. - Nie gonił mnie przecież dlatego, że wkroczyłam na teren prywatny.  
- Nie? - zdziwił się Amberley. - No to może mi pani powie dlaczego?  
Nie odpowiedziała. Po chwili wyjęła rękę spod jego ramienia i spytała:  
- Co pan właściwie tu robi?  
- Dochodzi już pani do siebie, co? - zauważył Amberley. - Wiedziałem, że to zbyt piękne, by mogło długo trwać. To ja chciałbym wiedzieć, co pani tu robi.  
- Nie mogę powiedzieć - ucięła krótko.  
- Nie chce pani powiedzieć - poprawił.  
- Możliwe. Nie odpowiedział pan na moje pytanie.  
- Och, to żadna taj emnica - odparł wesoło. - Śledziłem panią. Stanęła jak wryta.  
- Pan? Pan mnie śledził? Ale jak? Skąd pan wiedział, dokąd idę?  
- Intuicja - uśmiechnął się. - Czyż nie jestem inteligentny?  
- Nie mógł pan wiedzieć dokąd idę. Gdzie pan był?  
- Pod hotelem. Pojechałem za panią samochodem. Miałem nawet zaproponować, że panią podwiozę, ale obawiałem się, że nie przyjmie pani propozycji.



- To zupełnie nie do zniesienia, żeby być tak szpiegowaną! - zawołała z oburzeniem.
- Przed chwilą wcale pani nie uważała, że to takie nie do zniesienia, prawda? - roześmiał się.

Nastąpiła cisza. Shirley ruszyła przed siebie z rękami w kieszeniach. Amberley szedł obok niej.

- Nie chciałam okazać się niewdzięczna - wykrztusiła burkliwie po chwili.
  - Sprawia pani wrażenie skarconej dziewczynki. W porządku, wybaczam.
- Z gardła wydarł się jej zduszony, nerwowy śmiech.
- No, naprawdę byłam zadowolona, że pan tu był - przyznała. - Ale mimo wszystko, to nie w porządku, że pan mnie śledził. To pan gwizdał?
  - To taki mój nawyk - odparł. Uniosła głowę usiłując dojrzeć jego twarz.
  - Narzeka pan, że zachowuję się tajemniczo, a czy pan jest ze mną szczery?
  - Absolutnie nie.
  - No więc...! - oburzyła się.
  - Nie można mieć czegoś za nic, dziewczyno - rzekł Amberley. - Kiedy zdecyduje się pani mi zaufać, będę taki szczery, jak pani zapragnie.
  - Ależ ufam panu - zapewniła. - Z początku nie ufałam, ale to minęło. Nie dlatego nie zwierzam się, że nie mam do pana zaufania. Po prostu boję się powiedzieć. Niech mi pan uwierzy, błagam!
  - To próbka pani zaufania, co? Nie mam o nim najlepszego zdania.
- Dziwnie zależało jej na tym, żeby się wytłumaczyć.
- Nie, to nie tak, jak pan myśli. Nie boję się, że pan... mnie zdradzi czy coś w tym rodzaju. Boję się powiedzieć komukolwiek, bo gdybym powiedziała... och, nie umiem tego wytłumaczyć!
  - Myli się pani, rozumiem doskonale. Boi się pani, że mógłbym wtrącić swoje trzy grosze i pokrzyżować pani plany. Mówiłem już, że nie mam najlepszego zdania o pani zaufaniu.

Dotarli do bramy i wyszli na drogę. Kawałek dalej jarzyły się czerwone światelka samochodu; ruszyli w tamtą stronę.

- Ile pan już wie? - spytała znienacka. Widziała, że się uśmiechnął.

- Coś za nic, panno Brown?

- Gdybym tylko wiedziała... żebym miała jakieś pojęcie... Nie wiem, co robić!

Dlaczego miałabym panu zaufać?

- Przez kobiecy instynkt.

- Gdyby tylko pan mi powiedział...

- Nic pani nie powiem. To pani mi wszystko opowie. Czy już raz tego nie mówiłem?

- Jest pan zupełnie niemożliwy - powiedziała ze złością i wsiadła do samochodu.

Następnego dnia Amberley zjadł śniadanie bardzo wcześnie. Zdażył pojechać do Upper Nettlefold i wrócić zanim reszta rodziny wstała od stołu. Gdy wszedł do jadalni sir Humphrey pałał gniewem, a Felicity właśnie zamierzała wyjść.

Sir Humphrey wyrzekał głośno na opieszałość szklarzy, ale przerwał na widok siostrzeńca i kazał mu wysłuchać, jak zachował się ten Fountain. Felicity zrobiła minę do swojego kuzyna i wymknęła się z pokoju.

- Co się stało? - spytał Amberley.

Okazało się, że Fountain zrobił coś prostackiego, niegrzecznego i niewytłumaczalnego. O dziewiątej rano przysłał służącego z prośbą o zwrot książki. Czy Frank słyszał kiedyś coś równie oburzającego?

- Nigdy - odparł Amberley, na którym ta wiadomość wyraźnie nie zrobiła wielkiego wrażenia. - Którego służącego przysłał?

- Nie rozumiem, co to ma za znaczenie.

- Tym niemniej ma znaczenie - odparł Amberley i zadzwonił na służącego. Gdy zjawił się Jenkins zadał mu to samo pytanie i dowiedział się, że po książkę przyszedł lokaj Collins.

- Tak myślałem - stwierdził Amberley. - Zaczyna robić desperackie posunięcia.

Sir Humphrey energicznym ruchem poprawił okulary na nosie.

- Dlaczego tak myślałeś? Chcesz mi powiedzieć, że cała ta sprawa z książką ma jakiś związek z tym twoim... wściubianiem nosa w śledztwo?

- Ma nierozzerwalny związek. Nie domyślałeś się, wuju?
  - Psiakość, Frank, następnym razem, kiedy pojawisz się w moim domu...
  - Ależ to takie zajmujące - wtrąciła się lady Matthews odrywając się od korespondencji. - Czy zostaniemy zamordowani, Frank? Nigdy nie myślałam, że takie rzeczy zdarzają się naprawdę. Cały czas człowiek się czegoś uczy.
  - Mam nadzieję, że nie, cioteczko. Niewykluczone, że ja mogę zostać zamordowany. Nigdy nic nie wiadomo.
- Obrzuciła go bystrym spojrzeniem.
- Nie jesteś zadowolony, mój drogi?
  - Nie za bardzo - przyznał.
  - Gubienie rzeczy jest irytujące - powiedziała. - Kiedyś zgubiłam pierścionełk zaręczynowy. Znalazł się. Ale może lepiej nie mówić gdzie.
- Amberley wyjął z ust fajkę.
- Jesteś bardzo bystra, ciociu. Pójdę zagrać w golfa z Anthonym.
  - Wolę, żebyś nie wspominał Fountainowi o tym przykrym incydencie - rzekł sir Humphrey sztywno. - Ja osobiście zamierzam o tym zapomnieć.
  - Nie wspomnę - zapewnił Amberley. - Bardzo bym się zdziwił, gdyby w ogóle coś na ten temat wiedział.
- Po przybyciu do Norton Manor zastał Corkrana przy ćwiczeniu krótkich strzałów. Corkran powitał go z entuzjazmem. Okazało się, że właśnie z nim pragnął się zobaczyć. Oznajmił, że chyba właśnie Manor zirytował go na dobre. Joan miała rację: ten dom ma w sobie coś takiego, co sprawia, że wszyscy zachowują się dziwnie. Wymienił różnorakie dziwactwa, poczynając od humorów swego przyszłego szwagra, poprzez zamordowanie Dawsona, nocne eskapady Collinsa, i na niezwykłym zachowaniu Bakera kończąc. Chciał wiedzieć, co Amberley sądzi o kamerdynerze, który odkurza bibliotekę o dziesiątej wieczorem.
- Cholera, przecież kamerdynerzy nie zajmują się takimi rzeczami! Widziałeś kiedy, żeby jakiś kamerdyner wycierał kurze?

- Odkurzał bibliotekę? - powtórzył Amberley.

- Właśnie. Na kolacji byli ci ludzie z folwarku - ta baba z twarzą jak tył dorożki z małżonkiem - i potem graliśmy w brydża. Poszedłem po papierośnicę, którą zostawiłem w bibliotece i niech mnie szlag trafi, jeśli nie było tam tego Bakera zajętego odkurzaniem książek! Wyobraź to sobie! Powiedział, że nie mógł patrzeć, jak stoją takie zakurzone i pomyślał sobie, że Fountain nie pozwala ich dotknąć byle służącej. No i takie tam mydlenie oczu, że nie ma czasu, dogodnego momentu, żeby to zrobić za dnia. Okropnie mętne tłumaczenie. Co ty o tym sądzisz?

- Myślę, że chciałbym porozmawiać z panem Bakerem.

- Jak zaczekasz, to będziesz miał okazję. Poszedł przynieść więcej piłek golfowych - powiedział Corkran markotnie.

W tej samej chwili z domu wyszedł kamerdyner niosąc na srebrnej tacy trzy piłeczki.

- Wygląda, jakby brał udział w biegu z jajkiem na łyżce - powiedział Anthony. - Dureń!

Baker kroczył majestatycznie przez trawnik. Nie spojrzał na Amberleya, tylko podszedł do Corkrana.

- Pańskie piłki - rzucając krótkie słowo podziękowania, kamerdyner odwrócił się, żeby odejść, ale Amberley zatrzymał go.

- Chwileczkę.

Baker odwrócił się i stanął z pochyloną z szacunkiem głową.

- Może wiesz czy pan Fountain posyłał do Greythorne po książkę, którą pożyczył sir Humphreyowi?

Baker rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Po książkę, proszę pana? - starannie dobierał słowa. - Nie wiem tego na pewno, proszę pana. Wydaje mi się, że pan Fountain nie wydał takiego polecenia.

Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

Fajka Amberleya zgasła. Zapalił zapałkę, osłonił ją dłońmi i przyłożył ją do fajki patrząc jednocześnie Bakerowi prosto w oczy.

- To nieważne. Sir Humphrey i tak ją skończył - wyrzucił zapalną. - Interesują cię książki, Baker?

Kamerdyner zakasłał.

- Nie mam wiele czasu na czytanie, proszę pana.

- Jedynie na odkurzanie - rzekł Anthony.

- Właśnie, proszę pana - skłonił się kamerdyner. - Robię, co mogę z marnym rezultatem, obawiam się. Pan Fountain ma ogromną bibliotekę.

- I do tego cenną - wycedził Amberley. - Dla znawców.

- Chyba tak, proszę pana - Baker spojrzał mu prosto w oczy. - Obawiam się, że nie znam się na tym.

- Książka to książka, co?

- Tak, proszę pana. Jak pan mówi.

Anthony znieruchomiał z uniesionym do strzału kijem.

- No, a czym, do diabła, miałyby być? - zapytał zaskoczony. Kamerdyner pozwolił sobie na dyskretny uśmiech.

- Czy jeszcze coś, proszę pana?

- Na razie to wszystko - odrzekł Amberley i skierował swoją uwagę na entuzjastę golfa.

Anthony wyznał, że nic z tego wszystkiego nie zrozumiał. Wyrzucił Frankowi, że jest taki sam jak cała reszta - węszy dookoła i nic nie mówi..

- I co ty właściwie robisz? - powiedział na koniec. - Niech mnie szlag, jeśli wiem.

- Szukam zagubionej własności - odparł Amberley.

- Czyjej własności?

- Nie jestem pewien.

Anthony spojrzał na niego spod przymrużonych powiek.

- Słuchaj no, co to właściwie znaczy, do diabła?

- A właściwie jestem pewien, tylko nie mam dowodu - uzupełnił Amberley, co jeszcze bardziej zirytowało Corkrana. - Kłopotliwa sytuacja, no nie?

- Nie nadążam - Anthony potrząsnął głową. - Myślałem, że szukasz mordercy Dawsona, a ty tu mówisz...

- Nigdy mnie specjalnie nie interesowało zamordowanie Dawsona - przerwał Amberley.

Corkran wznosił oczy do nieba.

- Skończę w domu wariatów - oznajmił. -1 to już niedługo, czuję to.

Wbrew temu, co powiedział wujowi, Amberley nie zaproponował Corkranowi partii golfa. Z Norton Manor pojechał do Carchester, gdzie oczekiwał go komisarz okręgowy i inspektor Fraser.

Amberley był rozdrażniony i odpychający, pułkownik skonsternowany, a inspektor rozradowany. Inspektor prowadził śledztwo podążając jakimś własnym tropem i z zapałem rozprawiał o rezultatach, do jakich ów trop może go doprowadzić, dopóki nie uświadomił sobie, że Amberley go nie słucha.

Pułkownik Watson, bardziej spostrzegawczy od inspektora, uważnie przyglądał się Amberley owi.

- Trafił pan na coś? - zapytał w końcu.

- Tak mi się zdawało - odparł Amberley. -1 nadal tak myślę. Ale jedyny dowód w tej całej sprawie zaginał. Szczerze mówiąc obawiam się, że mógł trafić w nieodpowiednie ręce albo został zniszczony. Nie wiem, gdzie jest teraz. Dopóki się nie znajdzie, ani pan, ani ja nie możemy nic zrobić. Kiedy go zdobędę, dostanie pan całą sprawę jak na tacy.

- Bardzo to wydumane - uśmiechnął się z wyższością inspektor. - Przypuszczam, że ten dowód wyjaśni wszystko - śmierć Dawsona i całą resztę? Szkoda, że nie może nam pan nic teraz powiedzieć.

W oczach Amberleya błysnęła iskierka.

- Raz już wspomniałem, zdaje się, że śmierć Dawsona to zupełnie nieistotne ogniwo w całym łańcuchu zdarzeń. Ale skoro tak panu na tym zależy, to mogę powiedzieć, kto go zamordował.

Pułkownik aż podskoczył z wrażenia.

- Pan to wie?

- Wiem od balu w Norton Manor - powiedział spokojnie Amberley. - Collins go zamordował.

- Ale... ale... - zająknął się pułkownik.
  - Bardzo pięknie - powiedział inspektor wciąż z tym samym uśmiechem. - Taka drobnostka jak dobre alibi się nie liczy, jak mniemam?
  - Zawsze należy podchodzić do alibi z wielką rezerwą, inspektorze. Gdyby miał pan więcej doświadczenia w sprawach zbrodni, wiedziałby pan o tym.
- Twarz inspektora spurpurowiała.
- Może zechce nam pan przedstawić dowód, panie Amberley.
  - Nie mam dowodu. Jedna osoba mogłaby obalić to alibi, ale się nie odważy. Może pan spróbować go wsadzić, ale wyroku skazującego pan nie uzyska.
  - Szalenie ciekawe - powiedział inspektor z przekąsem.
  - I wielki z tego pożytek. Nie można przedstawić zarzutu morderstwa.
  - Wręcz przeciwnie - rzekł Amberley.
  - Rozumiem - powiedział inspektor. - Słyszałem pańską opinię na temat śmierci Browna. O to chce pan oskarżyć Collinsa, tak?
  - Collins był ostatnim człowiekiem, który by chciał śmierci Browna - rzekł Amberley biorąc do reki kapelusz. Odwrócił się do pułkownika. - A co do zaginionego dowodu, pułkowniku. Jeśli pan może, to proszę wysłać kogoś taktownego - nie Frasera
  - do siostry Dawsona. Istnieje prawdopodobieństwo, że Dawson miał to przy sobie w chwili śmierci. Trzeba dokładnie przejrzeć jego rzeczy. Chcę mieć wszystkie dokumenty i inne papiery, jakie do niego należały. Szansa jest niewielka, ale spróbować warto. Szczególnie, jeśli to będzie jakiś naddarty papier, pułkowniku. Proszę pamiętać.
- W drodze powrotnej do Greythorne Amberley zatrzymał się w Upper Nettlefold, żeby zamienić kilka słów z sierżantem Gubbinsem. Sierżant zajęty był jakimś wypadkiem drogowym, ale odszedł na chwilę, żeby porozmawiać z Amberleyem.
- Zrobił pan, jak prosiłem? - zapytał krótko bez zbędnych wstępów Amberley.



- Tak jest. Tucker. Drugi raz nie popełni tego samego błędu.
- Więc w porządku - rzekł Amberley i pożegnał się. Tego samego dnia o dziewiątej wieczorem do salonu w Greythorne przybiegła przerażona pokojówka.
- Och, proszę pana! Och, proszę pani! - zawołała histerycznie. - Włamywacz!
- Co? - warknął sir Humphrey wypuszczając z ręki gazetę.
- Tutaj?
- Och, tak proszę pana. Przynajmniej na to wygląda. To w sypialni pana Amberleya, proszę pana. Tak się przestraszyłam, że aż mi słabo.
- Amberley przyjrzał się jej z niezachwianym spokojem.
- Co się stało? - spytał.
- Relacja była nieco zawiła i ozdobiona mnóstwem nieistotnych szczegółów, ale, jej sens był następujący: o dziewiątej poszła na górę przygotować łóżka do spania i zobaczyła, że ktoś splądrował pokój pana Amberleya. Wszystkie szuflady zostały wyciągnięte, a ich zawartość wyrzucona na podłogę: włamano się do biurka stojącego pod oknem, a papiery rozrzucono; walizki pootwierano, a skórzana aktówka, w której przypuszczalnie trzymał osobiste dokumenty miała wyrwany zamek. Nawet łóżko było w nieładzie, a jeśli zaś idzie o ubrania w szafie, to czegoś podobnego w życiu nie widziała.
- Zrobiła pauzę dla zaczerpnięcia tchu. Sir Humphrey posłał siostrzeńcowi miazdzące spojrzenie i powiedział, że ma już dość.
- Lepiej tam posprzątaj, Molly - mruknęła lady Matthews.
- Frank, czy on coś znalazł?
- Amberley potrząsnął głową przecząco.
- Bardzo dobrze świadczy o jego inteligencji, że mnie podejrzewa, ale niezbyt dobrze świadczy to, że myślał, iż zostawię to beztrosko w sypialni. A więc uważa, że ja to mam. To nieco wyjaśnia.
- To świetnie, mój drogi! Cieszę się. A co właściwie wyjaśnia?
- To przynajmniej oznacza, że dowód nie wpadł w nieodpowiednie ręce - uśmiechnął się do niej Amberley.

- Znakomicie, mój drogi. Przestań się denerwować, Humphreyu. To nie ma nic wspólnego z nami.

Tego już było dla sir Humphreya za wiele. Jeśli dwa włamania do własnego domu nie mają z nim nic wspólnego, to chciałby wiedzieć co ma. I w jaki sposób złodziej dostał się do domu, że nikt nic nie słyszał? Naprawdę, za wiele już tego dobrego.

Lady Matthews rzuciła okiem w stronę oszklonych drzwi do ogrodu.

- Nie zamknięte. Kiedy siedzieliśmy przy kolacji. Nie sądzisz, Frank?

Frank skinął głową. Sir Humphrey podniósł gazetę i powiedział zgryźliwie, że najwyższy czas, aby Frank się ożenił z jakąś kobietą, która położyłaby kres jego nonsensownemu prowadzeniu się. Amberley spojrzał na niego dość ostro i oblał się lekkim rumieńcem.

Lady Matthews spokojnym głosem zmieniła temat.

Jednakże sir Humphreyowi nie dane było jeszcze zaznać spokoju. O trzeciej nad ranem obudził go dzwonek telefonu, który znajdował się w bibliotece, to znaczy w pokoju bezpośrednio pod jego sypialnią. Wstał klnąc pod nosem i wymaszerował na korytarz. Dokładnie w tej samej chwili otworzyły się drzwi sypialni jego siostrzeńca.

- Ponieważ nie ma wątpliwości, że to do ciebie - powiedział sir Humphrey straszonym głosem - tobie zostawiam odebranie tego telefonu.

Po tych słowach wrócił do pokoju i zamknął za sobą drzwi straszliwie cicho.

Amberley roześmiał się i zszedł na dół zawiązując po drodze pasek szlafroka.

Telefon był do niego. Dzwonił sierżant Gubbins z posterunku. Sprawy przybrały nowy obrót i uważał, że należy zaraz powiadomić o tym Amberleya. Niemniej jednak gdyby nie to, że takie było polecenie Amberleya, nigdy by się nie ośmielił budzić go o tej porze.

- Niechże pan mówi, co się stało! - warknął Amberley.

183

- Nic mogę się powstrzymać od uśmiechu, kiedy sobie przypomnę, jak pan mnie wtedy wyciągnął z łóżka - powiedział przepraszająco sierżant.

- Naprawdę? - burknął Amberley. - Więc co się stało?

- Albert Collins zwiął. Irytacja Amberleya zniknęła.

- Co?

- Przynajmniej wszystko na to wskazuje - dodał ostrożnie sierżant. - Pan Fountain właśnie dzwonił, a posterunkowy Walker połączył go zaraz ze mną.

- Fountain zadzwonił na policję o trzeciej nad ranem?

- Zgadza się. Niektórym się zdaje, że policja uwielbia, jak się do niej dzwoni o każdej porze. Spotkałem już takich, nazwisk nie będę wymieniał. Poznałem takich, co to wyciągają człowieka z łóżka i wloką gdzieś nie wiadomo po co, bo i tak nic się nie dzieje.

- Gdyby kiedyś przyszło mi do głowy kogoś zamordować, nazwisk nie będę wymieniał - powiedział Amberley przeciągając sylaby - zrobiłbym to bardzo czysto i schludnie, Gubbins. I nie zostawiłbym żadnych śladów.

W słuchawce rozległ się gruby, zduszony chichot.

- Wierzę panu. Byłby pan mistrzem zbrodni.

- Niech pan przestanie mi schlebiać. Proszę mówić o Collinsie.

- Powiedziałem już wszystko, co wiem. Pan Fountain mówił, że kiedy poszedł do sypialni, łóżko nie było przygotowane, a Collinsa ani śladu. Zadzwonił więc na niego, ale przyszedł kamerdyner i powiedział, że ostatni raz widział Collinsa przed kolacją. Nie był to jego wolny dzień, więc Fountain wysłał Bakera, żeby zajrzał do jego pokoju. Nie było go tam. Pan Fountain postanowił na niego poczekać, ale kiedy zbliżała się trzecia zadzwonił na posterunek, jak już mówiłem. Powiedział mi, że nie mógł przestać myśleć o tym, jak to wszyscy podejrzewaliśmy Collinsa o utopienie Marka Browna i dlatego postanowił zawiadomić nas od razu nie czekając do rana. To wszystko.

Amberley zmrużył oczy i utkwiał zamyślane spojrzenie w przeciwległej ścianie. Po chwili sierżant zapytał czy jest tam jeszcze.

- Jestem. Niech pan będzie cicho. Myślę.

- Nie ma co do tego wątpliwości - dostał pietra - ciągnął sierżant ignorując prośbę Amberleya.

Nastąpiła chwila milczenia, a potem Amberley ponownie skierował swoją uwagę na telefon.

- Możliwe, że ma pan rację, sierżancie. Zapytał pan czy zniknęły jakieś ubrania Collinsa?

- Zapytałem. Fountain powiedział, że chyba nie, ale nie mógł stwierdzić na pewno.

- Czy w garażu brakuje jakiegoś samochodu, albo roweru?

- Tak. Roweru. Fountain dowiedział się tego od kamerdynera.

- Rozumiem. Chyba będzie pan musiał zawiadomić Corches-ter. Niech im pan każe, w moim imieniu, sprawdzić czy Collins kupował bilet do Londynu lub gdzie indziej na jakiejś stacji w promieniu - powiedzmy - dziesięciu mil po dwudziestej trzydzięci wczoraj wieczorem. Jeśli tak, niech go wysłedzą. A tymczasem... Do czasu, gdy pan tu przyjedzie, będę gotowy.

- Do czasu, kiedy co? - spytał sierżant zdumiony.

- Kiedy pan tu przyjedzie - powtórzył Amberley złośliwie. - Na rowerze.

Natychmiast.

- Ja mam jechać do Greythorne o tej porze? - sierżantowi aż tchu zabrakło. - A po co miałbym to robić?

- Żeby wpaść po mnie. Przygotuję samochód.

- Tak, ale, panie Amberley, ja nie mam ochoty na nocne przejażdżki! - protestował sierżant. - O co chodzi?

- I co więcej - ciągnął Amberley - chcę, żeby pan wziął ze sobą paru ludzi.

- Ale po co? - nalegał sierżant.

- Po to, że istnieje możliwość, że Collins wcale nie zwiął. Spróbujemy go odszukać. Jedzie pan?

- Jadę - rzekł sierżant ponuro. - Jadę. Zupełnie nie rozumiem, gdzie ja miałem rozum, kiedy prosiłem, żeby pan się zajął tą sprawą.

- Pański rozum był zajęty myślą o awansie, sierżancie, i prawdopodobnie go pan dostanie - zachęcił go Amberley i rozłączył się.

Przez chwilę siedział zamyślony machinalnie sięgając po papierosa do kasetki, która stała na biurku. Zapalił papierosa i zaczął przechadzać się po pokoju rozważając nowo powstałą sytuację. Skończył papierosa, zgniótł niedopałek w popielniczce i poszedł na górę. Nie udał się od razu do swojego pokoju. Otworzył drzwi sypialni wuja i zapytał czy nie śpi.

Od strony łóżka dobiegł jakiś pomruk. Amberley zapalił światło.

- Przepraszam, wuju, ale ja wychodzę. Więc nie zwracaj uwagi na jakies przypadkowe hałasy.

Sir Humphrey uniósł się na łokciu.

- Boże, i co jeszcze? Dlaczego wychodzisz? Co się znów stało?

- Zniknął lokaj Fountaina. Policja uważa, że nawiał.

- No, to niech go sami szukają. To ich obowiązek, nie twój.

- Absolutna racja. Ale z drugiej strony istnieje możliwość, że nie uciekł. Idę to sprawdzić.

- Możesz iść do diabła!-oświadczył sir Humphrey i odwrócił się na drugi bok.

Amberley podziękował mu i wyszedł.

Kiedy przyjechał sierżant z dwoma młodymi, pełnymi zapału policjantami, Amberley czekał już w samochodzie. Kazał im zostawić rowery na podjeździe i wsiąść do Bentleya. Sierżant usiadł z przodu, tylne siedzenia zostawiając swoim podwładnym; bez większej nadziei w głosie powiedział, że ufa, iż Amberley nie zamierza jechać z szybkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę, bo on ma rodzinę. Niepotrzebnie się niepokoił. Amberley jechał bardzo wolno. Prawdę mówiąc, jechał tak wolno, że sierżant - podejrzewając złośliwość - zapytał czy to pogrzeb.

- I jeśli wolno spytać - dodał - to dokąd jedziemy?

- Droga do Norton Manor. Gdzieś około ósmej, sierżancie, Collins był w Greythorne. To poufna informacja. Przeszukał mój pokój.

- Przeszukał pana pokój? - powtórzył jak echo sierżant. - Widział go pan?
- Nie. Ale wiem, że to on.
- Dobry Boże! - zawołał sierżant. - Czego on szukał?
- Czegoś, co myślał, że mam. Jedziemy go szukać.
- Ależ, proszę pana! - zaprotestował sierżant. - Jeśli pan mówi, że był w Greythorne o ósmej, to do tej pory zdążyłby kilkanaście razy wrócić do Norton Manor!
- Tak - o ile wrócił - odparł Amberley. - Wypatrujcie uważnie. Niech pan weźmie ten ruchomy reflektor.

Samochód powoli posuwał się naprzód. Dwaj młodzi policjanci, którzy słyszeli wcześniej o szczególnym upodobaniu Amberleya do szybkiej jazdy, byli szczerze rozczarowani.

Sierżant wystawił reflektor na tyle, na ile pozwalał kabel i uważnie badał pobocze drogi.

- Będziemy przeszukiwać las? - zapytał.
- Możliwe. Ale on jechał na rowerze, a to raczej wskazuje na drogę. To wszystko prywatne lasy?
- W większości - przyznał sierżant. - Ten fragment tutaj należy do generała Tomlinsona i biegnie wzdłuż terenów Fountaina. Dziś zamknęliśmy jakiegoś kłusownika. Zarządca generała go złapał.

Samochód minął zakręt.

- Tereny pana Fountaina zaczynają się gdzieś tutaj - rzekł sierżant. - Hitchcock mówił mi, że w tym roku miał pecha z bażantami.

- Kłusownicy?

- Kłusownicy i zaraza. Stracił mnóstwo młodych ptaków. Hej, co to jest?

Przednie światła samochodu ukazywały prosty odcinek drogi. W oddali, na trawiastym poboczu coś leżało.

Jeden z policjantów wstał, żeby przyjrzeć się dokładniej.

- To rower!

Samochód pomknął naprzód.

- Jest tam coś więcej niż tylko rower, mój przyjacielu - rzekł Amberley.  
Obok roweru leżało coś ciemnego. Gdy podjechali bliżej sierżant wydał z siebie przejmujący okrzyk. Na poboczu, na wpół ukryty w wysokiej trawie porastającej rów, w dziwnej poskręcanej pozycji leżał jakiś człowiek.  
Amberley zatrzymał samochód.  
- Niech pan go obejrzy, sierżancie - powiedział z ponurą miną.  
Sierżant wyskoczył z samochodu i z latarką w ręku pochylił się nad nieruchomym ciałem. Odskokzył natychmiast.  
- Boże miłosierny! - wykrzyknął.  
Amberley wysiadł i zbliżył się do poskręcanej, nieruchomej postaci.  
- To niezbyt piękny widok - powiedział ochryple sierżant i zapalił latarkę.  
Amberley spojrzał na to, co pozostało z Alberta Collinsa.  
- Odstrzelono mu cały czubek głowy - powiedział sierżant ściszonego głosem.  
- Z dubeltówki - stwierdził Amberley. - Z bliskiej odległości. Z tyłu za nim rozległ się jakiś dźwięk. Jeden z młodych policjantów pobiegł do rowu. Drugi trwał w miejscu, ale minę miał niezbyt wyraźną. Sierżant zgasił latarkę.  
- Okropny widok - rzekł. - No, no Henson! Od razu widać, że nie walczyłeś we Flandrii. - Odwrócił się do Amberleya. - Tego pan szukał?  
Amberley skinął głową.  
- Kto to zrobił?  
- Nie było mnie tu, sierżancie - zauważył spokojnie Amberley.  
Sierżant spojrzał na niego.  
- Wiele trzeba, żeby wyprowadzić pana z równowagi, prawda?  
Amberley popatrzył na martwego człowieka.

- O wiele więcej niż zamordowanie takiej kreatury jak on - w jego głosie zabrzmiała nieprzyjemna, zgrzytliwa nuta. - Dla mnie to pocieszający widok. Obawiałem się że wykręci się od stryczka. Nie zamierzam go żałować.

Sierżant wytrzeszczył oczy.

- To okropna śmierć.

Amberley skierował się w stronę samochodu.

- Okropna, sierżancie. I całkowicie zasłużona.



Sierżant zostawił jednego z policjantów przy zwłokach Collinsa i poprosił Amberleya, żeby jechał do Norton Manor. Amberley skinął głową i uruchomił silnik.

Norton Manor pogrążony był w ciemnościach, jednak nie musieli długo czekać, by im otworzono. Gdy zadzwonili, prawie zaraz w wachlarzowatym okienku nad frontowymi drzwiami pojawiło się światło.

- Hm! - mruknął sierżant. - Mają lekki sen, prawda? Drzwi otworzył im kamerdyner w spodniach i szlafroku

narzuconym na piżamę. Nie wyglądał na zaspanego. Wręcz przeciwnie - był w pełnej gotowości i nie okazał zdziwienia na widok policjanta. Obrzucił Amberleya ukradkowym spojrzeniem, po czym cofnął się, żeby mogli wejść do środka.

- Spodziewałeś się nas, co? - zapytał ostrym tonem sierżant. Baker zamknął drzwi.

- Och nie, panie sierżancie! To znaczy, wiedziałem, że pan Fountain dzwonił na policję. Czy życzy pan sobie widzieć się z panem Fountainem?

Sierżant odparł twierdząco i podążył za kamerdynerem do biblioteki. Kiedy służący wyszedł, zwrócił się do Amberleya:

- I co pan o nim sądzi?

- Kiedyś panu powiem - odparł Amberley.

- Chciałbym odbyć z nim małą pogawędkę - wycedził ponuro sierżant.

- Ja też - zawtórował mu Amberley.

Wkrótce przyszedł Fountain. Zdziwił się na widok Amberleya i szybko zapytał, co się stało.

Sierżant powiedział mu.

- Zastrzelony? - powtórzył tępo Fountain - Collins? - wodził oczami od sierżanta do Amberleya. - Nie rozumiem. Kto mógłby go zastrzelić? Gdzie on był?

- Niewykluczone, że kłusownicy - rzekł sierżant oficjalnym tonem. - Albo i nie kłusownicy. To zostanie zbadane, a tymczasem, jeśli pan pozwoli, chciałbym skorzystać z pańskiego telefonu.

- Tak, naturalnie. Wskażę panu.

Fountain zaprowadził sierżanta do hallu. Sierżant połączył się z policjantem pełniącym dyżur na posterunku, a Fountain wrócił do biblioteki.

Spojrzał na Amberleya zdezorientowany i oszołomiony.

- Nie pojmuję! To nieprawdopodobne! Najpierw mój kamerdyner, teraz mój lokaj. Amberley, to mi się nie podoba!

- Nie sądzę, żeby Dawson i Collins też byli tym uszczęśliwieni - zauważył Amberley.

Fountain rozpoczął wędrówkę po pokoju.

- Kto go znalazł? Gdzie on był?

Aż stracił dech, gdy usłyszał, że Collins został zamordowany niecałą milę od domu.

- Wielki Boże! Więc myśli pan, że to kłusownicy? Amberley odmówił wyrażenia swojej opinii.

Nagle Fountainowi przyszedł do głowy inny aspekt tej sprawy.

- Dlaczego właściwie go szukaliście? Proszę mi nie mówić, że tego się spodziewaliście.

- Ach nie - powiedział Amberley. - Jechaliśmy porozmawiać z panem, to wszystko. Fountain potrząsnął głową.

- W głowie mi się to nie mieści. Co za upiorna sprawa. Chryste, człowiek zaczyna się zastanawiać, kto będzie następny.

Sierżant wrócił do pokoju i poprosił Fountaina, aby zechciał odpowiedzieć na kilka pytań. Fountain był szczerze gotów odpowiedzieć na wszelkie pytania, ale niewiele miał do powiedze-

nia. Lokaj był u niego w pokoju o wpół do ósmej, kiedy przebierał się do kolacji. Od tamtej pory go nie widział, nawet o nim nie myślał, dopóki przed północą nie poszedł do sypialni i zobaczył, że łóżko nie jest przygotowane. Zadzwoił na niego, ale pojawił się Baker i powiedział, że Collinsa nie było w czeladnej podczas kolacji dla służby. Poszedł sprawdzić jego pokój, ale i tam go nie było.

Fountain przyznał, że nabrał jakichś podejrzeń. W normalnych okolicznościach pomyślałby po prostu, że wymknął się bez pozwolenia i trochę przekroczył granice, ale pewne okoliczności sprawiły, że przyszło mu do głowy, iż może chodzić o coś więcej. Za wielce wymowny uznał fakt, iż zniknięcie Collinsa nastąpiło akurat w dniu, w którym otrzymał miesięczne wypowiedzenie.

W tym momencie Amberley uniósł wzrok znad najświeższego numeru „Puncha”, który wziął ze stołu i przeglądał leniwie podczas relacji Fountaina.

- Dał mu pan wypowiedzenie?

- Tak. Dziś rano. Po namyśle uznałem, że tak będzie najlepiej. Za dużo sobie pozwalał. No i do tego jeszcze ta sprawa z tym młodym Brownem. Im dłużej myślałem o tym, co mi pan powiedział, Amberley, tym bardziej podejrzana wydała mi się ta sprawa. No i jeszcze Dawson. Jak już zacznie się kogoś podejrzewać, to nie wiadomo kiedy przestać. A kiedy się człowiek tak uprzedzi do służącego, to tylko pozostaje go zwolnić.

- Ale Collins, o ile dobrze pamiętam, miał murowane alibi na czas śmierci Dawsona.

- Tak mi się zdawało. Nie zastanawiałem się wiele, dopóki Brown nie wpadł do rzeki. Wtedy Collins prasował mi ubranie, widziałem go. To nadzwyczajne, jak można znaleźć dziury w czyimś alibi. Próbowałem obliczyć ile czasu mogło mu zająć dotarcie do drogi na Pittingly na motocyklu. Nie chciałbym twierdzić, że to on zabił Dawsona, ale nabrałem co do niego wątpliwości. Podobne stosunki między panem a służącym są nie do przyjęcia, więc dałem mu wypowiedzenie. Kiedy wieczorem zniknął, przemknęło mi przez myśl, że może domyślił się, że go

podejrzewani, przestraszył się i uciekł. Im dłużej nad tym myślałem, tym większej nabierałem pewności. Kiedy nie wrócił do trzeciej w nocy, zadzwoniłem na policję. Ale nigdy by mi do głowy nie przyszło, że stało się coś podobnego.

- Wcale się panu nie dziwię - rzekł sierżant. - Nie słyszał pan jak wychodził? A może ktoś inny wychodził z domu?

- Nie słyszałem. Prawie cały wieczór byłem tutaj, w tym pokoju i pisałem listy. Usłyszałbym otwieranie frontowych drzwi, ale Collins wyszedłby przecież od kuchni.

- No tak. Jeśli pan pozwoli, to chciałbym zamienić słówko z tym pańskim kamerdynerem.

- Naturalnie - Fountain podszedł do kominka i nacisnął dzwonek.

Drzwi otworzyły się prawie natychmiast, lecz zamiast Bakera pojawił się w nich zaspany, z potarganymi włosami Corkran. Na widok zgromadzonych zamrugał i zacisnął na chwilę powieki. Potem otworzył oczy i potrząsnął głową.

- Myślałem, że to przywidzenie - powiedział. - Ale widzę, że to naprawdę pan, sierżancie. A więc wszystko się wydało, tak? Pójdę bez oporu, przysięgam! Sierżant uśmiechnął się szeroko, ale Fountain rzekł szorstko:

- Nie pora na żarty. Collins został zastrzelony. Corkran wybałuszył na niego oczy. Następnie spojrzał na

Amberleya i zażądał wyjaśnień.

Odpowiedział mu Fountain. Anthony wysłuchał go ze zdumioną miną, a na koniec powiedział, że kiepsko to wszystko widzi. - Nie przepadałem za nim - mówił. - Szczerze mówiąc, nie cierpiałem go. Ale to już przesada. Nie mam nic przeciwko odrobinie zbrodni od czasu do czasu dla ożywienia monotonii życia, ale nie znoszę maniackalnych morderców. Trzy śmierci jedna po drugiej! Nie, doprawdy, to przekracza wszelkie granice!

Fountain obrócił się do Amberleya.

- Boże wielki, myśli pan, że Tony ma rację? - zawołał. - Czy to możliwe, że to jakiś maniak? Te niewytłumaczalne morderstwa.... Jak pan myśli?

- Niektórzy ludzie uważają, że wszyscy mordercy to maniacy - powiedział wymijająco Amberley.
  - Pan mnie wzywał? Sierżant obejrzał się.
  - Chcę ci zadać kilka pytań - rzekł. Wejdź i zamknij drzwi. Kamerdyner wykonał polecenie.
  - Słucham, panie sierżancie?
- W rękę sierżanta pojawił się notes.
- O której widziałeś Collinsa po raz ostatni?
  - Dwadzieścia po siódmej - odparł Baker bez chwili namysłu.
  - O, skąd taka pewność?
  - Collins sam zwrócił uwagę na czas, panie sierżancie. Powiedział, że musi iść na górę pościelić panu Fountainowi.
  - Nie widziałeś, jak wychodził z domu? - odezwał się Amberley z drugiego końca pokoju.
  - Nie, proszę pana. Musiał wyjść podczas kolacji, kiedy byłem zajęty podawaniem do stołu w jadalni.
  - Dlaczego tak uważasz? - zapytał z miejsca sierżant. Kamerdynerowi drgnęły nerwowo usta.
  - Myślę, że widziałbym jak wychodzi, gdybym był w pomieszczeniach dla służby - odparł po niemal niedostrzegalnej pauzie.
  - Ach tak? Przyjaźniliście się?
  - Jestem zatrudniony u pana Fountaina od niedawna, panie sierżancie. Starłem się być w dobrych stosunkach z resztą służby.
- Sierżant przyjrzał mu się uważnie.
- Gdzie byłeś przed przyjazdem tutaj?
- Cień niepokoju przemknął przez twarz lokaja.
- Chwilowo nie pracowałem, panie sierżancie - odparł już mniej ochoczo.
  - Dlaczego?
  - Miałem kłopoty ze zdrowiem.
  - Adres?
  - Jestem... jestem zameldowany na stałe w Tooting - powiedział niechętnie. - Na Blackadder Road.
  - Poprzedni pracodawca?

- Mój poprzedni pan wyjechał do Ameryki.
  - Ach tak? Jak się nazywa?
  - Fanshawe - odparł jeszcze bardziej niechętnie Baker.
  - Jego adres w Anglii?
  - Nie ma adresu w Anglii, panie sierżancie. Sierżant podniósł wzrok.
  - Słuchaj, człowieku, przecież gdzieś mieszkał, kiedy u niego służyłeś, nie? Więc gdzie?
  - Służyłeś u pana Geoffreya Fanshawe'a, tak? - wtrącił się spokojnym głosem Amberley.
- Kamerdyner spojrzał na niego.
- Tak, proszę pana.
  - Na Eaton Square, tak? Kamerdyner przełknął z trudem.
  - Tak, proszę pana.
  - To po co robić z tego tajemnicę? Numer 547, sierżancie.
  - Zna pan tego dżentelmena? - spytał sierżant.
  - Trochę. Należymy do tego samego klubu.
  - Czy to prawda, że wyjechał za granicę?
  - Być może. Mógłbym się dowiedzieć.
  - Dostał pan od niego referencje, jak rozumiem? - zwrócił się sierżant do Fountaina.
  - Tak, oczywiście. Ale to Baker sam mi je dał. Nie mogłem sam napisać do pana Fanshawe'a, bo wyjechał - podobno wyjechał - do Nowego Jorku. Bilecik był napisany na klubowym papierze.
  - Musi pan go odnaleźć poprzez ten klub - rzekł sierżant pisząc coś pracowicie w notesie. - Czy może pan to zrobić?
  - zwrócił się do Amberleya.
  - Zrobię - odparł Amberley. - Chciałbym tylko zapytać o jedną rzecz - jego twardy wzrok spoczął na twarzy Bakera.
  - Mówiłeś, że usłyszałybyś, jak Collins wychodzi, gdybyś nie był wówczas w jadalni. Czy wobec tego widziałeś lub słyszałeś jak ktoś inny wychodził w trakcie wieczoru?
- 195

- Dwie pokojówki wychodziły, proszę pana - powiedział powoli Baker. - Nikt inny ze służby.

- Jesteś tego pewien?

- Tak, proszę pana.

- Byłeś w czeladnej?

- Nie, proszę pana. Prawie cały wieczór byłem w kredensie, a przedtem w jadalni, gdzie sprzątałem po kolacji.

- A więc wiedziałbyś, gdyby ktoś wyszedł z domu frontowymi drzwiami?

- Nikt nie otwierał frontowych drzwi wczoraj wieczorem, proszę pana. - Oświadczył Baker patrząc mu prosto w oczy.

Amberley powrócił do studiowania „Puncha”. Wydawało się, że stracił zainteresowanie dalszym przesłuchaniem Bakera, lecz gdy dziesięć minut później sierżant pozwolił kamerdynerowi odejść, uniósł wzrok znad czasopisma i zapytał:

- Czy kiedy zajrzałeś do pokoju Collinsa, nie zauważyłeś, że zabrał ze sobą jakieś rzeczy, jakby zamierzał zniknąć na dobre?

- Nie, proszę pana - odparł Baker. - Pan Fountain szczególnie polecił mi na to zwrócić uwagę. Pozwoliłem' sobie nawet zajrzeć do szafy i komody. O ile zdołałem się zorientować, nic nie zostało zabrane.

- A sprawdziłeś dokładnie?

- Tak, proszę pana. Nie było nic podejrzanego.

- Dziękuję.

Sierżant zamknął notes. - Nie ma pan więcej pytań?

- Nie, sierżancie, dziękuję - odrzekł spokojnie Amberley.

- No, to będę wracał na posterunek. Proszę wybaczyć, że pana zbudziliśmy, panie Fountain. Spodziewam się, że inspektor będzie chciał się jutro z panem zobaczyć. Fountain kiwnął głową z ponurą miną.

- Tak, domyślam się. Będę w domu całe przedpołudnie.

- No, jeśli to wszystko, to wracam do łóżka - oświadczył Anthony. - I chciałbym mieć ze sobą rewolwer. Czułbym się szczęśliwszy.

- Wcale się nie dziwię - rzekł sierżant życzliwie.

- Niech pan pozwoli ze mną, sierżancie - zaprosił Anthony. - Obu nam dobrze zrobi coś mocniejszego.

Fountain przypomniał sobie o obowiązkach gospodarza.

- Naturalnie. Gdzież ja mam głowę? Pan też się napije, prawda? - zwrócił się do Amberleya.

Amberley odmówił. Sierżant, zerkając na niego spod oka z pewnym wyrzutem, zaczął mamrotać coś o przepisach, ale dał się namówić. Kiedy wrócił, ocierał wąsy i był z Anthonym w jak najlepszej komitywie. Potem, już w samochodzie, zwierzył się Amberleyowi, że nie wie kiedy zdążył tak polubić tego młodego dżentelmena. - A co więcej - mówił - chociaż nie twierdzę, że on ma rację, to w tym jego pomysłe o mordercy-maniaku może coś być. Przecież w końcu to aż trzy morderstwa bez ładu i składu. Co pan o tym myśli?

- Myślę, że i pan, i Corkran jesteście siebie warci - rzekł Amberley. - Tych morderstw nie popełnił jeden i ten sam człowiek. Dawsona zabił Collins.

- Co? - zdumiał się sierżant. - Ale pan nigdy nie brał pod uwagę Collinsa! Cały czas go podejrzewałem, a pan...

- Rzecz w tym, sierżancie, że pan go podejrzewał nie o tę zbrodnię, którą popełnił.

- Ach tak! - sierżant wyraźnie był zdezorientowany. - Pewnie ma pan coś konkretnego na myśli, ale niech mnie szlag, jeśli wiem co. Dowiedział się pan czegoś ciekawego z tego, cośmy tam usłyszeli? - sierżant wskazał kciukiem za siebie, w stronę Norton Manor.

- Jednej czy dwóch rzeczy - przyznał Amberley.

- Tak myślałem. Powiem panu, że nie podoba mi się ten kamerdyner. Trzeba go będzie mieć na oku. Pojawia się nie wiadomo skąd i wie więcej, niż można by się spodziewać. I wcale nie był zdziwiony na nasz widok, wcale a wcale.

Niewykluczone, że się nas spodziewał. Mam co do niego przecucie, a przecucie nieczęsto mnie zawodzi. To on, wspomni pan moje słowa! To pański człowiek!

Amberley obrzucił go zagadkowym spojrzeniem.



Przy śniadaniu Felicity usłyszała nowiny i natychmiast ogłosiła zamiar odwiedzenia Joan. Sir Humphrey oskarżył ją o niezdrowe zamiłowanie do horrorów, do czego przyznała się dość ochoczo. Sam sir Humphrey był mocno zgorzony tym, co się stało i nawet wspaniałomyślnie powstrzymał się przed zgromieniem Franka za zakłócenie nocnego spokoju. Chociaż częstokroć oświadczał, że nie interesuje go zbrodnia, kiedy nie musi jej osądzać z racji swojego stanowiska, to jednak zbrodnia w Upper Nettlefold przybrała tak masowy charakter, że aż się zainteresował. Od siostrzeńca otrzymał jedynie suche fakty, które uznał za oburzające, co kilkakrotnie powtórzył.

Amberley odszedł od stołu w środku dysertacji wuja na temat bandytyzmu „tych dzisiejszych czasów”. Na odchodnym poradził wujowi, żeby wysłał swoje poglądy do jednej z niedzielnych gazet. Lady Matthews uprzedził, żeby nie spodziewała się go na obiedzie, po czym wyszedł.

Sir Humphrey, oburzony, że mu przerwano w tak bezceremonialny sposób, zaczął wyrzekać na brak manier u młodego pokolenia. Żona wysłuchiwała go cierpliwie, a potem powiedziała jedynie:

- Mniejsza z tym, mój drogi. Biedny Frank! Tak się martwi.
- Naprawdę, mamusiu? - zdziwiła się Felicity.
- Tak, kochanie. Naturalnie. Tyle ma na swoich barkach. Pojadę z tobą.

Sir Humphrey z rozdrażnieniem w głosie zapytał czy ją też opętała jakaś chorobliwa mania na punkcie horrorów. Lady

Matthews zaprzeczyła łagodnie i wyjaśniła, że chce pojechać do Upper Nettlefold.  
- Nie masz nic przeciwko temu, żeby w powrotnej drodze wstąpić do Norton Manor, mamusiu?

- Ależ skąd - rzekła lady Mathews. - Biedny Ludlow. Trzydzieści dziewięć.

- Co trzydzieści dziewięć? - warknął sir Humphrey.

- A, zapomniałam. I trzy. No wiesz, temperatury.

Gdy wyruszyły do Upper Nettlefold okazało się - ku zdumieniu Felicity - że celem matki jest hotel „Pod Głową Dzika”. Zaciekała się, co matka zamierza tam robić, ale lady Matthews powiedziała tylko, że chce zabrać Shirley Brown z powrotem do Greythorne.

Felicity nie wyobrażała sobie, że matka może wykazać tyle zainteresowania zupełnie obcą osobą, a do tego tak powściągliwą jak Shirley. Obrzuciła ją dość przenikliwym spojrzeniem i zarzuciła jej, że ukrywa coś w zanadru.

Lady Matthews kazała jej patrzeć na drogę. Felicity usłuchała, lecz nie zrezygnowała z ofensywy. Znała matkę doskonale i zdawała sobie sprawę, że poza całym swoim roztargnieniem i mglistym sposobem wyrażania się, lady Matthews często bywała niepokojąco wprost bystra i przenikliwa. Zaczynała podejrzewać, że Frank ją wtajemniczył. Wydawało się to zupełnie do niego niepodobne, lecz Felicity wiedziała, że kuzyn darzy jej matkę ogromnym respektem. Jednakże lady Matthews zaprzeczyła, jakoby Frank jej cokolwiek mówił. Przyciskana do muru zaczęła udzielać tak nielogicznych odpowiedzi, że Felicity dała jej spokój.

Zastały Shirley w hallu hotelowym. Minę miała niewyraźną, a uśmiech, którym je przywitała, był najwyraźniej wymuszony.

- Drogie dziecko, bardzo tu niewygodnie. Wracaj do Greythorne - powiedziała lady Matthews po prostu.

- Nie mogę - Shirley potrząsnęła głową. - Ja... bardzo pani dziękuję, ale chyba... wrócę do Londynu. Jeszcze... jeszcze nie wiem.

Lady Matthews zwróciła się do córki.

- Kochanie, masło. Możesz?

- Mogę i pójde sobie - rzekła Felicity wstając. - Nikt nie może mi zarzucić, że nie znam się na aluzjach.

Wyszła. Lady Matthews obrzuciła badawczym spojrzeniem jakiegoś mężczyznę, który siedział w drugim końcu hallu i czytał gazetę.

- Drogie dziecko, lepiej odpowiedz Frankowi - powiedziała łagodnie. - Zresztą spodziewam się, że on i tak wie.

Shirley spojrzała na nią z przestachem.

- Co pani ma na myśli?

- Wszystko o sobie. Niemądrze nie powiedziec, bo on może ci pomóc. Najbardziej inteligentny z całej swojej rodziny.

- Niemożliwe, żeby wiedział - szepnęła niemal niedosłyszalnie Shirley. - To po prostu niemożliwe. Czego... czego się pani domyśliła na mój temat, lady Matthews?

- Drogie dziecko, nie można rozmawiać w takim publicznym miejscu. To nierozsądne. W kiepskich kryminałach zawsze tak robią, a to niezmiennie prowadzi do katastrofy. Ależ oczywiście, że odgadłam od razu. Nie mam pojęcia, co robisz, ale lepiej powiedziec Frankowi. Nie sądzisz?

Shirley opuściła głowę i zaczęła się przyglądać swoim splecionym nerwowo dłoniom.

- Nic wiem. Gdyby nie współpracował z policją... Ale współpracuje, a ja... ja chyba popełniłam przestępstwo - zaśmiała się nerwowo.

- To brzmi strasznie podniecająco - rzekła lady Matthews. - Jestem pewna, że Frank chciałby pomóc. Jak się popełnia przestępstwo?

- Jestem w okropnych tarapatach - powiedziała Shirley; splatała i rozplatała nerwowo palce. - Źle się do tego zabrałam. Ale to wszystko było takie trudne, a z mojego... mojego brata... nie było wiele pożytku. A teraz sprawy przybrały tak fatalny obrót, że chyba nie pozostało nic innego, jak tylko wracać do Londynu.

Myślałam już, żeby opowiedziec wszystko pani... pani

siostrzeńcowi, tylko się trochę boję, bo przecież prawie go nie znam, a on... on jest dość... bezkompromisowy, prawda?

- Ale kocha zwierzęta, moje dziecko. Ja bym mu powiedziała. Szkoda rezygnować. Shirley przez chwilę siedziała bez ruchu zapatrzona w przestrzeń. Wciągnęła głęboko powietrze.

- Tak. Nie zniosę tego dłużej... Czy pan Amberley... czy mógłby... Czy mogłaby pani go poprosić, żeby do mnie przyjechał?

- Bez trudu - uśmiechnęła się Lady Matthews. - Ale lepiej jedź ze mną do Greythorne.

- Wolałabym nie, proszę. Myśli pani, że grozi mi niebezpieczeństwo, prawda?

- Żadnego niebezpieczeństwa w Greythorne - powiedziała lady Matthews. - Pełno włamywaczy, ale potrafimy się zaopiekować tobą, moje dziecko!

- Jestem zupełnie bezpieczna. Widziała pani takiego osobnika o tępej twarzy sterczącego pod hotelem?

- Był tam jakiś człowiek - przyznała lady Matthews. - Przywodzi mi na myśl śluby. No, detektywa, który pilnuje prezentów. To takie żałosne. Oni zawsze tak rzucają się w oczy, muszą czuć się jak na cenzurowanym.

- Tak - uśmiechnęła się Shirley. - No, ja właśnie jestem takim prezentem. On pilnuje mnie. Pani siostrzeniec go tam postawił.

- Takie to do niego podobne! - westchnęła lady Matthews.

- To dość krępujące, ale może to i lepiej. Powiem mu, żeby tu przyjechał. Czy ten biedak chodzi za tobą cały dzień? Czuję, że powinnam dać mu drożdżówkę, pensa, albo coś w tym rodzaju.

- Cały dzień - powiedziała Shirley. - Na zmianę z drugim. Więc widzi pani, że jestem bezpieczna, choć nieco... skępowana

- podniosła wzrok; wróciła Felicity.

- Już po sekretach? - zapytała Felicity bez złośliwości w głosie.

- Żadnych sekretów, kochanie - odparła lady Matthews wstając. - Shirley nie przyjedzie do Greythorne. Okropnie uparta. Obojętne kiedy, moje dziecko?

Shirley udało się zrozumieć to tajemniczo sformułowane pytanie.

- Tak. To znaczy, dziś po południu idę do Ivy Cottage skończyć pakowanie i przygotować wszystko do zabrania. Więc jeśli nie będzie mnie tutaj, będę w Ivy Cottage.

- Dobrze więc, zapamiętam - rzekła lady Matthews. - Kupiłaś masło, córeczko? Co my z nim zrobimy? - mruknęła pod nosem zmierzając ku wyjściu. - Może toffi albo coś podobnego. Dlaczego nie kazałam kupić pomarańczy?

Następnie udały się do Norton Manor. Joan była blada i wystraszona. Corkran, który świetnie czuł się w roli „mężczyzny-opiekuna” oznajmił, że zabiera ją między ludzi. Lady Matthews uznała to za znakomity pomysł. Dziewczyna rzeczywiście była u kresu wytrzymałości nerwowej i nawet jej przyrodni brat, który zazwyczaj nie był zbyt spostrzegawczy, przyznał, że źle wygląda i prawdopodobnie dobrze jej zrobi opuszczenie Norton Manor na pewien czas. Sam zamierzał zrobić sobie urlop, jak tylko sprawy się unormują.

Joan nie chciała słyszeć o powrocie do Norton Manor. Z nutą hysterii w głosie powiedziała, że jest w stanie spędzić w nim jeszcze jedną noc, lecz jej awersja jest tak niepokonana, że woli raczej w ogóle nie wyjść za mąż, niż iść do ślubu z tego domu.

Jej narzeczony skwapliwie skorzystał z okazji i zaproponował cichy ślub w Londynie i nawet sugerował, bez większej nadziei, urząd stanu cywilnego. Joan gotowa była zgodzić się na wszystko, lecz Fountain kategorycznie się sprzeciwił. Nie miał nic przeciwko ślubowi w Londynie, ale musi to być ślub uroczysty. W końcu przecież wielu gości już otrzymało zaproszenia, a nie ma żadnego usprawiedliwienia, żeby zrobić to pokątnie. Czy lady Matthews nie jest tego samego zdania?

Lady Matthews była tego samego zdania. Uważała, że Joan poczuje się zupełnie inaczej z dala od Norton Manor, kiedy przestanie słuchać o zbrodniach.

- Mimo wszystko, nigdy nie było tu tylu emocji - nie wytrzymała Felicity. - Kiedy to wszystko się skończy, to znów będzie okropnie nudno. Pomyślcie tylko! Przez ostatnie dwa tygodnie mieliśmy trzy śmierci i dwa włamania. Nieźle, jak na taką głusz.

- Włamania? Do kogo się włamano? - zdziwił się Fountain.

- Do nas. Nic nie zginęło. Ale były emocje!

- Pora na nas - wtrąciła lady Matthews. - Humphrey nie lubi, kiedy obiad się opóźnia.

- Nic o tym nie słyszałem! - wykrzyknął Fountain. - Kiedy to się stało?

- Pierwszy raz to było tego samego dnia, kiedy byłam tu z tatą w sprawie kłusowników, a tato pożyczył tę... - dostrzegła spojrzenie matki i umilkła speszona.

- Pożyczył książkę? - dokończył za nią Fountain. - Pamiętam. Czy chce już pożyczyć następne? Zdaje się, że wspominał o jeszcze jakichś?

Felicity wytrzeszczyła na niego oczy.

- Proszę powiedzieć - spytała powoli - czy to pan przysłał po nią, czy... czy Collins przyszedł z własnej inicjatywy?

Zapadła cisza.

- Czy przysłałem po nią? - powtórzył Fountain. - Collins?

- Wiedziała, że było w tym coś dziwnego! - zawołała Felicity. - Tatuś był okropnie zde gustowany. Collins przyszedł

i powiedział, że pan go przysłał po tę książkę. Nie zrobił pan tego?

- Nie - odrzekł Fountain. - Nie. Oczywiście, że nie! Tak Collins powiedział? I pani ojciec dał mu ją?

- No tak, naturalnie, że dał. To jednak było w niej coś ukryte?

- Moje dziecko, to niedorzeczne - wtrąciła znów lady Matthews. - To na pewno zwykle nieporozumienie.

- Ależ, mamusiu, nie rozumiesz? To ważne! Tylko że na pewno nic w niej nie było. Nie pamiętasz? Po włamaniu sprawdzaliśmy. A tatuś by zauważył wcześniej, bo przecież ją czytał - Felicity zmarszczyła czoło i zastanowiła się głęboko.

Fountain przestał się uśmiechać i utkwiał wzrok w Felicity.

- Nic nie rozumiem - powiedział. - Przykro mi, że taka wiadomość została przekazana jako pochodząca ode mnie. Co pani ojciec musiał sobie o mnie pomyśleć?

- No cóż, trochę się zdenerwowałam - przyznała Felicity. - Myśli pan, że wpadliśmy na jakiś trop? Czy w tej książce mogło coś być?

- Jeśli nawet coś było, to nie mam zielonego pojęcia co - rzekł Fountain. Odwrócił się i ze stojącej na stole kasetki wyjął papierosa. - Dla mnie to po prostu brzmi jak nadgorliwość ze strony Collinsa.

Felicity nie zadowolilo takie wytłumaczenie.

- No dobrze, a włamanie? Biblioteka, gabinet taty i salon zostały wywrócone do góry nogami, a jadalnie nie. No i nic nie zginęło. Wiecie, zdaje mi się, że Collins myślał, że tam coś jest. Pewnie pomylił książki. Ale się rozczarował! Tatuś nic by z tej książki nie wyjął, a cały czas miał ją przy sobie, z wyjątkiem tych dziesięciu minut, kiedy zostawił ją w hotelu „Pod Głową Dzika”, jak byliśmy u Shirley!

Łagodny głos lady Matthews przerwał jej przemowę.

- Kochanie, cóż za bujna wyobraźnia. Ale naprawdę musimy już iść. Niech się pan nie martwi, panie Fountain. To nieporozumienie. Powiem mężowi.

- Bardzo proszę mu powiedzieć - rzekł Fountain. - Jest mi naprawdę bardzo głupio. Nigdy w życiu nie zrobiłbym czegoś podobnego.

Wydawał się bardziej wytrącony z równowagi, niż uzasadniała to zaistniała sytuacja. Dał upust swoim uczuciom napadając na kamerdynera, który właśnie wszedł.

- Czego chcesz? - zapytał szorstko.

Joan stanęła w obronie służącego. To ona zadzwoniła na Bakera, żeby odprowadził lady Matthews.

Lady Matthews patrzyła na Bakera z zadumą. Felicity uświadomiła sobie, że służba w Norton Manor ma nieprzyjemny zwyczaj pojawiania się bezszelestnie w pokoju za każdym razem,

kiedy mowa jest o czymś ważnym. W drodze do domu podzieliła się z matką swoim spostrzeżeniem.

- Myślę, że on wszystko słyszał, mamusiu. A ty?

- Wcale bym się nie zdziwiła - odrzekła lady Matthews. - Obawiam się, kochanie, że byłaś trochę niedyskretna. A Franka nie ma na obiedzie.

- Skąd mogłam wiedzieć, że mają jeszcze jednego służącego, który się skrada i podsłuchuje przez dziurkę od klucza? - broniła się Felicity.

Lady Matthews nie odezwała się. Ku zdziwieniu córki na jej twarzy pojawił się wyraz głębokiej zadumy. Felicity nie zdołała nakłonić jej do rozmowy.

Wyraz zadumy nie zniknął z twarzy lady Matthews nawet podczas obiadu. Była niezwykle niespokojna i dwa razy mruknęła pod nosem „Czemu Frank nie wraca? To nieznośne!”

Zaraz po drugiej zadzwonił telefon. Odebrał go sir Humphrey, który akurat siedział w bibliotece; powiedział nieco opryskliwie, że pana Amberleya nie ma i nie wie, gdzie go można znaleźć. Tak, oczywiście, przekaze wiadomość zaraz po jego powrocie.

Lady Matthews, która właśnie weszła do biblioteki, chciała wiedzieć, kto chciał rozmawiać z Frankiem.

- Fountain - powiedział sir Humphrey. - Bardzo osobliwa wiadomość!

- Tak, kochanie?

- Mam przekazać Frankowi, że pojechał do Londynu i wróci późno. Czy Frank chciał się z nim widzieć?

- Nie wiem. Możliwe. Czy mówił coś o książce?

- To nie był Fountain osobiście. Kamerdyner przekazał wiadomość. Podobno Fountainowi szczególnie zależy na tym, żeby Frank wiedział, że pojechał do Londynu i całe popołudnie będzie w swoim klubie.

Lady Matthews zamknęła drzwi.

- Bardzo niepokojące - powiedziała. - Trzeba spróbować złapać Franka.



Sir Humphrey oświadczył, że zupełnie nie widzi powodu, dla którego miała by się niepokoić i ponownie usadowił się wygodnie na sofie z książką w ręku.

Lady Matthews z westchnieniem usiadła przy biurku i zadzwoniła na posterunek policji w Carchester. Sir Humphrey przejawiał niejakie zdziwienie, jako że jego żona jedynie w chwilach wielkiego niepokoju była skłonna korzystać z telefonu.

Sierżant, który pełnił służbę na posterunku nie potrafił udzielić żadnej konkretnej informacji. Pan Amberley był rano w Carchester, ale wyszedł z panem komisarzem. Od tej pory go nie widziano.

Lady Matthews z jeszcze cięższym westchnieniem zadzwoniła do pułkownika Watsona. Pułkownika nie było.

- Czasami trudno nie wierzyć w złośliwość opatrności - zauważyła melancholijnie.

Gdy Amberley nie wrócił do czwartej stwierdziła, że jest zupełnie jak jego ojciec.

To stwierdzenie wzbudziło wielką ciekawość Felicity, ponieważ sprawa musiała naprawdę być poważna, skoro matka powiedziała coś podobnego. Lady Matthews

odmówiła zrzucenia ciężaru z serca zarówno przed córką jak i mężem. A kiedy odmówiła zjedzenia najpierw placuszka, potem chleba z masłem, a na koniec

ciastek, najbliżsi zaczęli się poważnie niepokoić. Toteż pojawienie się Amberleya - kwadrans po piątej - przyjęli z ogromną ulgą.

- Dzięki Bogu, żeś przyszedł! - zawołała Felicity. - Gdzieś się podziewał?

Spojrzał na nią obojętnie.

- Prowadziłem śledztwo w sprawie wydarzeń dzisiejszej nocy. Skąd to nagłe pragnienie mojego towarzystwa? Ciociu, mogę dostać trochę herbaty?

Ciotka Marion niezwykle starannie wybierała dwie kostki cukru z cukiernicy i przemówiła nie podnosząc oczu od tego subtelnego zajęcia.

- Dwie wiadomości, drogi Franku. Leżą mi ciężarem na duszy. Ta dziewczyna chce się z tobą zobaczyć. Albo w hotelu, albo w Ivy Cottage. Takie niemiłe miejsce.

207

Amberley spojrział na nią z dziwnym uśmieszkiem w oczach.

- Byłem ciekaw, czy się zdecyduje. Dobrze.

Lady Matthews wzięła do ręki dzbanuszek z mlekiem. - Ten kamerdyner. Z Norton Manor.

Uśmiech zniknął; Amberley nie odrywał wzroku od ciotki.

- Tak? - podpowiedział.

- Wiadomość od Basila Fountaina. Pojechał do Londynu.

- Kiedy?

- Około drugiej, kochanie.

- Kto przekazał wiadomość?

- Kamerdyner. Nie powiedziałam tego? W klubie, całe popołudnie.

Amberley spojrział na zegar i zastanowił się.

- Rozumiem. Chyba jednak nie będę czekał na herbatę.

- Nie, drogi chłopcze - zgodziła się ciotka. - O wiele mądrzej nie. Coś ciekawego do powiedzenia. Tak niemądrze ze strony Humphreya! Ta książka. Nie wiedziałeś, co z nią.

- Nie wiedziałem. A co?

- Humphrey przez omyłkę zostawił w hotelu. On i Felicity, wiesz. Byli u Shirley. Zapomniał.

Amberley odwrócił się szybko do wuja.

- Zostawił ją wuj tam? - warknął. - Czy ona miała ją w ręku?

- Teraz jak mi przypomniałeś, to rzeczywiście, zostawiłem ją tam - rzekł sir Humphrey. - Ale zaraz wróciliśmy. Panna Brown natychmiast mi ją oddała.

- Dlaczego, do diabła, od razu mi nie powiedziałeś? - zapytał ze złością Amberley. - Kiedy to wyszło na jaw? Kto o tym wie?

- Felicity, mój drogi - powiedziała ciotka Marion. - Powiedziała Basilowi. Mnóstwo ludzi wie. Joan i ten miły młody człowiek, i ja, i kamerdyner.

Felicity aż cofnęła się z przestraszenia przed miną Amberleya.

- Strasznie mi przykro, że się wmieszałam, ale skąd mogłam wiedzieć, że mam o tym nie mówić?

- Ależ z ciebie idiotka! - powiedział Amberley z przygnębiającą szczerością i wyszedł zanim Felicity zdołała wymyśleć jakąś odpowiednią ripostę.

Po chwili dał się słyszeć warkot rozrusznika Bentleya i samochód ruszył sprzed domu na pełnych obrotach.

Sir Humphrey doszedł do siebie po szoku, jakiego doznał na skutek mało delikatnego potraktowania go przez siostrzeńca.

- Coś podobnego! - wykrzyknął. - Nie miałem pojęcia, że to takie ważne, naprawdę. Zaczynam się poważnie niepokoić.

Lady Matthews spojrzała na paterę z ciastkami.

- Dlaczego nikt nie podał mi nic do jedzenia? - poskarżyła się. — Jestem niebywale głodna.

- Odmówiłaś jedzenia - przypomniała jej córka.

- Nonsens, kochanie. Podaj mi placuszek, proszę - powiedziała łagodnym jak zwykle głosem.

Po odjeździe lady Matthews z hotelu „Pod Głową Dzika” Shirley zaczęły targać sprzeczne uczucia. Zrazu chciała bezzwłocznie zrzucić ciężar trosk i bariery człowieka, który był w stanie go udźwignąć, lecz nie była pewna rezultatu. Nie zapomniała jak chwycił ją boleśnie za rękę tam, na drodze do Pittingly, przy samochodzie martwego Dawsona; do tej pory na przegubie miała siny ślad. Odniosła wówczas wrażenie, że pan Amberley (żeby nie wiedzieć jak bardzo kochał zwierzęta) nie miałby litości dla tych, których przyłapie na łamaniu prawa. A jego współpraca z policją sprawiała, że wystrzegano się go z podwójną ostrożnością. To prawda, że nie wspomniał policji o jej obecności na miejscu zbrodni owego wieczoru; to także prawda, że nie zdradził jej na balu maskowym. Lecz zawsze odnosiła wrażenie, że jego milczenie spowodowane jest nie tyle rycerskością, co chęcią poluzowania takiej ilości liny, żeby mogła się sama na niej powiesić. Od samego początku obserwował ją uważnie i to wcale nie życzliwym okiem. Pewne słowa wciąż sprawiały jej ból; powiedział, że jej nie lubi i sądziła, że mówił prawdę. Nigdy nie odkryła w nim śladów sympatii do siebie. Wprost przeciwnie - albo się z niej wyśmiewał, albo był bardzo niechętny, a nigdy nie przepuścił okazji, żeby dać jej do zrozumienia, iż jest głupią smarkulą. Nie przywiązywała większej wagi do niezwyklej łagodności, jaką wykazał po śmierci Marka. Przecież w końcu nie był chamem, a tylko cham w takich okolicznościach mógłby zachować się nieuprzejmie. A ponadto

mógł przecież zmienić taktykę w nadziei, że w ten sposób nakłoni ją do zwierzeń. Amberley wydawał się jej wyjątkowo bezwzględny osobnikiem.

Lady Matthews odgadła część jej tajemnicy i uważała, że on także odgadł. Shirley nie zdziwiła domyślność lady Matthews, jednakże nie mogła zrozumieć, skąd Amberley może wiedzieć. Sama miała niejednokrotnie nieprzyjemne uczucie, że wie o niej więcej niż udaje.

Na wieść o śmierci Collinsa najpierw ogarnęło ją przerażenie, a potem poczuła wielkie znużenie i zniechęcenie. Po raz pierwszy sukces był tak blisko, w zasięgu ręki. Lecz lokaj nie żył, a wraz z nim zginęły wszelkie nadzieje. Wydawało się, że to już koniec, więc jeśli Amberley może pomóc, to proszę bardzo, niech próbuje. A jeśli nawet wsadzi ją do więzienia, to co to teraz za różnica?

W głowie kołatały jej własne słowa, które wypowiedziała do Collinsa. Pół chleba! Pół chleba! Lepsze niż nic, prawda? Pomyślała z goryczą, że skoro tej drugiej połowy nie ma, to lepiej by było, gdyby jej oczy nigdy nie ujrzały tej pierwszej, kuszącej połówki.

Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że zmarnowała całą godzinę na jałowych spekulacjach i przed obiadem nie zdąży już do Ivy Cottage. Wyszła więc do sklepu po etykiety na bagaż i uśmiechnęła się ponuro widząc, że w dyskretnej odległości podąża za nią jej wierny opiekun. Gdyby nie była taka przygnębiona, nic oparłaby się pokusie wyprowadzenia go na długi spacer po polach. Nie wyglądał na dobrego piechura.

Do Ivy Cottage wybrała się zaraz po obiedzie. Założyła Billowi obrozę, żeby go wziąć ze sobą i już miała wyjść, ale zawahała się. Spojrzała niepewnie na nesaser. Bill zaskomlał z wyrzutem, że jego pani zwleka z wyjściem na spacer.

- Zaczekaj chwilę, Bill. Musimy zabezpieczyć się przed niespodziankami - powiedziała powoli.

Bill położył się z westchnieniem, oparł łeb na łapach i zaczął cichutko skomleć. Jego pani wyjęła z torebki kluczyk, otworzyła

neseser i z jednej z kieszeni wyjęła naddartą kartkę sporych rozmiarów. Przez chwilę stała niezdecydowana, a następnie podeszła do stojącego pod oknem stolika i usiadła. List, który napisała, był krótki, lecz sporo czasu zajęło jej skomponowanie jego treści. Przeczytała go, zawahała się, po czym wzruszyła ramionami i złożyła kartkę. Naddarty papier ostrożnie włożyła do koperty, zakleiła, razem z napisanym liścikiem włożyła do większej koperty i zaadresowała ją.

- No już dobrze, już idziemy - powiedziała do Billa, którego skomlenie stało się rozpaczliwe. - Mam wrażenie, że postąpiłam słusznie. A ty jak uważasz, starszku? Bill uważał, że najwyższy czas wyjść na spacer i powiedział to zupełnie jednoznacznie.

Zeszli razem po schodach. Ku rozgoryczeniu Billa ich pierwszym celem był urząd pocztowy, gdzie Shirley nadała list polecony. Potem ruszyła w stronę Ivy Cottage, a spuszczonej ze smyczy Bill skakał przed nią radośnie. Za nimi, sumiennie, włókł się posterunkowy Tucker.

Gdy Shirley dotarła do Ivy Cottage była już trzecia. Kobieta do sprzątanania, z którą umówiła się na wpół do trzeciej stała na schodkach pod drzwiami z urażoną miną. W domu panował chłód i czuć było woń stęchlizny. Shirley prędko pootwierała okna i poleciła sprzątaczkę nastawić czajnik. Podłogę w kuchni trzeba wyszorować-powiedziała. Sprzątaczką zauważyła na głos, że nie każdy dba o to, w jakim stanie zostawia dom.

- Możliwe - powiedziała Shirley. - Zanim woda się zagotuje proszę odstawić te talerze do szafki i zwinąć ten chodniczek, bo chcę go zapakować.

W domu było jeszcze mnóstwo roboty. Shirley zapakowała swój kufer i przywiązała do niego etykietę z adresem. Następnie z ciężkim sercem zabrała się do sortowania rzeczy Marka. Nie chciała przeglądać ich potem jeszcze raz, więc postanowiła od razu większość ubrań wysłać do misji charytatywnej w East End,

biednej dzielnicy Londynu. Przyniosła z dołu papier pakunkowy i sznurek i zapakowała cztery duże paczki.

O czwartej sprzątaczką po raz pierwszy zrobiła coś z własnej inicjatywy. W spizarni znalazła puszkę skondensowanego mleka, zaparzyła herbatę i zaniósła ją Shirley na górę. Shirley podziękowała za mleko, za to z wdzięcznością przyjęła herbatę. Mając w pamięci słowa, które rano na pożegnanie wypowiedziała lady Matthews, poleciła sprzątaczkę zaprosić na herbatę policjanta, który stał na dworze. Najwyraźniej zaproszenie zostało przyjęte, gdyż ujrzała Tuckera podążającego za sprzątaczką w stronę domu. Tucker minę miał nieco zakłopotaną, ale wyglądało na to, że był wdzięczny za zaproszenie. Kiedy odszedł z powrotem na swój posterunek, Shirley powiedziała kobiecie, że może iść do domu, jak tylko pozmywa po herbacie. Sama widziała także rychły koniec swojej pracy, więc zaczęła się spieszyć, żeby skończyć przed zmrokiem.

Sprzątaczką przyszła na górę po zapłatę. Kiedy Shirley szukała w portmonetce pieniędzy, kobieta samorzutnie pozwoliła sobie na uwagę, że wcale się nie dziwi, iż panienka opuszcza ten dom.

- To takie posepne, odludne miejsce - dodała na koniec.

- To mi nie przeszkadza - odparła Shirley.

- No cóż, są różne gusta, panienko. Ja bym tu po ciemku miała gęsią skórę ze strachu. No i szczury też tu pewno są.

- Myszy - powiedziała Shirley.

- Nie wiem sama, czego bardziej nienawidzę, panienko. Miałam taką ciotkę, co to raz usiadła na myszy, a ta wleciała jej pod spódnicę. Ciotka o mało trupem nie padła.

- Mysz pewnie też o mało trupem nie padła - zauważyła Shirley. - Proszę. I dziękuję. Proszę wyjść od frontu, dobrze? I proszę zamknąć drzwi.

Kobieta zeszła na dół. Bill, który leżał znudzony u stóp schodów wyszedł razem z nią i udał się na tyły domu w poszukiwaniu łupu. Podzielał wiarę sprzątaczką w obecność szczurów.

Posterunkowy Tucker zmęczony staniem na drodze z westchnieniem ulgi usiadł na prostej, drewnianej ławce w ogrodzie i zapalił papierosa. Nudne zajęcie to pilnowanie panny Brown. Miał nadzieję, że nie będzie siedziała tu jeszcze długo. Posterunkowy Westrupp miał go zmienić o szóstej, ale będzie czekał przed hotelem. Zastanawiał się, jak długo jeszcze ta młoda dama będzie go tu trzymała, a potem skierował swe myśli ku Frankowi Amberleyowi, a myśli te wcale nie były życzliwe. Stwierdził, że jesienne popołudnia szybko robią się chłodne i wilgotne. Postawił kołnierz płaszcza i przez chwilę siedział zapatrzony w samotną gwiazdę. Zza domu wyłonił się Bill i warknął.

Shirley wyjrzała przez okno.

- Kto tam? - spytała ostrym tonem.

Tucker poczuł się trochę głupio. Odkasznął i powiedział:

- To ja, proszę pani.

- Och! - w jej głosie zabrzmiało rozbawienie. - Jeszcze parę minut. Zamknij się, Bill. Do tej pory powinieneś już znać tego pana.

Bill podejrzliwie obwąchiwał nogi Tuckera. Tucker mruzczał coś pojednawczo i zastanawiał się, dlaczego ta młoda dama nie może mieć miłego, małego pekińczyka. Nerwowo wyciągnął rękę w stronę Billa i zapewnił go, że jest dobrym pieskiem. Bill natomiast był bardziej zainteresowany upewnieniem się, czy Tucker jest dobrym człowiekiem. Doszedł do wniosku, że na razie nie trzeba podejmować kroków w celu wyeksmitowania policjanta z ogrodu, odszedł więc, żeby podjąć działania na tyłach domu.

Shirley zapaliła lampę i zaczęła palić stare listy i rachunki w kuchennym piecu. Kufry zostały zapakowane i opatrzone kartkami z adresem, gotowe do zabrania przez przewoźnika. Shirley przeliczyła bieliznę do prania i zostawiła ją w koszu w pomysłalni. Gdy wypalił się ostatni skrawek papieru wzięła lampę i udała się na ostatni przegląd domu, żeby sprawdzić, czy wszystko zabrała i pozamykać okna. Ze złością zauważyła, że zapomniała zajrzeć do szafy w korytarzu na piętrze, gdzie

Mark

208



trzymał jakieś swoje rupiecie. Uprzątnięcie ich zabrało jej nieco czasu; gdy spojrzała przez okno zobaczyła ze zdziwieniem, że w międzyczasie zrobiło się już całkiem ciemno.

W ogrodzie maleńki punkcik żarzącego się papierosa obwieszczał obecność posterunkowego Tuckera. Po raz pierwszy od czasu, kiedy zaczął za nią chodzić Shirley była zadowolona, że jest w pobliżu. Sprzątaczką miała rację - dom rzeczywiście był posępny i odludny. Zeszła na dół, żeby sprawdzić czy kuchenne drzwi są zabezpieczone jak należy, a przy okazji zawołać Billa.

Drogą przejeżdżał jakiś samochód. Gdy wkładała kapelusz usłyszała wyraźnie zmianę biegów - samochód skręcił w alejkę i zbliżał się do Ivy Cottage podjeżdżając pod niewielkie wzniesienie. Miała nadzieję, że to samochód Amberleya, otworzyła więc frontowe drzwi. Jednak samochód minął dom, zrozumiała więc, że jedzie dalej, na farmę. Poczula rozczarowanie, co ją zirytowało, więc zatrzasnęła drzwi ze złością.

Przyszła jej na myśl tragiczna śmierć Marka. Przyłapała się na tym, że nasłuchuje niespokojnie i rozgląda się lękliwie. Nie zasłonięte okna i otaczająca ciemność sprawiły, że była zdenerwowana. Nie mogła opanować wrażenia, że za chwilę za szybą ujrzy jakąś twarz zaglądającą do środka. Absurdalna myśl, oczywiście, ale skoro już raz dopuściła ją do siebie, nie mogła się jej pozbyć. Żeby podnieść się na duchu, przed założeniem płaszcza wyjęła z niego automatycznego colta i położyła na stole.

Zapięła płaszcz wysoko pod szyję i założyła rękawiczki. Nie mogła znaleźć smyczy Billa; pomyślała z wściekłością, że nigdy nic może jej znaleźć. Po krótkim poszukiwaniu okazało się, że wisi na kuchennych drzwiach. Zdjęła smycz z haczyka i podeszła do stołu, żeby zabrać rewolwer i zgasić lampę.

W tym momencie przypomniała sobie, że w pokoju zostawiła otwarte okno.

- Weź się w garść, kretynko! - upomniała się surowo i poszła je zamknąć.

W małym korytarzyku pomiędzy kuchnią a pokojem nagle wynurzyła się przed nią jakaś ciemna postać. Z przerażenia zabrakło jej tchu. Cofnęła się o krok wbijając wzrok w ciemność.

- Pan Amberley? - zapytała drżącym niepoohamowanie głosem.

Intruz skoczył na nią nim zdołała wykonać jakikolwiek ruch. Objął ją jedną ręką w żelaznym uścisku. Chciała krzyknąć, ale przyciśnięto jej do twarzy coś miękkiego, o mdlącej woni chloroformu.

Szarpała się rozpaczliwie. Poprzez szum w uszach usłyszała warczenie Billa, które dochodziło jakby z bardzo daleka. Środek usypiający zadziałał. Poczowała, że głowa staje się coraz lżejsza, a ręce i nogi paraliżuje bezwład. Straciła przytomność.

Mężczyzna, który ją trzymał kopnął kuchenne drzwi w samą porę, żeby uchronić się przed morderczym skokiem Billa. Pies zaczął szaleńczo drapać pazurami drewnianą powierzchnię drzwi z wściekłym, obłądnym ujadaniem.

Nieznajomy położył Shirley niezbyt delikatnie na podłodze, wcisnął w bezwolne usta knebel, który dodatkowo zabezpieczył okręconym wokół głowy szalikiem.

Wyciągnął z kieszeni zwój cienkiej linki i szybko związał jej ręce i nogi. Potem szarpnął ją w górę, zarzucił ją sobie na ramię i wyszedł z domu. Ruszył poprzez

ciemny ogród do alei, a potem dalej brzegiem alei pod osłoną żywopłotu, aż dotarł do zaparkowanego samochodu. Wrzucił swój ciężar na podłogę za przednie

siedzenia i zarzucił na dziewczynę koc, który ukrył ją całkowicie przed ciekawskim wzrokiem. Następnie usiadł za kierownicą i włączył światła. Samochód ruszył

powoli, nabrał prędkości i dojechawszy do głównej drogi skręcił w nią ostro.

Zamknięty w domu Bill zrezygnował ze sforsowania nieustępliwych drzwi i skierował swoją uwagę na okno. Przysiadł na tylnych łapach przygotowując się do skoku. Rozległ się trzask, brzęk tłuczonego szkła i potężny bullterrier, z kroplami

krwi na obroży, przyłożył nos do ziemi, wywęszył zapach i ruszył tropem

człowieka, którego zamierzał rozszarpać.

Bentley wjechał do Upper Nettlefold na pełnym gazie i z piskiem opon zatrzymał się przed hotelem „Pod Głową Dzika”. Panna Brown - poinformował Amberleya portier - jeszcze nie wróciła. Amberley już miał wyjść, ale rozmyślił się i powiedział, że chce skorzystać z telefonu. Portier zaprowadził go do budki i zostawił go samego. Amberley otworzył książkę telefoniczną i szybko odnalazł numer o który mu chodziło. Za trzy minuty rozmawiał z portierem pewnego londyńskiego klubu.

Tak, pan Fountain był w klubie po południu, lecz wyszedł krótko przed podwieczorkiem. Nie, portier nie umiał powiedzieć dokąd udał się po wyjściu z klubu, ale na pewno będzie go można potem znaleźć w teatrze Gaiety, sam rezerwował telefonicznie bilety dla pana Fountaina.

Amberley podziękował mu i rozłączył się. Pospiesznie wrócił do samochodu, obok którego zastał pełnego oburzenia policjanta. Policjant życzył sobie poznać jego nazwisko i adres, żeby wypisać mandat za niebezpieczną jazdę w mieście.

Amberley wskoczył do samochodu i uruchomił silnik.

- Proszę zejść mi z drogi - powiedział. - Bez wątpienia zobaczymy się później. Teraz nie mam czasu na pogawędkę.

Samochód wyrwał do przodu. Policjant odskoczył w ostatniej chwili; był tak osłupiały, że odjęło mu mowę. Zostało mu tylko tyle przytomności umysłu, żeby zanotować numer Bentleya.

Amberley pomknął prosto do Ivy Cottage i zatrzymał się przed furtką bez zwykłej ostrożności. W domu paliło się światło, więc odetchnął z ulgą. Wysiadł z samochodu i w tej chwili na alei pojawił się bullterrier węszący w poszukiwaniu zgubionego tropu.

Amberley zawołał psa. Bill rozpoznał znajomy głos i przybiegł od razu. Zaskomlął bardziej z poczucia obowiązku niż z rzeczywistej radości i natychmiast powrócił do poprzednich czynności. Amberley zdążył jednak zauważyć skaleczenia na pysku i bokach zwierzęcia. Nie próbował go złapać, lecz wbiegł do ogrodu wołając Tuckera. Odpowiedzi nie było.

Coś zachręściło mu pod nogami; spojrzął na ziemię i ujrzał blask potłuczonego szkła. Okno w kuchni było rozbite i nie było potrzeby medytować, w jaki sposób to się stało.

Frontowe drzwi były zamknięte. Amberley włożył rękę przez rozbitą szybę, zwolnił zasuwkę i podniósł dolną część okna. Wdrapał się do środka. W jednej chwili zobaczył wszystko: płonąca wciąż lampę, torebkę Shirley leżącą na stole, colta obok torebki. Nawet w takim momencie jak ten, wąskie wargi Amberleya ułożyły się w uśmiech, w którym było więcej rozbawienia niż szyderstwa. Włożył broń do kieszeni, wyjął latarkę i zaczął obchodzić dom.

Silny zapach chloroformu uderzył go w nozdrza, gdy tylko otworzył drzwi prowadzące z kuchni do korytarzyka; strzęp waty, który Shirley podczas walki oderwała od tamponu leżał u stóp schodów. Amberley podniósł go i powąchał. Zapach chloroformu jeszcze z niego nie wywietrzał; zatem nie leżał tu dłużej niż kilkanaście minut. Okno w pokoju było otwarte, a pod oknem na podłodze widniała bryłka błota z wyraźnie odcisniętym śladem gumowego obcasa. Amberley zebrał błoto ostrożnie, żeby bryłka się nie rozsypała i położył je na stole. W domu nie było nikogo. Nie było też śladu posterunkowego Tuckera.

Wrócił do ogrodu i obszedł go przyświecając sobie latarką. Usłyszał jakiś jęk, który doprowadził go do krzaka bzu rosnącego obok ławki. Na ziemi leżał Tucker.

Wyglądał tak, jakby spadł z ławki. Próbował unieść się na łokciu.

Amberley skierował promień latarki na jego twarz. Tucker zamrugał oślepiiony. Był otepiały i nadal pojękiwał. Amberley przyklęknął przy nim.

- No, człowieku, mów! - powiedział niecierpliwie. - Co się stało? Weź się w garść! Tucker przyłożył rękę do głowy.

- Moja głowa! - wymamrotał. - Jezu, moja głowa!

- Tak, bez wątpienia dostałeś w głowę. Na szczęście masz twardy łeb. Masz, napij się!

Otworzył kciukiem piersiówkę z koniakiem i przyłożył ją Tuckerowi do ust. Mocny alkohol przywrócił policjantowi siły. Zdołał usiąść, chociaż rękami wciąż ścisnął głowę.

- Co się stało? - pytał oszołomiony. - Ktoś mnie uderzył?

- Nie zadawaj pytań mnie! Spróbuj pomyśleć! - warknął Amberley. - Widziałeś kogoś?

- Nie. Nie wiem, co się stało. Siedziałem tu i czekałem na tę dziewczynę. Ktoś musiał mnie chyba uderzyć.

- Mój ty Boże, ale z ciebie policjant! - rzekł Amberley z wściekłością i podniósł się.

- Chcesz mi wmówić, że nic nie słyszałeś? Żadnych kroków? Samochodów?

Nieszczęśliwy Tucker próbował zebrać myśli.

- Samochód. Tak, słyszałem samochód. Ale pojechał dalej, na farmę. Nic zatrzymał się tutaj.

- Jaki samochód? Widziałeś numer rejestracyjny?

- Nie. Nie. Mignął mi tylko, jak mijał furtkę. Chyba kryty samochód, duży.

- Kolor?

- Nie zauważyłem. Było już za ciemno.

- Słuchaj! - rzekł Amberley. - W pokoju na stole leży bryłka błota. Musisz ją zabrać na posterunek. Jest na niej odcisk buta. Rozumiesz?

Tucker skinął głową i wstał z trudem. Amberley pobiegł w stronę furtki.

Rozpaczliwe skomlenie Billa rozlegało się nadal.

- Zaopiekuj się psem! - rzucił jeszcze przez ramię do Tuckera. - W kuchni jest smycz.

Zniknął. Tucker usłyszał warkot uruchamianego silnika i usiadł na ławce, żeby opanować zawrót głowy.

Amberley dotarł do Upper Nettlefold i przemknął przez High Street do rynku. Podjechał do znajdującej się na rynku stacji benzynowej i zatrzymał się przy dystrybutorach.

- Do pełna! - rzucił w stronę pracownika stacji i wysiadł zatraskując za sobą drzwiczki.

Posterunek policji znajdował się po przeciwnej stronie placu. Sierżant Gubbins siedział w swoim pokoju za drzwiami opatrzonymi napisem NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Amberley wszedł prosto do niego, nie trując pełniącego dyżur policjanta, anonsowaniem jego przybycia. Sierżant uniósł głowę z surową miną, ale zaraz uśmiechnął się widząc, kto przyszedł.

- Dobry wieczór, panie Amberley. Coś nowego? Amberley nie odwzajemnił uśmiechu.

- Sierżancie, niech pan każe temu policjantowi, co siedzi za drzwiami zadzwonić na wszystkie okoliczne posterunki. Niech zatrzymają i przeszukają niebieską limuzynę marki Vauxhall, numer PV 80496.

Sierżant dobrze znał tego swojego Amberleya. Nie tracąc czasu na pytania wstał, podszedł do drzwi i powtórzył polecenie dyżurnemu. Następnie odwrócił się i zapytał:

- Co się stało?

- Dziewczyna została porwana. Może pan zaraz iść ze mną? Sierżant wybałuszył oczy.

- Boże wielki! - wykrzyknął. - Porwana? Gdzie Tucker?

- W Ivy Cottage. Ktoś go ogłuszył. Nic nie widział, nic nie słyszał. Moim jedynym pocieszeniem jest to, że czuje. Idzie pan?

- Momencik, już idę - powiedział sierżant. Wpadł do sąsiedniego pomieszczenia i przeprowadził krótką rozmowę z dyżurnym policjantem, który zaczął już przekazywać wiadomość. Nim skończył i zabrał swój hełm i rewolwer, Amberley wyszedł z posterunku i wrócił do stacji benzynowej.

Sierżant podążył za nim i wsiadł do samochodu. Amberley tymczasem zapłacił za benzynę i nacisnął starter. Sierżant zapytał dokąd jadą.

- Nie wiem - odparł Amberley. W szalonym tempie objechał plac i dojechał do skrzyżowania za hotelem „Pod Głową Dzika”.

Na skrzyżowaniu pełnił służbę ten sam policjant, który pół godziny wcześniej zapisał numer Bentleya. Na widok samochodu uniósł rękę, żeby go zatrzymać. Amberley zahamował przy nim i wychylił się przez okno.

- Czy w ciągu ostatniej godziny przejeżdżał tędy niebieski Vauxhall, pięcioosobowa limuzyna? Numer PV 80496. Myśl, człowieku!

- Nie potrzebuję myśleć nad tym, co zaraz zrobię - rzekł policjant surowo. - Zechce pan podać nazwisko i adres.

Amberley cofnął się za kierownicę. - Niech pan porozmawia z tym durniem.

Sierżant już przygotował się do przemowy. Przemówił językiem, który policjant zrozumiał bez trudu i który słyszał już parę razy w życiu.

- Ale... ale panie sierzancie, podniosłem rękę, a on śmignął obok mnie jak błyskawica. Musiał mnie widzieć, a nawet nie zwrócił na mnie uwagi. Pojechał...

- Dziwię się, że dostrzegł, że za tą podniesioną ręką w ogóle coś jest - powiedział sierżant mało pochlebnie. - Odpowiedz na pytanie, i to szybko. Ten pan to jest sam pan Frank Amberley.

- Nie wiedziałem, kto to jest - powiedział z urazą w głosie posterunkowy. - Wiem tylko, że zlekceważył mój nakaz zatrzymania się.

- Dostyc! Wlepisz mi mandat następnym razem - wtrącił Amberley. - Vauxhall limuzyna PV 80496.

Policjant podrapał się po brodzie.

- Drogą na Lumsden przejechał Morris-Oxford - powiedział. - Ale to nie to.

- O Boże! - westchnął Amberley. - Duży samochód, człowieku! Maski, dwa reflektory...

- Nie, nie widziałem - rzekł posterunkowy takim tonem, jakby był zadowolony, że może tak odpowiedzieć. - Widziałem

Daimlera pana Purvisa, ale nie widziałem żadnego innego dużego samochodu. W każdym razie nie w ciągu ostatniej godziny. Amberley położył rękę na dźwigni biegów.

- Zatrzymaj tę furmankę, co nadjeżdża, bo muszę zawrócić

- powiedział.

- Co się gapiasz? Nie stój jak kołek, zatrzymaj ten wóz!

- rozkazał sierżant. - Boże, w życiu nie widziałem takiego cymbała. Już, panie Amberley, tylko na litość boską, niech pan uważa na tego rowerzystę!

Bentley z rykiem silnika objechał policjanta i pomknął z powrotem High Street.

Policjant, który nadal zatrzymywał konny zaprzęg jak gdyby był w transie, usłyszał niemal niezauważalną przerwę w warkocie motoru podczas zmiany biegów, a potem szum potężnego silnika oddalił się z ogromną prędkością. Policjant ocknął się z transu i uświadomił sobie, że woźnica wymyśla mu z wściekłością.

- Sierżancie, gdzie najbliżej za Ivy Cottage pełni służbę jakiś policjant? - spytał Amberley.

- Nigdzie. Milę dalej, na skrzyżowaniu z drogą na Brighton zwykle jest ktoś ze Związku Automobilowego, ale teraz już nikogo tam nie będzie. Jest za późno.

- Cholera. Dokąd prowadzą przecznice?

- Nie ma przecznic aż do skrzyżowania, nie licząc drogi dojazdowej do Furze Hall. Coś panu powiem! Przed skrzyżowaniem poszerzają most. Będzie tam ktoś kierujący ruchem.

- No to módlmy się, żeby nie był idiotą - odparł Amberley, ostrym łukiem wymijając nieostrożnego pieszego.

Sierżant chwycił się drzwi, żeby utrzymać równowagę i siłą powstrzymał się od komentarza.

- No, nie wiem, ale chyba odwracanie znaku i machanie latarnią nie wymaga wiele rozumu. Niech pan uważa, zaraz będzie zakręt!

- Prowadzenie samochodu proszę zostawić mnie - rzekł Amberley.



Sierżant wstrzymał oddech, gdy samochód bez zwalniania mijał zakręt i ośmielił się wypuścić powietrze dopiero po dłuższej chwili.

- Jestem tutaj już od ładnych paru lat - zaczął wolno.

- Już wkrótce pana tu nie będzie - powiedział Amberley.

- Pewnie że nie, jeśli dalej będzie pan jechał z taką prędkością - odciął się sierżant. - Ale nie to chciałem powiedzieć. Znam tu w okolicy wiele samochodów.

- Jest pan dość rozgarnięty. Sierżant zignorował tę uwagę.

- I wiem, do kogo należy niebieski Vauxhall PV 80496. I powiem panu, że aż mnie zatkało. Przed nami most! Niech pan zwolni!

Pełniący tam dyżur młody człowiek machał niecierpliwie zieloną latarnią, lecz Amberley zahamował. Sierżant, będący bliżej chłopaka, wychylił się i zaczął go wypytywać czy niebieski Vauxhall przejeżdżał przez most.

Chłopak okazał się typowym przedstawicielem swego pokolenia. Prawie wszystkie przejeżdżające samochody oglądał dokładnie i szacował okiem znawcy. Nie interesowały go tablice rejestracyjne, ale jakieś trzy kwadransy temu zatrzymał jakiegoś dużego Vauxhalla, żeby przepuścić jadącą z naprzeciwka ciężarówkę. Wdał się w szczegółowy opis mocy silnika i roku produkcji, ale sierżant przerwał mu w pół słowa.

- Nie zamierzam kupować tego samochodu. Którą drogą pojechał?

Chłopak przyglądał się Bentleyowi z zachwytem. Poruszał bezgłośnie ustami wyliczając jego dane techniczne, ale w końcu, ze strachu przed policjantami, oderwał wzrok od samochodu.

- Najpierw przejechał przez most, panie sierżancie - odpowiedział. - A potem widziałem jak skręca na skrzyżowaniu z głównej drogi.

- Kto w nim był? - odezwał się Amberley.

- Nie wiem, proszę pana - potrząsnął głową chłopak.

- To znaczy, mężczyzna, kobieta, więcej osób niż jedna?

- Nie wiem, proszę pana.

- Nie ma sensu go o to pytać - rzekł sierżant. - Mam siostrzeńca takiego jak on. Nie zauważyłby nawet, gdyby za kierownicą siedział kangur. Niedobrze się robi. Mogą cały dzień mieć ozorem na temat szczegółów technicznych, ale żeby zainteresowało ich coś, co nie porusza się na czterech kołach - co to, to nie!

Bentley ruszył.

- Skrzyżowanie na Brighton - powiedział Amberley. - Zdaje się - mocno mi się zdaje - że cię mam, mój przyjacielu. Sierżancie, będziemy musieli jechać dość szybko.

- No jasne, do tej pory jechaliśmy wolno, no nie? - zauważył zgryźliwie sierżant.

Odczekał aż samochód skręci w boczną drogę prowadzącą na południe i nie widząc przed sobą żadnego bezpośredniego zagrożenia powiedział:

- No, jeśli pan pozwoli... to na czym stoimy, że się tak wyrażę? Zdaje się, że wie pan o niebo więcej ode mnie. Ścigamy pewnego Vauxhalla, który ma nad nami trzy kwadranse przewagi. Chyba wiem, kto prowadzi ten samochód, ale nie mam pojęcia, jakim sposobem się na to odważył. Wiele razy zauważyłem, że ci spokojni są najgorsi. Cała ta sprawa jest obrzydliwa. Jak pan myśli, załatwił dziewczynę? Amberley nie odpowiedział od razu. Samochód skoczył do przodu niczym koń dźgnięty ostrogą. Sierżant odwrócił głowę i spojrzał na Amberleya; Amberley miał tak zaciętą i groźną minę, że potem, kiedy było już po wszystkim, sierżant uznał, że porządnie się wystraszył.

- Jeśli to zrobił - powiedział w końcu Amberley beznamiętnym głosem - jeśli to zrobił, to nie będzie już trudził kata.

Na podstawie tego złowróżbnego oświadczenia w połączeniu z wyrazem twarzy Amberleya sierżant wywnioskował, że odkrył on coś ważnego, chociaż bez żadnej wartości jako dowód. Czując, że sytuacja wymaga taktu, nie skomentował swego spostrzeżenia, poprosił jedynie Amberleya, by postępował rozważnie.

- Nie ma sensu ładować się w dodatkowe kłopoty - mówił.
  - Gdyby pan kogoś zamordował, to co ja miałbym wtedy zrobić?
  - Dokonałby pan sensacyjnego aresztowania - zaśmiał się niewesoło Amberley.
  - Znalazłbym się w trudnej sytuacji, ot co - odparł sierżant.
  - Gdybym sądził, że mówi pan poważnie, to musiałbym zabrać panu tę broń, która wbija mi się właśnie w udo.
  - Bardziej prawdopodobne, że udusiłbym tę świnię gołymi rękami - rzekł Amberley.
  - Nie sądzę, że już ją zamordował. Wierzę w to. A pan niech się rozgląda za jakimś policjantem. Śmierć Marka Browna została uznana za wypadek, ale następny wypadek byłby już trochę podejrzany, łagodnie mówiąc. Shirley musi zniknąć. Nie ma ciała, nie ma morderstwa, sierżancie.
  - Rozumiem. Więc zabrał ją na przejażdżkę i chce zamordować daleko od Upper Nettlefold?
  - Nie, chyba, że jest głupi. Jeśli to zrobi i ciało zostanie odnalezione, to policja trafi do niego. Panna Brown nie ma samochodu. Więc jak znalazła się tak daleko? Każdy sąd uzna, że zawiózł ją tam morderca. To zbyt niebezpieczne. Musi pozbyć się ciała. Niech pan postawi się na miejscu mordercy, sierżancie. Jak by pan to zrobił? Sierżantowi stanęły przed oczami różne makabryczne wizje, ale uznał, że lepiej nie wysuwać żadnej sugestii. Zakochanemu mężczyźnie nie przypadłyby do gustu myśli o poćwiartowanych zwłokach czy zwęglonych szczątkach.
  - Chyba nie będziemy mówić o horrorach - stwierdził surowo.
  - Rozumiem - rzekł Amberley. - Niegaszone wapno. Nie. Nie.
  - Pewnie, że nie. Kto słyszał o czymś podobnym.
  - Myli się pan. Jestem pewien, że pan się myli. On kieruje się na południe. Morze, sierżancie, morze!
- Sierżant przemyślał te sugestie i doszedł do wniosku, że prawdopodobnie jest słuszna.

- Chyba powinniśmy się pospieszyć - mruknął. - O ile nie... Tak czy owak, musimy go złapać i o to tylko chodzi.

Samochód z rykiem przemknął przez małą wioskę; strzałka szybkościomierza pełzała coraz wyżej.

- Nie zabił jej jeszcze - podjął Amberley. Sierżant odniósł wrażenie, że stara się rozproszyc własne wątpliwości. - Nie odważyłby się na takie ryzyko. Przypuśćmy, że miał jakiś drobny wypadek? Przypuśćmy, że go zatrzymano i przeszukano samochód? Jeśli dziewczyna żyje, nie można go wsadzić za morderstwo. Tak będzie rozumował. Musi tak rozumować.

Sierżant zgodził się z nim, lecz w duchu był pełen wątpliwości. Własne doświadczenie zawodowe nauczyło go, że mordercy rzadko planują zbrodnię aż tak starannie. Chociaż z drugiej strony, śmierć Marka Browna została zaplanowana bardzo sprytnie, więc może okaże się, że Amberley się nie myli.

Zamigotały światła jakiejś wioski; Amberley zwolnił do bardziej przyzwoitej prędkości i sierżant wypatrzył policjanta na skrzyżowaniu.

Amberley zatrzymał samochód obok policjanta, lecz tym razem wypytywanie zostawił sierżantowi. W przeciwieństwie do policjanta w Upper Nettlefold, ten okazał się czujnym, młodym człowiekiem. W ciągu ostatniej godziny przejeżdżało niewiele samochodów i był prawie pewien, że jedynym większym była limuzyna Vauxhall. Tylko numer nie był PV 80496, mógł na to przysiąc. Numer tego Vauxhalla, którego on widział, zaczynał się od liter AX. Nie pamiętał całego numeru, ale zdawało mu się, że pierwszą cyfrą była dziewiątka.

Sierżant spojrział na Amberlcya pytająco.

- Niezupełnie pasuje.

- Fałszywa tablica rejestracyjna. Prawdopodobnie takiego numeru w ogóle nie ma. Którędy pojechał? - zwrócił się do posterunkowego.

- Skręcił w tę drogę na prawo - wskazał policjant.

- Rozumiem. Dokąd ona prowadzi?

- No, wie pan, zasadniczo prowadzi do Larkhurst, ale po drodze jest wiele odgałęzień.

- Można nią dojechać nad morze?

- Nie, nie bezpośrednio. Trzeba trochę poskręcać.

- Gdzie?

Policjant zastanowił się.

- No, gdyby pan pojechał przez Six Ash Corner i Hillingdean, to trzeba by zjechać z głównej drogi przy pierwszym napotkanym barze za Ketley. Z drugiej strony, gdyby pan chciał wybrać trochę dłuższą drogę, to trzeba by pojechać prosto na Chingham, a potem dalej do Freshfield, Trensham i dotrzeć nad morze w Coldhaven.

- Dzięki - skinął głową Amberley. - Czy Vauxhall jechał z dużą szybkością?

- Nie, z przeciętną. Amberley zwolnił sprzęgło.

- Moje gratulacje. Jest pan najinteligentniejszym policjantem, jakiego spotkałem przez ostatnie dwa tygodnie.

Samochód ruszył, a sierżant chrząknął i powiedział:

- Bystry jak na posterunkowego.

Amberley uśmiechnął się, jednak raz w życiu powstrzymał się od uszczypliwej uwagi. Całą swoją uwagę skierował na pełną pułapek drogę; w odpowiedzi na pytania sierżant otrzymywał monosylaby, toteż uznał, że mądrzej będzie zrezygnować z prób nawiązania rozmowy.

Podążali trudnym tropem i często go gubili. Vauxhall porzucił główną szosę dla pajęczyny wiejskich dróg. Od czasu do czasu Amberley zatrzymywał się i wypytywał napotkanych ludzi, czy go nie widzieli. W większości przypadków otrzymywał za całą odpowiedź tępy, obojętny, przeczący ruch głowy, ale dwa razy zdobył konkretniejsze informacje. Raz od nocnego stróża kulącego się nad koszem z rozżarzoną koksem w drewnianej budce przy jakichś robotach drogowych.

Vauxhall kierował się na południowy zachód jadąc ze sporą, ale nie oszałamiającą prędkością. Najwyraźniej kierowca nie zamierzał ryzykować wypad-

ku czy zatrzymania przez policję. Wydawało się też, że nie spodziewa się pościgu. Od kiedy zapuścili się w drugorzędne, wyboiste drogi sierżant był pewien - choć nie wypowiedział tego na głos - że mają niewielką szansę na dogonienie samochodu, który zdążył do nieznanego celu i w dodatku ma fałszywe numery rejestracyjne. Jednak po pewnym czasie zaczął sobie uświadamiać, że Amberley uparcie dąży do jakiegoś określonego miejsca. Kiedy zatrzymali się w Hillingdean i sierżant zaczął indagować pełniącego tam służbę policjanta, wyciągnął mapę samochodową i przestudiował ją z uwagą.

Polecenie zatrzymania Vauxhalla wysłane z Upper Nettlefold otrzymały wszystkie posterunki na południu, ale jak dotąd nie przyniosło żadnych rezultatów. Nigdzie nie widziano samochodu

o podanym numerze. Amberley przeklinał samego siebie za podanie tego fatalnego numeru i nie tracił już czasu na wypytywanie o niego.

Do wybrzeża prowadziło wiele dróg, nic więc dziwnego, że sierżant uznał pościg za beznadziejny. Przez wiele mil nie uzyskali żadnej informacji na temat Vauxhalla, lecz Amberley ani na chwilę nie zmniejszył szybkości. Jedynie zwalniał od czasu do czasu, żeby odczytać drogowskazy i ani razu nie zawahał się przed wybraniem kierunku. Stało się już zupełnie jasne, że ma na myśli wyznaczony cel. Nie mógł to być jedynie przypadek, że dwa razy odnaleźli ślad samochodu, kiedy już wydawało się, że zgubili go bezpowrotnie.

Raz, gdy znaleźli się w trudniejszej do orientacji okolicy, Amberley kazał sierżantowi otworzyć mapę i pokierować się do jakiejś wioski, o której sierżant nigdy w życiu nie słyszał. W końcu sierżant odważył się zapytać dokąd jadą. Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć ryk silnika. Amberley wzruszył ramionami i coś powiedział. Sierżantowi udało się dosłyszeć jedno słowo - Littlehaven. Nazwa ta nic sierżantowi nie mówiła. Gdy samochód musiał odrobinę zwolnić na pełnym dziur i wyboi odcinku drogi, sierżant zapytał:

- Skoro jest pan pewien dokąd on pojechał, to dlaczego nie pojedzie pan główną drogą?

- Niczego nie jestem pewien, do cholery! - warknął Amberley. - Mogę zrobić tylko to, co robię!

Sierżant popadł w milczenie. Jazda po złych drogach w przerażającym tempie nie należała do przyjemności, ale był zadowolony, że Amberley wybrał te nieuczęszczane wiejskie drogi - przynajmniej ryzyko wypadku było mniejsze. Wzdrygnął się na myśl, co mogłoby się zdarzyć na głównej szosie. Przez cały czas kurczowo trzymał się drzew, żeby zachować pozycję pionową. Oswoił się już z szaleńczą jazdą i zmysły miał stępiałe, tym niemniej kilka razy przestraszył się nie na żarty. Jednak tylko raz nie wytrzymał i przerwał milczenie. Jakiś nieostrożny rowerzysta omijając dziury zjechał beztrząsco na środek drogi; Amberley wyminął go ostrym, gwałtownym skrętem i koła Bentleya straciły kontakt z nieutwardzoną nawierzchnią.

- Takim, jak pan - wykrzyknął wówczas - powinno się zabronić korzystania ze wszystkiego, co ma więcej mocy niż Ford!

Noc była bezwietrzna, ale pęd powietrza świastał mu w uszach i w pewnym momencie niemal zmiotł mu hełm z głowy. Wcisnął hełm mocniej i pomyślał, że Amberley musiał chyba rozum stracić z niepokoju, żeby w taki przerażający sposób obchodzić się z samochodem.

Wszedł księżyc i wędrował spokojnie na niebie, tylko sporadycznie przesłaniany przez jakąś dryfującą chmurkę. Przejeżdżali przez okolice, których sierżant zupełnie nie znał. Ale na zawsze zachował w pamięci wspomnienie nieutwardzonych dróg z kałużami, w których odbijało się światło księżyca, przemykających mimo żywoplotów, wiosek z ciepłym światłem lamp palących się za niezasłoniętymi oknami, i drogowskazów, które wyciągały odrapane ramiona wskazujące drogę do nieznanych wiosek. Nigdy nie zapomniał wzgórz, które brał szturmem Bentley, nagłych, przyprawiających o mdłości przechyłów, gdy samochód brał ostry zakręt, natarczywego dźwięku klaksonu, który zmuszał wolniej jadące pojazdy do ustąpienia z drogi,

a nade wszystko nie zapomniał twarzy siedzącego obok Amber-leya, który ani na moment nie oderwał wzroku od drogi i zaciskał usta w twardą, bezlitosną kreskę. Przestał wpatrywać się nerwowo w drogę w oczekiwaniu niebezpieczeństwa. Amberley i tak nie zwracał uwagi na jego ostrzeżenia, tylko jechał dalej. Prowadził po mistrzowsku - co do tego sierżant nie miał wątpliwości - ale w sposób skandaliczny. Sierżant zastanawiał się - dość obojętnie - w jakiej znajdzie się sytuacji, jeśli wpadną na coś lub rozjadą. Tak pędzić ponad pięćdziesiąt mil na godzinę, i to kto! On, policjant! Byłaby niezła afera, gdyby tak kogoś zabili. Na przejeździe kolejowym, gdzie musieli zatrzymać się w oczekiwaniu na podniesienie szlabanu, znów odnaleźli trop. I nawet zdruzgotany sierżant musiał przyznać w duchu, że szybkość była usprawiedliwiona; usłyszał bowiem, że Vauxhall przejeżdżał tędy nie więcej jak dwadzieścia minut wcześniej. Ponura, blada twarz Amberleya rozjaśniła się nieco.

- Miałem rację - powiedział wrzucając wyższy bieg po przejechaniu przez tory. - Teraz, sierżancie, przyspieszymy trochę.

- Potem podziękuję za przypomnienie, że to nie wyprawa na majówkę - powiedział sierżant tonem cierpiętnika. - Niech pan uważa na ten autobus, na litość boską! Przed nimi środkiem jezdni włókł się wiejski autobus. Amberley nie zdejmował ręki z klaksonu, lecz autobus niewzruszenie toczył się środkiem. Bentley zjechał na trawę porastającą kępami pobocze i wyprzedził autobus mijając go o centymetry. Trzymający się kurczowo drzwi sierżant wychylił się i obrzucił inwektywami kierowcę autobusu, który i tak już dawno znajdował się poza zasięgiem głosu. Przechył samochodu na ostrym zakręcie rzucił nim na siedzenie. Sierżant otarł twarz chustką i zauważył na głos, że chyba bardziej by im się przydał czołg, a nie jakiś zwykły samochód.



Littlehaven była to rybacka wioska usytuowana na bagnistych halocenach w miejscu, gdzie mała rzeczka wpływała do zatoki, która wdzierała się na milę w głąb lądu. Sama wioska była stara; w jej krętych uliczkach unosiła się woń wodorostów i smoły. W malej zatoczce stały zakotwiczone kutry, a na plaży można było zawsze znaleźć rozciągnięte do naprawy poczerńiałe sieci wydzielające silny zapach rybiej łuski. Nieco bardziej na zachód, bliżej wejścia do zatoki wyrosło osiedle nowoczesnych pawilonów, jako że miejsce było wymarzone do sportów wodnych. W sezonie morze ożywało łódkami i żaglówkami, a jedyny hotel - wysoki budynek górujący nad parterową zabudową - był tak pełen, że mógł pozwolić sobie na żądanie wygórowanych cen za bardzo podłe warunki zakwaterowania. Poza sezonem połowa hotelu była nieczynna, a i pawilony przedstawiały równie opustoszały widok. Większość z nich była własnością przedsiębiorczych kupców, którzy urządzili je z myślą o wynajmowaniu za krociowe sumy przez trzy miesiące w roku i na tym poprzestawali; przez pozostałe dziewięć miesięcy domy stały puste. Wzdłuż brzegu po przeciwnej stronie zatoki stało kilka solidniej zbudowanych pawilonów. Te stanowiły własność prywatną. Znajdowały się w sporej odległości od domów do wynajęcia, gardząc bliskim sąsiedztwem swych skromniejszych sąsiadów, nawet od siebie nawzajem zachowywały dyskretny dystans. Każdy z nich szczycił się sporym ogrodem. Miały nawet osobny dojazd - z miasteczka Lowchester leżącego w głębi lądu, jakieś dziesięć mil od wybrzeża.

Nad zatoką od strony wioski Littlehaven pawilony stawały się coraz skromniejsze, aż w końcu zniknęły zupełnie; u wejścia do zatoki kilka rybackich chat skupiło się wokół latarni Martello.

Gdy wjechali do Littlehaven Amberley nie zatrzymał się, żeby rozpytać o Vauxhalla. Bentley trząśł się i podskakiwał na brukowanych uliczkach dopóki nie dojechali do asfaltowej drogi biegnącej wzdłuż wybrzeża. Samochód wstrzymywany do tej pory przez kocie łby skoczył naprzód i pomknął asfaltową promenadą pomiędzy plażą i zalanym światłem księżycy morzem a rzędem czerwono-białych pawilonów.

Od przejazdu kolejowego Amberleya prześladował pech. Najpierw trafił na roboty drogowe i stracił czas czekając aż z naprzeciwną wąskim, awaryjnym przejazdem przetoczy się w ślimaczym tempie koński zaprzęg; potem w jakimś większym miasteczku musiał zatrzymywać się na każdym skrzyżowaniu, a jeszcze dalej opóźniła go jakaś rozkosznie niefrasobliwa kobieta, która usiłowała skrócić wielkim Humberem w wąską drogę. Blokowała przejazd przez kilka cennych minut; dwa razy zgasł jej silnik, a kiedy Amberley nie odrywał palca od klaksonu, spojrzała na niego z lodowatym oburzeniem. Sierżantowi serce skoczyło do gardła, kiedy - na długo przedtem, zanim kobieta odblokowała drogę - Bentley wyrwał do przodu, wjechał na chodnik i niemal otarł się o ten drugi samochód, który wciąż jeszcze tarasował jezdnię.

Lecz pomimo tego desperackiego manewru bezcenny czas został stracony.

Amberley rzucił okiem na zegarek i zwątpił, czy udało mu się zmniejszyć dystans dzielący go od Vauxhalla.

Na widok morza z refleksami księżycy w wodzie, sierżant ośmielił się powiedzieć, że jest tu pięknie. Nie otrzymał odpowiedzi.

- Dokąd jedziemy? - zapytał.

- To jest zatoka - wyjaśnił krótko Amberley. - Dojeżdżamy do niej. Po drugiej stronie zatoki, czterysta albo pięćset jardów od brzegu jest pewien bungalow. Tam jedziemy.

- Ach tak? - powiedział sierżant. - Pewnie przejedziemy przez zatokę. Albo przepłyniemy w pław.
- Przepłyniemy łodzią - odparł Amberley.
- Wolałbym raczej objechać drogą dookoła - rzekł sierżant.
- Nigdy nie lubiłem wody i chyba już nie polubię. A ponadto nie uśmiecha mi się jazda motorówką z panem u steru, i to szczerza prawda. A poza tym - dodał, jakby nagle przyszło mu to do głowy
- skąd weźmiemy motorówkę o tej porze?
- Czeka już na nas.

Zdumienie sierżanta nie miało granic.

- Dziwi mnie tylko, że nie czeka tu na pana samolot - powiedział. - Szkoda, że pan o tym nie pomyślał. Skąd pan wziął tę motorówkę?
- Wynająłem. Kazałem pewnemu człowiekowi obserwować ten bungalow od tej strony zatoki. On nas przewiezie. Nie odważyłbym się ryzykować jazdy drogą dookoła. Stracilibyśmy za dużo czasu, chociaż Vauxhall pojechał tamtędy. U stóp ogrodu jest drewniany pomost do cumowania.
- Wszystko pan wie, co?
- Powiniennem. Byłem tu rano, żeby wszystko obejrzeć.
- Niech mnie diabli! - wykrzyknął sierżant. - Skąd panu to przyszło do głowy?

Dowiedział się pan czegoś?

- Tak. Dowiedziałem się, że pewna prywatna motorówka została sprowadzona tu z hangaru Mortona, który minęliśmy po drodze i przycumowana do boi ćwierć mili w górę zatoki. Ostatnio przeszła gruntowny przegląd, a co więcej - zbiorniki ma pełne paliwa. Uznałem to za tak interesujące, sierżancie, że zapłaciłem pewnemu robotnikowi portowemu, który mieszka w jednej z chat po tej stronie zatoki, żeby obserwował łódź i dom, a potem opowiedział mi, co widział.

Po tych wyjaśnieniach sierżant nadal był zdziwiony. Miał wielką ochotę zapytać, skąd Amberleyowi przyszło do głowy pędzić ni stąd, ni zowąd do nie znanego nikomu Littlehaven i dlaczego koleje losu jakiejś motorówki w ogóle miałyby go zainteresować, ale pomyślał sobie, że najprawdopodobniej i tak

w tej chwili nie uzyska zadowolającej odpowiedzi. Powiedział więc tylko:

- Jedno muszę przyznać na pańską korzyść: jak na kogoś, kto nie pracuje w policji, jest pan szalenie dokładny. Naprawdę szalenie dokładny.

Promenada skręciła w głąb lądu. Sierżant dostrzegł tafłę wody przed sobą i domyślił się, że dotarli do zatoki. Samochód zwolnił i zatrzymał się przed małą chatą stojącą jakieś pięćset jardów od brzegu. Wyteżając wzrok sierżant był w stanie dojrzeć tylko ciemną linię brzegu po drugiej stronie zatoki i na tle ciemnego nieba zarys czegoś, co mogło być domem.

Amberley otworzył drzwi samochodu i zaczął już wysiadać, gdy nagle zastygł w bezruchu.

- Niech pan słucha! - rzucił.

Poprzez wieczorną ciszę do ich uszu dobiegł przenoszony przez wodę warkot motorówki.

Z drugiej strony ulicy zbliżała się do samochodu jakaś postać.

- Czy to pan? - zawołał ktoś. Amberley obejrzał się szybko. - A to ci dopiero!

Właśnie wybierałem się dzwonić do pana, jak pan kazał. Co za zbieg okoliczności! - mężczyzna dostrzegł hełm sierżanta i dodał: - O rety, to gliniarz?

- Chodź tu, człowieku, i mów coś widział - rozkazał sierżant surowym tonem.

Amberley pomimo opalenizny był bardzo blady. Utkwił wzrok w twarzy robotnika.

- No szybko, gadaj.

- No więc ktoś właśnie wypłynął tą motorówką - zaczął mężczyzna. - Dopiero co wypłynął. Aha, i miał coś ze sobą, niósł to coś na ramieniu. No, pomyślałem sobie, bierzesz ze sobą jakiś bagaż, co? To mógł być jakiś worek. No więc schodzi na dół na ten pomost i ciska ten worek, czy coś, do małej łódki, co była tam przywiązana, jak pan widział rano. No i wyciąga wiosła i wiosłuje w górę zatoki, a ja idę za nim chyłkiem po tej stronie. Dopływa do tej motorówki i wchodzi na pokład razem z tym workiem. Myślę sobie - co tam teraz robisz? - bo nie widziałem wyraźnie. No

i wtedy widzę, czym był taki zajęty. Niech mnie szlag, jak nie przywiązał łódki do motorówki. I wtedy nagle zapala motor i dalej jazda na otwarte morze, a łódka podskakuje za nim. W głowę zachodzę, po co ciągnie za sobą tę łódkę.

Sierżant też zachodził w głowę po co, ale nie powiedział tego na głos. Spojrzał ze współczuciem na Amberleya, który tak zaciskał dłoń na drzwiczkach samochodu, że aż stawy mu pobieły. Relacja robotnika przekonała sierżanta, że Shirley Brown już nie żyje. Nie dziwił się, że Amberley zastygł w bezruchu jak skamieniały. Bardzo chciał wymyślić jakieś słowa pociechy, ale zdobył się tylko, żeby wymamrotać ponuro:

- Chyba przyjechaliśmy za późno.

Amberley skierował wzrok na sierżanta; w oczach miał pustkę, ale mózg pracował gorączkowo.

- Łódka - powiedział. Łódka. To musi coś znaczyć. Boże, dlaczego nie mogę jasno myśleć? - Grzmotnął ręką w samochód, żeby dać upust bezsilności.

- Muszę przyznać, że sam nie pojmuję - rzekł sierżant. - Po co mu łódka, skoro wziął motorówkę?

- Żeby nią wrócić! - zawołał Amberley. - Po co innego? Myśl, człowieku, myśl! Sierżant starał się, jak mógł.

- Czy ja wiem? Chyba nie wysłał w niej... ciała na otwarte morze, nie? Wrzuci... to znaczy chyba raczej bardziej prawdopodobne, że wyrzuci... no, chciałem powiedzieć... - urwał zakłopotany. Przeraził się widząc, że Amberley wpatruje się w niego ze straszną miną.

- Boże, nie, to niemożliwe! - wykrztusił Amberley strasznym, pełnym napięcia głosem.

- Hej! - odezwał się nagle robotnik. - Silnik stanął. Amberley gwałtownie wyprostował głowę. Dychawiczny warkot motorówki, który cichł coraz bardziej, teraz nagle umilkł.

- A to ci dziwna historia - rzekł robotnik. - Nie wypłynął daleko za ujście zatoki. Po kiego czorta miałby się tam zatrzymać?

Amberley aż podskoczył z wrażenia.

- On-nie-może-znieść-martwych-rzeczy! - wyskandował. Wskoczył do samochodu i uruchomił silnik. - Wsiadaj pan! Peabody, przewieź sierżanta na drugą stronę zatoki. Musi pan złapać tego człowieka, sierżancie. Proszę pilnować Vauxhalla, on do niego wróci. Na rany Chrystusa, wsiadźże pan wreszcie!

Wyrzucony z samochodu sierżant znalazł się na drodze. Bentley już ruszył i sierżant zaczął biec obok niego.

- Tak - krzyczał - ale gdzie pan jedzie?

- Za motorówką - odkrzyknął Amberley. - Ona żyje, ty głupcze!

W następnej chwili już go nie było. Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie w osłupieniu. Peabody splunął.

- On jest walnięty. Od razu tak pomyślałem. Sierżant ochłonął.

- To się okaże, czy jest walnięty, czy nie - powiedział. - Chodźmy. Muszę się dostać na drugą stronę, na ten pomost, o którym tyle słyszałem. Żywo!

Bentley rwał naprzód promenadą. Strzałka szybkościomierza pełzła w górę - pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt. Od Littlehaven do zatoki była zaledwie mila; Amberley dotarł do przystani w półtorej minuty i zatrzymał się przy jednym z basenów z takim impetem, że samochodem aż zatrzęsło.

Jakiś mężczyzna w granatowym swetrze zamykał właśnie przystań na noc. Na dźwięk zatrzymującego się samochodu obejrzał się z niejakim zdziwieniem.

Amberley wyskoczył z samochodu.

Gdy do umysłu mężczyzny dotarło, że ów człowiek chce natychmiast wyruszyć w morze, instynktownie rozejrzał się w poszukiwaniu pomocy. Wydało mu się, że jakiś wariat uciekł z domu dla obłąkanych.

- Nie jestem obłąkany - powiedział Amberley. - Działam z ramienia policji. Czy jest tu jakaś łódź gotowa do wypłynięcia?

Z wariatami trzeba łągodnie, marynarz często to słyszał.

230

- O tak, proszę pana, jest tu motorówka cała w gotowości - powiedział i zaczął się wycofywać.

Amberley złapał go za ramię nagłaco.

- Słuchaj pan! - zawołał. - Z zatoki wypłynął pewien człowiek. Muszę dogonić jego łódź. Daję dziesięć funtów za dowieszenie mnie tam na czas.

Marynarz zawahał się i próbował uwolnić ramię z uścisku. Dziesięć funtów to dziesięć funtów, ale ten człowiek to najwyraźniej umyślowo chory.

- Czy wyglądam na wariata? - zapytał z wściekłością Amberley. - Gdzie jest ta szybka łódź, którą zacumował pan tu rano?

Marynarz przyjrzał mu się badawczo.

- Chryste panie, zdaje się, że pan jest tym dżentelmenem z Londynu, co był tu dziś rano i zadawał pytania! - wykrzyknął.

- Jestem. Na litość boską, człowieku, szybko! Dawaj jakąś łódź na chodzie, im szybsza, tym lepsza!

- Czy pan jest detektywem? - zapytał z szacunkiem marynarz.

- Tak - powiedział Amberley bez wahania.

- No, jest tu wyścigowa motorówka pana Bensona i wiem, że ma pół zbiornika.

Wypływał nią dziś, ale nie wiem, ile...

- Dziesięć funtów! - warknął Amberley.

- No, zgoda, ale w razie czego to pana вина! - rzekł marynarz i poprowadził go do basenu.

Motorówka wyścigowa zacumowana była na wodzie w odległości jakichś pięćdziesięciu jardów. Marynarz, skoro już raz się zdecydował, wydawał się rozumieć, że istnieje rozpaczliwa konieczność pośpiechu, toteż podbiegł truchtem do stopni. W niecałą minutę znaleźli się obaj z Amberleyem w przywiązany przy pomoście pontonie. Marynarz odczepił ponton i umocował wiosła.

Motorówka przykryta była plandeką, którą szybko zdarli. Marynarz uruchomił silnik.

- Jeszcze ciepła - powiedział. - Ma pan szczęście, co?

Amberley siedział już przy sterze. - Mam nadzieje - odparł sucho.

Motorówka ruszyła lawirując pomiędzy łodziami zacumowanymi w przystani.

Marynarz zorientował się, że jego dziwny pasażer urnie sterować; nabrał animuszu i po wyjściu z przystani z własnej woli, bez ponaglenia zwiększył obroty silnika. Pod dziobem zakipiała biała piana, warkot przybrał niższe tony.

W świetle księżycy morze było srebrzyste - i puste. Amberley trzymał kierunek na południowy zachód sterując do punktu na morzu, gdzie - jak oceniał - powinien dogonić wolniejszą łódź. Minuty wlokły się; Amberleyowi wydawały się godzinami. Hałas silnika grzmiał w uszach. Amberley gestem nakazał marynarzowi zgasić silnik.

Marynarz wykonał polecenie. Nagła cisza spowiła ich niczym gęsta chmura. Łódź sunęła jeszcze poślizgiem jakiś czas, potem zatrzymała się i zaczęła się kołysać.

Obaj zaczęli nasłuchiwać; do uszu Amberleya dotarł dźwięk, o jaki mu chodziło. W oddali inna motorówka pruła fale w kierunku otwartego morza. Amberley przekreślił koło sterowe i kazał marynarzowi zapalić silnik. Łódź śmignęła naprzód nieco zmienionym kursem.

Amberley utrzymywał ją na tym kursie przez następne pięć minut, po czym ponownie dał znak marynarzowi, żeby zgasił silnik. Tym razem hałas drugiej motorówki rozbrzmiewał bliżej.

- Jest tam! Naprzód! - zawołał Amberley.

Marynarz ponownie uruchomił silnik i zaczął się zastanawiać, kto może być w tej ściganej łodzi; żałował, że wcześniej nie zapytał. Teraz, w hałasie silnika jego głosu nie byłoby słyszeć, więc musiał się zadowolić własnymi domysłami, choć czuł, że żaden z nich nie jest prawdopodobny. Nie odrywał wzroku od Amberleya gotów na kolejny sygnał z jego strony. Sygnał nadszedł już za chwilę.

Tym razem ciszy nie zakłócał żaden dźwięk.

Marynarz był zdezorientowany.

- Myślałem, że już ją mamy, płynęliśmy przecież dobrym kursem. Co się stało?



Amberley wyciągnął z kieszeni latarkę, skierował jej silny promień na wodę i zaczął nim zakreślać szeroki łuk. Smuga światła sięgała dwustu jardów, ale oprócz pomarszczonej, srebrzystej tafli nie było nic.

- Szybko! Zapalaj! - wyrzucił z siebie Amberley. - Moc do połowy!

Motorówka zaczęła zataczać kręgi, a skierowany przed dziób promień latarki zakreślał świetlny łuk.

- Za późno... Boże, za późno! - powtórzył Amberley zdławionym głosem.

Krąży w kółko; a jednak to chyba wariat, pomyślał marynarz. Nagle Amberley gwałtownym ruchem przekręcił ster; wzrok miał utkwiony w jakiś ciemny kształt ledwo widoczny nad powierzchnią wody.

- Naprzód! - huknął ostro Amberley. - Idzie pod wodę bardzo szybko!

- Jezu! - wykrzyknął marynarz ze zdumieniem; nie był przygotowany na coś podobnego. - Idzie pod wodę?

- Naprzód, do cholery!

Motorówka nabrała szybkości. Po chwili zobaczyli poszukiwaną łódź - rufa znajdowała się już pod wodą. Zbliźali się pełną mocą silnika.

- Powoli! - rozkazał Amberley i zakręcił sterem, żeby skierować motorówkę wzdłuż burty drugiej łodzi. - Stop!

Hałas silnika zamarł. Ślizgacz sunął łagodnie przez kilka stóp, po czym zatrzymał się i zaczął się kołysać obok tonącej łodzi.

Łódź była do połowy zalana wodą. Amberley odrzucił latarkę, by mieć wolne obie ręce. Blask księżyca był dość jasny, żeby mógł dojrzeć to, czego szukał. Tuż nad powierzchnią wody, oparta o burtę spoczywała biała twarz do połowy zakryta okręconym szalikiem.

- Boże wszechmogący! - zawołał marynarz bez tchu. - To kobieta!

Amberley przechylił się przez burtę i chwycił Shirley. Była nadspodziewanie ciężka. Domyślił się, że jest przywiązana i obciążona.

- Już dobrze, dziecino, już dobrze, Shirley - powtarzał Amberley. - Nóż, szybko! - rzucił przez ramię.

Marynarz, który stał w motorówce i jedną ręką trzymał się tonącej łodzi, szybko wyciągnął z kieszeni składany nóż i podał go Amberleyowi. Amberley otworzył nóż, przechylił się przez burzę i po omacku pod wodą zaczął szukać więzów. Trafił ręką na coś twardego wokół talii Shirley; wyczuł ogniwa żelaznego łańcucha i sznurek, którym były związane ze sobą. Przeciął sznurek i w następnej chwili trzymał dziewczynę w ramionach. Ułożył ją na dnie ślizgacza. Była śmiertelnie blada, ale oczy miała szeroko otwarte. Wpatrywała się w Amberleya z niedowierzaniem. Ręce i nogi miała mocno związane; wstrząsały nią dreszcze. Amberley odwiązał szalik i wyjął jej z ust knebel. Potem wyciągnął z kieszeni piersiówkę, oparł dziewczynę na swoim ramieniu i przyłożył butelkę do jej sinych warg.

- Wypij to, Shirley! Tak, rozwiążę to, ale najpierw wypij. Grzeczna dziewczynka!... Zabierz ją na brzeg jak najszybciej, marynarzu.

- Aye, aye, sir. Może pan na mnie liczyć - odparł marynarz. - Proszę tylko odbić od tego wraka... dziękuję, kapitanie!

Przejął ster od Amberleya i skierował dziób łodzi w stronę portu.

Amberley ukląkł przy Shirley i przeciął krępujące ją więzy; na przegubach miała głębokie ślady. Usta jej drgnęły w słabym uśmiechu.

- Pan... zawsze... zjawia się... na czas - powiedziała szcękając zębami. -  
Dzię...dziękuję!

Shirley odczuwała skutki przemoczenia i szoku po dramatycznych przeżyciach. Koniak, co prawda, usunął siny cień z warg, ale dziewczyna leżała na wprost przytomna w łodzi, która płynęła z powrotem do portu.

Amberley niewiele mógł dla niej zrobić. Opatulił ją swoim płaszczem, ale pod spodem miała własne ubranie, zupełnie przemoczone. Była bardzo zimna, zaczął więc rozcierać jej ręce i stopy. Oczy miała zamknięte i czarne, mokre rzęsy spoczywały na policzkach.

Marynarz ze współczuciem udzielał rad, a raz zawołał Amberleyowi do ucha: - Kto to zrobił? - a gdy nie otrzymał odpowiedzi pochylił się i wyznał przekrzykując hałas silnika: - Myślałem na początku, że pan jest stuknięty.

Na nabrzeżu znajdowała się gospoda i po powrocie do przystani Amberley zaniósł tam Shirley prowadzony przez marynarza. Na ich widok zza baru wyszła właścicielka gospody, niesamowita blondyna o monstrualnych kształtach. Pomimo wyglądu okazała się osobą sprawną i energiczną, której wystarczył jeden rzut oka, żeby zorientować się w sytuacji. Marynarz, zadowolony, że ma się przed kim wygadać, zagłębił się w szczegółowy opis akcji ratunkowej. Amberley tymczasem ułożył Shirley na kanapie w prywatnej sali.

- Żyje, dzięki Bogu! - powiedziała właścicielka gospody i tonem nie znoszącym sprzeciwu poleciła Amberleyowi zanieść dziewczynę na górę. Następnie gromkim krzykiem poleciła komuś - sądząc po sile jej głosu, osoba ta musiała znajdować się chyba gdzieś w odległości co najmniej jednej mili - przynieść

wiadro z węglem do najlepszego pokoju, po czym wytoczyła się z sali kazać Amberleyowi iść za sobą.

Amberley zaniósł Shirley na górę i położył ją - zgodnie z poleceniem - na wielkim, mahoniowym łożu w pokoju, w którym unosił się zapach pleśni. Wówczas gospodyni poinformowała go, że nie jest już potrzebny, więc wycofał się z przeświadczeniem, iż Shirley znajduje się w dobrych rękach i zszedł na dół.

W barze marynarz raczył obecnym opowieścią, w której nie brakowało nawet najdrobniejszych szczegółów. Nie chciał absolutnie przyjąć od Amberleya dwóch banknotów pięciofuntowych, ale po krótkich namowach dał się przekonać.

Amberley wychodząc z gospody usłyszał, jak stawia wszystkim szczodłą ręką. Było bardzo prawdopodobne, że upłynie niedużo czasu, a razem z kumplami zostanie wyrzucony na ulicę; Amberley miał nadzieję, że marynarz nie zakończy wieczoru w areszcie.

Bentley stał na przystani w tym samym miejscu, w którym go zostawił. Wsiadł do niego, zawrócił i ruszył do przodu. Było już po ósmej i zrobiło się chłodno.

Amberley dotknął płaszcza i przekonał się, że jest zdecydowanie zbyt wilgotny, żeby go założyć, rzucił go więc na tylne siedzenie.

Jechał szybko, lecz z przyzwoitą prędkością i zahamował przed chatą robotnika portowego. Nie zdążył się jeszcze zatrzymać na dobre, gdy z chaty wyskoczył sierżant.

- Czy to pan, panie Amberley? - spytał, choć pytanie brzmiało raczej jak stwierdzenie. - Boże, ale się denerwowałem. Nie było pana prawie godzinę. Dogonił pan tę łódź? Gdzie pan był?

- W barze - odparł Amberley; najwyraźniej doszedł już do siebie.

- W... w... ach tak, w barze, co? - sierżant z osłupienia aż się zająknął. - Dobrze się pan pewnie bawił.

- Bardzo dobrze - przyznał Amberley. - Złapał go pan?

- Nie - odparł sierżant z goryczą. - Nie złapałem. A dlaczego? Bo ten tu skończony dureń nie pomyślał o tym, żeby nalać paliwa do motorówki.

Sierżant uświadomił sobie nagle, że z twarzy Amberleya zniknęła ponura bladość. Dobry Boże, nie chce mi pan chyba wmówić, że ją pan znalazł?

- O tak, znalazłem ją - odparł Amberley. - Jest teraz w barze, o którym wspomniałem.

- Żyje? - zapytał nedorzecznie sierżant.

- Żyje, ale jest nieprzytomna. Właśnie czekam, żeby doszła do siebie i opowiedziała, jak to się stało.

Sierżant ze wzruszeniem uściśnął mu dłoń.

- Panie Amberley, nie pamiętam kiedy tak bardzo się z czegoś cieszyłem. Jest pan wspaniały, po prostu wspaniały!

- Przecenia mnie pan! - roześmiał się Amberley. - A co się działo z panem?

Radosny uśmiech znikł z twarzy sierżanta.

- Słusznie, może pan pytać - odparł z rozgoryczeniem. - Czekająca motorówka! O tak, czekała jak się patrzy, tyle że bez kropli paliwa! Kiedy pan tak nagle odjechał, to ja kazałem temu całemu Peabody'emu ruszać żwawo. No więc ruszamy obaj nad zatokę, gdzie miała być ta łódź. No i była, oczywiście. Co więcej, była nawet przygotowana mała łódka z wiosłami, żeby się do tej motorówki dostać. Nie lubię tych małych, chyboczących łódek. Ten, kto je wymyślił, nie pomyślał o ludziach moich rozmiarów. Ale znam swój obowiązek, więc wsiadłem. No więc Peabody powiosłował do motorówki. Nieźle mu to nawet szło, choć robił niestosowne uwagi na temat grubasów, do czego nie jestem przyzwyczajony i czego nie zamierzam znosić cierpliwie. Mniejsza z tym, to nie ma nic do rzeczy. Więc dopłynęliśmy do tej motorówki i przybiliśmy do burty. No i założę się, że ten półgłówek specjalnie odczekał, aż wleżę na tę cholerną łódź

I dopiero wtedy przypomniał sobie, że nie nalał paliwa. Tak, może się pan śmiać. Nie wątpię, że nic nie sprawia panu większej przyjemności, jak gramolenie się z jednej łodzi na drugą, kiedy to cholerstwo podskakuje w górę i w dół i usuwa się spod nóg, a to

wszystko przez takiego durnia, co przez pół minuty nie może jej przytrzymać bez ruchu.

- Zdaje się, że Peabody zabawił się pańskim kosztem, sierżancie.

- Gdyby tak było, to... - zagrmiał sierżant - no, właściwie to nie wiem, co bym zrobił, choć pewnie miałbym ochotę zrobić mu coś złego. Wielką ochotę. No więc przypomniał sobie o tym paliwie, jak mówiłem, i musiałem przeleźć z powrotem. Sam nie wiem, co było gorsze: wyłazenie z tej muszelki czy włożenie do niej na powrót. Jakoś mi się udało. Kazałem mu wiosłować szybko do pomostu. Tylko to mogłem zrobić, skoro motorówka była do niczego, a musiałem się jakoś dostać na drugą stronę zatoki. Już nie będę powtarzał, co ten Peabody mówił, bo nie cierpię donosów, ale...

- Powiedziałem - odezwał się jakiś głos, w którym brzmiała złośliwa satysfakcja - powiedziałem tylko, że nikt mi nie zapłacił za to, żebym przewoził tego hipopotama na drugą stronę zatoki w małej łódce z wiosłami, nic więcej.

Sierżant obrócił się na pięcie i zobaczył w progu chaty Peabody'ego.

- Wystarczy! - powiedział. - Nie ma potrzeby, żebyś się tu kręcił. Przestań pyskować, bo pożałujesz, to ci obiecuję. Utrudniałeś działanie policji, a to też przestępstwo.

Peabody wycofał się; pogróżka sierżanta poskutkowała na niego uspokajająco.

- Niech pan nie zwraca na niego uwagi - zwrócił się sierżant do Amberleya.

- Ale chciałbym wiedzieć, czy widział pan kogoś, kto wiosłował do tego pomostu - powiedział Amberley.

- Do tego zmierzam - odpowiedział sierżant. - Jak by tu powiedzieć, widziałem i nie widziałem. Zmusiłem tego durnia, żeby mnie przewiózł przez zatokę, ale cały kłopot w tym, że to tak daleko, a ten idiota płynął tak powoli. Właśnie zbliżyliśmy się na tyle, żeby widzieć pomost, kiedy z takiej samej małej łódki jak nasza wyszedł na brzeg jakiś człowiek i przywiązał łódkę do

słupka. I może będzie pan na mnie zły za to, co zrobiłem, bo miałem w kieszeni latarkę, ale pomyślałem sobie tak: ten facet nie widział naszej łódki, a co za tym idzie - nie wie, że jest śledzony. Gdybym zapalił latarkę i próbował dojrzeć jego twarz, zorientowałby się, że ktoś go śledzi i zwiąłby migiem, zanim ja dotarłbym do brzegu. Nie, mówię sobie, lepiej siedzieć cicho i zmusić tego bęcwała Peabody'ego, żeby wiosłował z całych sił. I tak zrobiłem. Ale zanim przybiliśmy do brzegu usłyszałem, że gdzieś za domem ktoś uruchamia silnik, a zaraz potem zobaczyłem światła samochodu. Peabody mówił, że ta droga, którą odjechał prowadzi do Lowchester.

- Rozumiem - rzekł Amberley. - Szkoda. Ale w sumie chyba dobrze pan zrobił.

- Kamień spadł mi z serca - odetchnął z ulgą sierżant.

- A skoro panna Brown żyje, to zdąży go zidentyfikować. Choć i bez tego wiemy, kim jest morderca, no nie?

- Na pewno, sierżancie?

- No, no, proszę pana! - powiedział pobłażliwym tonem sierżant. - Niech pan nie zapomina, co powiedziałem po tym, jak zginął Albert Collins!

- Nie zapomniałem. Coś jeszcze?

- Tak jest. Odcisk buta, ślady opon. Im szybciej dotrę na tutejszy posterunek, tym lepiej, bo trzeba zrobić odlewy. To ślady dużych stóp, większych niż się spodziewałem.

- Sierżancie, jest pan nieoceniony - rzekł Amberley. - Zaraz będzie pan na posterunku. Niech pan wskazuje drogę.

Zadowolony z pochwały sierżant wsiadł do samochodu.

- No, wie pan, starałem się jak mogłem, mam tylko nadzieję, że zakończy się to wszystko aresztowaniem.

- Będzie pan miał swoje aresztowanie - obiecał Amberley.

- Chyba za tę sprawę należy się panu awans. Szkoda, że nie widziałem jak pan przełaził do tej motorówki.

- Tak, co do tego nie mam wątpliwości. Ale zamiast ciągle gadać o mnie i tej motorówce, może by mi pan powiedział, kogo ścigaliśmy tym razem?

- Myślałem, że pan wie - zdziwił się Amberley.  
- Mam pewne wątpliwości - przyznał szczerze sierżant.  
- Kiedy powiedziałem to o Balcerze, to miałem na myśli...  
- Niech pan nie psuje mojego dobrego zdania o pańskiej inteligencji. Powiedział pan wtedy, że to mój człowiek.  
- Przypuśćmy, że tak powiedziałem. I co? - powiedział ostrożnie sierżant.  
- Miał pan zupełną rację. To mój człowiek. Mój służący. Sierżant osłupiał, lecz zaraz opanował się.  
- To właśnie chciałem powiedzieć, gdyby pan mi nie przerwał  
- powiedział bezczelnie. - Od razu się tego domyśliłem.  
- Tak? - Amberley uśmiechnął się drwiąco. - Tak samo, jak domyślił się pan, kto jest naprawdę przestępcą?  
- Niech pan słucha! - rzekł sierżant. - Jeśli to nie Baker, to o ile rozumiem, pozostaje tylko jeden człowiek, to znaczy Fountain.  
- Nareszcie! - westchnął Amberley. - Oczywiście, że to Fountain.  
- Wszystko pięknie, ale po co miałby mordować pannę Brown?  
- Bo jest jego kuzynką - odparł Amberley. .  
- Ach tak - rzekł sierżant. - Bo jest jego kuzynką. I to oczywiście wszystko wyjaśnia, tak?  
- Powinno, jeśli umie pan dodać dwa do dwóch. Sierżant wciąż jeszcze próbował obliczyć tę prostą sumę, kiedy samochód zatrzymał się przed posterunkiem policji. Amberley wysadził go i pojechał na przystań do gospody.  
Złotowłosa właścicielka gospody powitała go pocieszającą wieścią: ta biedna dziewczyna rozgrzała się już i właśnie pije gorący bulion. Może do niej pójść, jeśli chce.  
Shirley siedziała na podłodze przed kominkiem, w którym płonął wielki ogień. Popijała gorący bulion i suszyła swoje krótkie, kręcone włosy. W szlafroku gospodyni, opatulona szalami wydawała się bardzo drobna. Gdy rozległo się pukanie, od razu odgadła, kto stoi za drzwiami.



- Proszę - powiedziała dość nieśmiało.

Amberley wszedł i zamknął za sobą drzwi. Podeszedł do kominka i spojrzął w dół na Shirley z uśmiechem w oczach.

- No cóż, panno Shirley Brown - powiedział. - Stale spotykam panią w dziwnych okolicznościach, prawda?

Zaśmiała się krótko i wzdrygnęła się.

- Niech pan przestanie! - spojrzała na niego i zaraz opuściła głowę. - Muszę wyglądać okropnie. Proszę usiąść. Jeszcze... jeszcze panu nie podziękowałam.

Usiadł w pluszowym fotelu.

- Ależ podziękowała pani! Pani maniere bardzo się poprawiły. Podziękowała mi pani od razu.

- Tak? - uśmiechnęła się. - Nie pamiętam. Ja... Kiedy usłyszałam motorówkę... miałam przeczucie, że to pan. Czy... czy to ten policjant powiedział panu, co się stało?

- Tucker? Nie, nie miał pojęcia, co się stało. Przepraszam, że zapewniłem pani tak bezużytecznego opiekuna. Przywiodła mnie tu moja własna intuicja. A propos, Bill wyskoczył przez okno w kuchni. Zostawiłem go pod opieką Tuckera.

- To miło, że się pan o niego zatroszczył - powiedziała Shirley. Czowała się onieśmielona, jak nigdy dotąd.

- Jestem miły - zauważył chłodno Amberley. Roześmiała się i policzki się jej zaróżowiły.

- Tak, wiem.

- Nie chciałbym pani męczyć, ale jest coś, co nie daje mi spokoju. Co pani zrobiła ze swoją połówką?

Drgnęła i spojrziała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Z moją... moją połówką?

- Chyba nie miała jej pani przy sobie?

- Nie - powiedziała z tępym osłupieniem.

- Więc co pani z nią zrobiła? Zostawiła ją pani gdzieś beztrosko, tak jak rewolwer?

Niech się pani skupi, to ważne. Pani niedoszły morderca wiedział, że pani to ma.

Felicity się wygadała, niech ją diabli. Dlatego chciał się pani pozbyć.

- Felicity? - powtórzyła jak echo. - Skąd ona mogła wiedzieć?  
- Wcale nie wiedziała. Ale za to wiedziała, że mój wuj zostawił w pani rękach tę książkę i powiedziała o tym przy wszystkich.  
Shirley odgarnęła włosy z twarzy.  
- Nie rozumiem. Nie pojmuję, skąd pan wiedział o książce. Kto panu powiedział?  
- Nikt mi nie powiedział. Musisz zacząć doceniać moją inteligencję, dziewczyno. Dwa razy włamano się do Greythorne po tę książkę. Więc naturalnie przyjąłem założenie, że Collins wybrał ją sobie za schowek. Tylko że w książce nic nie było. Dzięki pani niechęci do zwierzeń, zupełnie nie miałem pojęcia gdzie może być ta połowa. Dopiero dziś dowiedziałem się, że wuj zostawił książkę na dziesięć minut w hotelu. Gdzie to było?  
- W grzbiecie książki, wepchnięte za zszycie - odparła jak zahipnotyzowana. - Znalazłam zupełnie przypadkowo. Ale to i tak na nic. Collins nie żyje, a on miał drugą połowę. Wszystko na nic.  
- Wręcz przeciwnie - zaproponował Amberley. - To była właśnie połowa Collinsa.  
- Tak, wiem. Ale Collins znalazł tę połowę, którą miał Dawson.  
- Nie chciałbym się z panią sprzeczać, ale Collins nic podobnego nie zrobił. To ja mam tę połowę, którą miał Dawson.  
- Pan? - wykrztusiła. - Pan ją ma? Ale... ale skąd pan wiedział o jej istnieniu? Gdzie ją pan znalazł?  
- Wyjąłem ją z szuflady w pewnej komodzie - uśmiechnął się. - Nie domyśliła się pani?  
Potrząsnęła głową bezradnie.  
- Myślałam, że mają Collins. Nigdy nie pomyślałam o panu. Czy pan wiedział, gdzie ona jest?  
- Nie, ale poszedłem za panią na górę, kiedy poszła jej pani szukać pierwszy raz. Kiedy Collins panią wystraszył, zbadałem tę

szufladę. Była w niej połowa testamentu, która należała do Dawsona. To potwierdziło moje podejrzenia.

- Gdzie pan był? - zapytała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Nie widziałam pana! To nie do wiary. Byłam pewna, że Collins zdążył do komody przede mną!

- Stałem za kotarą w tym łukowym przejściu pomiędzy hallem i korytarzem. Kiedy razem z Collinsem ruszyliście w moją stronę, wykonałem strategiczny odwrót do najbliższej sypialni. Bardzo proste.

Spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

- Naprawdę? Ale skąd pan wiedział, kim jestem? Lady Matthews nie widziała mnie przedtem ani razu, więc to nie ona panu powiedziała.

- Cioteczka Marion? - zainteresował się. - Czy chce pani przez to powiedzieć, że ona wie? - Shirley potwierdziła skinieniem głowy. - A więc wołała pani zaufać jej niż mnie.

Shirley nagle odczuła dziwne pragnienie, by zaprzeczyć.

- Nie, to nie tak, naprawdę! Ona wiedziała, kim jestem, jak tylko mnie zobaczyła. Powiedziała mi o tym dzisiaj, kiedy... kiedy poprosiłam ją, żeby przysłała pana do mnie. Wie pan, jestem bardzo podobna do ojca. Rozpoznała mnie.

- Naprawdę? - zaśmiał się cicho. - Bardzo przebiegła jest cioteczka Marion. Moje podejrzenie wzbudził pewien portret wiszący w Norton Manor. Uderzające podobieństwo. Ale to wszystko nie wyjaśnia tego, co chcę wiedzieć. Co pani zrobiła ze swoją połową testamentu?

- Włożyłam do koperty i wysłałam do lady Matthews przed pójściem do Ivy Cottage - wyjaśniła Shirley. - Nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Dzięki Bogu! - odetchnął Amberley. - To jedyna rozsądna rzecz, jaką pani do tej pory zrobiła. - Spojrzał na zegarek.

- A teraz, moja droga, w każdej chwili może się zjawić tutaj sierżant Gubbins i będzie chciał od pani zeznanie. Zanim przyjdzie, mam pytanie. I chciałbym usłyszeć jasną odpowiedź, jeśli można. Wyjdiesz za mnie?

Przez moment zdawało się jej, że źle dosłyszała. Gapiła się na niego zdumiona.

- Ale przecież pan mnie nie lubi! - powiedziała w końcu niezbyt mądrze, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

- Bywają chwile, że z rozkoszą bym cię udusił - przyznał. Musiała się roześmiać.

- Och, jesteś niemożliwy! Jak możesz chcieć się ze mną ożenić?

- Nie wiem, ale chcę.

- Dawno temu powiedziałaś, że mnie nie lubisz.

- I po co się tak tego uczepliłaś? Wcale cię nie lubię. Jesteś uparta, zawzięta i obrzydliwie skryta. Twoje maniery są skandaliczne i jesteś nieznośna. Uwielbiam cię.

Pochylił się, wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- I podejrzewam, że zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia.

Bez przekonania próbowała uwolnić rękę.

- Nieprawda. Byłeś dla mnie wstrętny.

- Możliwe - odparł. - Ale gdybym się od razu nie zakochał, to dlaczego, do diabła, zataiłem przed policją twoją obecność przy zwłokach Dawsona?

Nagle poczuła, że stoi, i że on stoi bardzo blisko niej. Nie bardzo wiedziała, jak to się stało, wcale nie zamierzała dać się podnieść z podłogi. Z wielką uwagą zaczęła studiować wzór na jego krawacie.

- Wcale nie wiem, czy mam ochotę wyjść za mąż za kogoś, kto ma mi tyle do zarzucenia - burknęła słabym głosem.

Amberley chwycił ją w ramiona.

- Najdroższa, uważam, że jesteś cudowna! - powiedział ochrypłym głosem.

Panna Shirley Brown, która dopiero co uniknęła śmierci przez utopienie, stwierdziła, że czeka ją jeszcze gorszy los. Wydawało się prawdopodobne, że przynajmniej jedno żebro jej pęknie, ale nie uczyniła najmniejszego wysiłku, by uwolnić się z miażdżącego uścisku, który pozbawił ją powietrza w płucach.

- Najmocniej przepraszam, ale pukałem dwa razy - rozległ się od progu  
przepraszający, choć nie pozbawiony wyrzutu głos sierżanta.

Była jedenasta wieczorem, gdy układająca pasjansa lady Matthews usłyszała charakterystyczny dźwięk silnika Bentleya, który zbliżał się podjazdem. Jej mąż i córka, którym nie udało się wydobyć z niej ani słowa, wydali z siebie dwa oddzielne westchnienia ulgi.

Lady Matthews uniosła wzrok znad kart.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - Wyszedł mi trzy razy z rzędu. Ciekawe czy przywiózł ją tutaj.

W hallu rozlegały się kroki lokaja i otworzyły się drzwi wejściowe. Po chwili do pokoju weszła Shirley w stroju, który w sposób oczywisty nie należał do niej. Tuż za nią pojawił się Amberley.

Lady Matthews wstała.

- Wiedziałałam, że wszystko w porządku - powiedziała pogodnie. - Tak się cieszę, moje dziecko. Powiedziałaś Frankowi?

Shirley wzięła ją za rękę.

- On wiedział - powiedziała. - Chyba byłam bardzo niemądra. W każdym razie Frank tak twierdzi.

Sir Humphrey założył okulary, żeby przyjrzeć się jej lepiej, po czym spojrzał zdezorientowany na siostrzeńca.

- Podziwiasz kreację Shirley? - uśmiechnął się Amberley. - Ładna, no nie? Należy do właścicielki pewnej gospody w Lit-tlehaven. Czy mógłbyś pójść do gabinetu? Wepchnąłem tam sierżanta Gubbinsa. Chce dostać nakaz aresztowania Fountaina.

- Nigdy nie lubiłam tego człowieka - stwierdziła lady Matthews.

- Nakaz aresztowania Fountaina? - powtórzył sir Humphrey. - Wielki Boże, a pod jakim zarzutem?

- Na początek wystarczy usiłowanie morderstwa. Sierżant ci wszystko opowie. Ciociu, przyszła wieczorna poczta?

- Oczywiście, Franku - lady Marion wyciągnęła kopertę z pudełka do robótek i spojrzała na Shirley. - Mam to dać jemu, moje dziecko?

- Tak, proszę - powiedziała z westchnieniem Shirley. Amberley wziął od ciotki kopertę i rozdarł. Przed wyjęciem

zawartości spojrzał z zaciekawieniem na ciotkę i spytał:

- Co tam jest, ciociu?

Lady Marion pociągnęła Shirley bliżej ognia.

- Prawdopodobnie testament Jaspera Fountaina - odrzekła.

- Powinni cię spalić na stosie - oznajmił Amberley. - To ewidentny przykład czarnej magii. Ale jest tu tylko połowa testamentu.

- Ach, to by wszystko tłumaczyło - powiedziała. - Lepiej go sklej. Gdzieś tu powinna być taśma klejąca. Moje dziecko, czy on próbował cię zamordować? Usiądź, proszę.

Amberley wyjął z koperty oddartą połowę dokumentu i położył ją na stoliku do kart. Z portfela wydobył podobny fragment.

- Zdaje się, że jesteś pewna, że to ja mam drugą połowę - zauważył.

Lady Matthews dołożyła drewna do ognia.

- Gdybyś nie miał, mój chłopcze, to nie umiałabym sobie wyobrazić, co robiłeś przez cały ten czas.

- Mam - podszedł do sekretarzyka lady Matthews. - Gdzie jest ta taśma? Mogę zajrzeć do szuflady?

- Proszę bardzo. Pełno rachunków, ale taśma też jest. Felicity, kochanie, powiedz Jenkinsowi, żeby przyniósł coś do jedzenia i wino. On będzie wiedział.

Felicity w końcu odzyskała zdolność mówienia.

- Jeśli ktoś mi zaraz nie powie, o co tu chodzi, to dostanę histerii! - oznajmiła. - Jestem już tego bardzo bliska. Kim pani jest i dlaczego ma pani na sobie ten koszmary strój i... och, o co tu w ogóle chodzi?

- Daj jej teraz spokój, kochanie. To wnuczka Jaspera Fountaina. Wychodzi za mąż za Franka. Bardzo stosowne. Zapomniałam ci pogratulować, moje dziecko. Czy też może powinnam pogratulować tylko Frankowi? Nigdy tego nie wiem.

Amberley obrócił się na pięcie z taśmą w dłoni.

- Cioteczko, ty naprawdę jesteś czarownicą!

- Ależ skądże! To zupełnie oczywiste. Zaręczone pary zawsze wyglądają tak samo. Felicity, jedzenie i burgund.

- Jestem bardzo głodna, lady Matthews - wtrąciła Shirley - ale za wino bardzo dziękuję. Pan Am... to znaczy Frank wlał we mnie mnóstwo brandy, kiedy mnie uratował. Już nie mogę więcej alkoholu.

- Rób, co ci każą - rzekł Amberley. - To było dwie godziny temu. I chyba przyda się jej łóżko, ciociu.

Felicity, która właśnie wróciła do salonu, podeszła do Shirley i stanowczym gestem wzięła ją za rękę.

- Chodź! - powiedziała. - Jesteś mniej więcej mojego wzrostu. Nie możesz dłużej paradować w tym stroju. Dostaję bóleści na jego widok.

- Ona idzie do łóżka - powiedział Amberley. Shirley wstała.

- Nie mam najmniejszego zamiaru. Spałam całą powrotną drogę i w ogóle nie jestem zmęczona. Za to chciałabym pozbyć się tego stroju.

- Możesz myśleć, że nie jesteś zmęczona - upierał się Amberley - ale...

- Och, zamknij się, Frank! - przerwała mu Felicity. - Jasne, że nie pójdzie spać, dopóki nie skończy się całe to zamieszanie. Chodź, Shirley, nie zwracaj na niego uwagi. To dureń.

Amberley zrejterował pokonany.

Dziesięć minut później pod dom podjechał inny samochód i Jenkins z wypisaną na twarzy cierpliwą rezygnacją wprowadził inspektora Frasera.



Inspektorem targwały sprzeczne uczucia. Z jednej strony był wściekły, że Amberley utrzymywał go w niewiedzy, a z drugiej strony rozanielony na myśl, że dokona sensacyjnego aresztowania. Przybrał swój najbardziej oschły i oficjalny ton i nie omieszkał zauważyć, że śledztwo zostało przeprowadzone w sposób bardzo nieprzepisowy. Następnie zwrócił się do Amberleya, który stał przed kominkiem i przeglądał popołudniową gazetę, z pytaniem, czy życzy sobie towarzyszyć policji do Norton Manor.

- Towarzyszyć wam do Norton Manor? - powtórzył Amberley. - A niby po co, do diabła?

- Pomyślałem sobie - rzekł inspektor nieprzyjemnym tonem - że skoro miał pan tak wielki udział w tej sprawie, to może zechce pan też dokonać oficjalnego aresztowania.

Amberley zmierzył go szyderczym spojrzeniem.

- Nie wątpię, że potrafi pan sknocić nawet aresztowanie, ale są pewne granice roboty, jaką za pana wykonam. Podałem panu całą sprawę na tacy, dalej niech pan radzi sobie sam.

Inspektor nieomal zadławił się z oburzenia, lecz napotkawszy surowy wzrok sir Humphreya bez słowa, sztywno wyszedł z pokoju.

Kiedy Felicity i Shirley wróciły na dół, na stole w salonie stała apetycznie wyglądająca kolacja dla tej ostatniej. Bez trudu można było zauważyć, że Felicity wyciągnęła z niej całą historię, gdyż oczy miała okragłe z przejęcia. Oddała Shirley swoją najnowszą sukienkę, a więc zaręczyny Franka zyskały pełną aprobatę.

Trzy kwadranse później jeszcze jeden samochód podjechał pod dom. Shirley właśnie kończyła kolację i oznajmiła, że jest już w stanie spokojnie opowiedzieć, co się wydarzyło. Sir Humphrey z niecierpliwością czekał, aż siostrzeniec wyjaśni mu wszystko, od zamordowania Dawsona począwszy. Nawet lady Matthews z wyjątkowym dla siebie ożywieniem prosiła, żeby Frank wszystko opowiedział.

- W tej chwili - mówiła - to wszystko jest jak łamigłówka obrazkowa: widać, co jest na poszczególnych fragmentach, a nie można ich do siebie dopasować, żeby ułożyć cały obraz.

Słyszając samochód sir Humphrey okazał zniecierpliwienie. Czyż nigdy nie zaznają spokoju?

- To pewnie inspektor - powiedział Amberley. - Nie kocha mnie, ale ma tyle rozumu, żeby zawiadomić o aresztowaniu.

- Jednak nie był to inspektor, lecz Anthony Corkran z sierżantem Gubbinsem.

- O! A teraz co się stało? - spytał Amberley. Anthony miał dziwną minę.

- Boże! Przepraszam, lady Matthews - powiedział. - To szok! Zupełny szok! Słuchaj, Amberley, to potworne! To znaczy, Joan jest zdruzgotana. To przerażające! Zostawiłem ją pod opieką gospodyni. Muszę zaraz wracać. Przywiozłem tylko sierżanta. Ten facet strzelił sobie w łeb!

Zapadła cisza; wszyscy byli wstrząśnięci. Po chwili Amberley zaczął napępniać fajkę.

- Tak myślałem, że Fraser to sknoci - skomentował. - Jak to się stało, sierzancie?

- Proszę usiąść, sierzancie - powiedziała lady Matthews uprzejmie. - Musi pan być wykończony. Chyba dobrze się stało. Żadnego skandalu. To znaczy, mówię o Basilu Fountainie.

Sierżant podziękował i przysiadł na brzeżku krzesła, ściskając w rękach swój hełm. Felicity zabrała mu hełm i położyła na stole. Jej też podziękował, ale wydawało się, że nie wie co zrobić z rękami, skoro nie miał nic do trzymania.

- No, dalej, co się stało? -ponaglił go niecierpliwie Amberley.

- To, co powiedział pan Corkran. Inspektor spaprał robotę.

- Tak mi się zdawało, że wygląda pan na zadowolonego. Nikt nie zamierza uciec z pańskim hełmem, więc niech pan przestanie się na niego gapić. Co się stało? - powtórzył.

Sierżant odetchnął głęboko.

- No więc pojechaliśmy do Norton Manor, ja, inspektor i dwóch posterunkowych. Wpuścił nas ten człowiek, który twierdził, że nazywa się Baker. Wiadomo kto!

- Jak on się nazywa, Frank? - spytała lady Matthews. - Nie mogę sobie przypomnieć.

- Peterson. Nie sądziłem, że go kiedyś przedtem widziałaś, ciociu.

- Widziałam. Byłam kiedyś u ciebie, jak cię nie było w domu. Nigdy nie zapomnę twarzą. Ale przerwałam panu, sierżancie.

- Nic nie szkodzi, proszę pani - zapewnił sierżant. - Więc przyjechaliśmy, jak mówiłem i ten Peterson zaprowadził nas do biblioteki, gdzie zastaliśmy pana Fountaina i pana Corkrana. Pan Fountain był jakiś nieswój, ale nie mieszał się na widok inspektora. Inspektor pokazał mu nakaz i powiedział, że aresztuje go pod zarzutem usiłowania morderstwa na osobie panny Shirley Fountain, znanej jako Shirley Brown. Fountain jakoś tak dziwnie zamrugał, ale nie stracił głowy. Mrugnąłem do inspektora, żeby założył mu migiem kajdanki. Niestety, inspektor nie pozwolił na to, żebym mu mówił, co ma robić i zamiast skuć Fountaina, a dopiero potem gadać, zaczął mu opowiadać, jak to się stało, że wszystko się wydało, zupełnie jakby sam to odkrył. Autentyczny chwalipełta. Naturalnie, kiedy się wygadał, że panna Shirley została uratowana, Fountain zrozumiał, że sprawa jest beznadziejna. Wie pan, dziwna rzecz, ale kiedy to usłyszał, to westchnął jak gdyby z ulgą. Powiedział, co mnie zaskoczyło, że się cieszy. „Nigdy nie zamierzałem popełniać tych okropnych rzeczy”, powiedział. „Zmuszono mnie do tego. Przeszedłem piekło”, mówi. A potem mówi „Pójdę z wami. Cholernie” - pani wybaczy - „się cieszę, że to się skończyło.” A potem mówi „Chciałbym coś zabrać ze sobą” i rusza w stronę biurka. Nie powinienem się odzywać w obecności inspektora, ale nie mogłem się powstrzymać. „Niech pan się nie rusza!” - mówię do niego. „My weźmiemy to, co pan chce zabrać”. No i wtedy inspektor, chyba tylko, żeby dać mi nauczkę, powiedział mu, że może sobie wziąć co chce, proszę bardzo, byle tylko nie wychodził z pokoju. Mnie powiedział, żebym pilnował własnego nosa zamiast go pouczać. I to wszystko na oczach tych dwóch posterunkowych, Na pewno

będzie tego żałował, jak komisarz okręgowy zacznie się wypytywać jak do tego doszło.

No więc pozwolił Fountainowi podejść do biurka. Każdy głupi mógł przewidzieć, co się stanie. Fountain otworzył szufladę i w oka mgnieniu wyciągnął rewolwer strzelając sobie w łeb.

- A Joan stała w progu - dodał Corkran.

- Przykro mi - rzekł Amberley.

- Mnie też - powiedziała Shirley. - Wiem, że Joan Fountain nie miała z tym nic wspólnego. Nie chciałam, żeby stała się jej jakakolwiek krzywda.

- No, prawdę mówiąc - stwierdził Anthony konfidencyjnym tonem - nie stanie się jej żadna krzywda, poza tym szokiem, jakiego doznała będąc świadkiem tego przedstawienia. Chodzi mi o to, że Fountain nie był jej rodzonym bratem, i sama nigdy nie ukrywała, że niezbyt się ze sobą zgadzają. To okropny szok, ale tylko zaczekajcie, aż zabiorę ją z Norton Manor. - Nagle jakaś myśl przyszła mu do głowy. - Zaraz, to znaczy, że Manor należy teraz do pani, tak?

Shirley odparła z zakłopotaniem, że tak przypuszcza. Corkran rozpogodził się wyraźnie.

- No, to przynajmniej już coś. Nigdy nie znośm tego domu. Widowisko było niezłe, ale jeszcze nie wszystko rozumiem. Dlaczego Dawson i Collins zostali sprzątnięci? Co oni z tym mieli wspólnego? No, dalej, sierzancie! Pan na pewno wie. Niech pan zdradzi sekret!

Sierżant powiedział, że pan Amberley zrobi to lepiej. Amberley z niezwykłą uprzejmością poprosił, żeby nie był taki skromny. Sierżant chrząknął i spojrzął na Amberleya z wyrzutem.

- Kiepski ze mnie mówca - oświadczył. - i wcale bym się nie dziwił, gdyby okazało się, że niektóre szczegóły umknęły mojej uwadze.

- Frank nam opowie - rozstrzygnęła sprawę lady Matthews. - Niech ktoś poda panu Corkranowi coś do picia. Sierżantowi także. Czy pan nie może?

Sierżant uznał, że może sobie pozwolić na odstępstwo od regulaminu, tym bardziej, że - ściśle rzecz biorąc - od szóstej nie jest już na służbie.

Amberley oparł się o kominek i spojrzał na Shirley, która siedziała na kanapie obok lady Matthews.

- Chyba nie mogę opowiedzieć wam wszystkiego. Jest parę rzeczy, których sierżant nie powinien słyszeć. A jeśli już o tym mowa, to wuj też nie.

- Mój drogi Franku, nie bądź absurdalny - zirytował się sir Humphrey. - Dlaczego nie mielibyście usłyszeć wszystkiego? Przecież i tak wszystko wyjdzie na jaw!

- Nie wyjdzie na jaw, jeśli nie będę sobie tego życzył - odparł Amberley. - Żeby wszystko było jasne, musiałbym wyjawić pewne niezgodne z prawem poczynania, a to mogłoby skłonić sierżanta do aresztowania jeszcze dwóch osób.

- Może pan sobie pożartować - uśmiechnął się sierżant. - Nie wiem, co takiego pan zrobił, ale zawsze mówiłem i zawsze będę mówił, że byłby z pana mistrz zbrodni.

- Hm! - chrząknął powątpiewająco Amberley.

Sierżant, który do tej pory prędzej by sam popełnił przestępstwo niż dałby się pozbawić wyjaśnień, przypomniał, że nie jest na służbie.

- Wszystko, co pan powie pozostanie między nami - zapewnił.

- A więc dobrze - rzekł Amberley. Przez chwilę pykał fajkę. - Trzeba wrócić do samego początku - wyciągnął z kieszeni pognieciony testament i odczytał datę, to znaczy jedenastego stycznia dwa i pół roku temu, kiedy Jasper Fountain sporządził nowy testament. Oto on. Sporządził go własnoręcznie, świadkami byli Dawson i Collins. Testament czynił spadkobiercą jego wnuka Marka, a gdyby to okazało się niemożliwe - jego wnuczkę Shirley. Z czego wnoszę, że Jasper dopiero wtedy dowiedział się o ich istnieniu. A może poszedł za innym głosem serca? To zresztą nieważne. Przeważającą część swojego majątku zapisał Markowi Fountainowi, a sumę dziesięciu tysięcy funtów swojemu bratan-

kowi Basilowi, który na podstawie poprzedniego testamentu dziedziczył cały majątek. Jasper Fountain, jak się dowiedziałem, umarł pięć dni później, co tłumaczył fakt, że testament nie został sporządzony przez notariusza. Widocznie Jasper spodziewał się bliskiej śmierci. Co zrobiono z testamentem, nie wiem. Jedno jest pewne, po śmierci Fountaina dostał się w ręce Dawsona i Collinsa. Czy przedarli go na pół od razu, czy dopiero później - tego też nie wiem. W każdym razie zrobili to i kamerdyner zatrzymał jedną połowę, a lokaj drugą. Basil Fountain odziedziczył majątek na podstawie starego testamentu, a ci dwaj szubrawcy prowadzili coś w rodzaju szantażu, trzymając go w szachu tym nowym testamentem.

Przerwał i znów spojrzał na Shirley.

- Ty opowiedz, dlaczego Dawson was odszukał.

- Chyba bał się Collinsa - podjęła. - Collins chciał dostać jego połowę testamentu.

Dawson wydawał mi się bardzo bojaźliwy, nie bardzo nadawał się na szantażystę.

Nie mam pojęcia, skąd dowiedział się o naszym istnieniu. - Zarumieniła się.

-Widzicie... mój ojciec nie był... osobą godną wielkiego szacunku. Kiedy umarł, matka przeniosła się do Johannesburga i zmieniła nazwisko na Brown.

Zachowaliśmy z Markiem to nazwisko po jej śmierci i potem, jak przyjechaliśmy do Anglii. Nie byłam dumna z naszego prawdziwego nazwiska, a Markowi było wszystko jedno. Dawson jakoś nas odnalazł i napisał do Marka. Był to bardzo zagadkowy list, sugerował istnienie testamentu na korzyść Marka i ostrzegał przed jakimś niebezpieczeństwem. Jest teraz w moim banku. Pomyślałam, że lepiej go zachować. Mark uważał, że to jakiś kawał, ja byłam innego zdania. Przyjechałam do Upper Nettlefold, żeby się wywiedzieć o pokoje. Ivy Cottage był do wynajęcia, więc wzięłam. Bardziej mi odpowiadał dom niż wynajęty pokój, z powodu... z powodu... zwyczajów Marka. Nakłoniłem brata, żeby napisał do Dawsona, że się z nim spotka. Dawson się przestraszył. Nie chciał, żebyśmy tu przyjeżdżali, to zbyt niebezpieczne. Raz przyszedł do nas, ale bał się, że ktoś go zobaczy i nie chciał przyjść drugi raz.

Powiedział nam dokładnie

to, co Frank przed chwilą. Chciał się wycofać. Myślę, że bardziej bał się Collinsa niż policji. Zaproponował nam odsprzedanie połowy testamentu - przerwała i spojrzała na sierżanta. - Naturalnie wiedziałam, że postępuję niezgodnie z prawem negocjując z Dawsonem, ale nie mogłam oddać sprawy w ręce policji. Nie dość, że testament był przedarty na pół, to jeszcze gdyby Collins się wystraszył, mógłby zniszczyć swoją połowę.

- Bardzo kłopotliwa sytuacja - zgodził się sierżant, który słuchał jak urzeczony.

- Kłopot polegał na tym - ciągnęła Shirley - że Dawson żądał za połowę testamentu nedorzeczej sumy. Nie mogliśmy zebrać takiej sumy przed przejściem majątku dziadka. Sytuacja znalazła się w impasie, ale w końcu osiągnęliśmy kompromis i Dawson - chyba ze strachu, że jak będzie się upierał, to zawiadomimy policję - zgodził się nam zaufać. Miał się spotkać z Markiem na drodze do Pittingly w swój wolny wieczór i oddać połowę testamentu. W zamian Mark miał mu dać zwykły weksel na pięć tysięcy funtów.

- Chwileczkę! Czy pani brat był obecny, kiedy Dawson został zabity? - zapytał sierżant stanowczym tonem.

- Sierżancie, nie jest pan na służbie - przypomniał mu Amberley. - Teraz dochodzimy do mojego niegodziwego posunięcia. Pamięta pan jak powiedziałem, że nie jestem pewien, czy jestem po waszej stronie?

- Pamiętam - powiedział sierżant wybałuszając oczy.

- Poinformowałem pana - ciągnął Amberley - że na drodze do Pittingly znalazłem zwłoki zamordowanego człowieka. Ale nie powiedziałem panu, że obok samochodu ze zwłokami zastałem pannę Shirley Fountain.

Sierżantowi opadła szczeka.

- Zataił pan istotne dla śledztwa informacje!

- Właśnie. Ale gdybym tego nie zrobił, Fraser prawdopodobnie doprowadziłby ją na stryczek. Teraz zaczyna pan rozumieć,

dlaczego ta nudna zbrodnia tak mnie zainteresowała. Dawson jeszcze żył, kiedy go znalazłaś, prawda? - zwrócił się do Shirley.

- Tak, ale był już ledwo przytomny. Znał mnie. Nie miał przy sobie swojej połowy testamentu. Nie wiem dlaczego, pewnie chciał z nas wycisnąć więcej pieniędzy. Tak czy owak, zdołał mi powiedzieć, gdzie ona jest. I wtedy nadjechałeś.

- To znaczy, że od samego początku wiedział pan-o tym testamencie i wszystkim innym, i nic pan nam nie powiedział? - spytał sierżant.

- Ależ nie. Nic nie wiedziałem. Ale zacząłem się interesować. Wiedziałem jedynie, że morderstwo popełniono w celu rabunkowym. Kiedy dowiedziałem się, kim był Dawson, przyjąłem założenie, że mordercy nie chodziło o pieniądze. A ponieważ z Norton Manor nie zginęło nic cennego, to najprawdopodobniej Dawson miał przy sobie jakiś dokument. Skorzystałem z okazji, żeby poznać Baśila Fountaina. Zaraz podczas pierwszej wizyty w Norton Manor moje podejrzenia wzbudził Collins. Bardzo mu zależało na tym, żeby podsłuchać, co ja mam do powiedzenia. Nie miałem pojęcia, jakie koneksje łączą go z Fountainem, ale jednego byłem pewien. Fountain wiedział, że Collins podsłuchiwał pod drzwiami, a nie chciał, żebyśmy się o tym dowiedzieli. Za wart zapamiętania uznałem fakt, że alibi Collinsa opierało się jedynie na słowie Fountaina. To wystarczyło, żebym zaczął zbierać dyskretnie informacje na temat Fountaina. Zanim w ogóle powiązałem go z tą zbrodnią, ty ciociu, wyjawiałaś, że go nie lubisz. Mam wielkie zaufanie do twojego instynktu. Ty, Felicity, powiedziałaś, że on stale zrzedzi na temat pieniędzy. Zrobił awanturę o koszt kostiumu Joan. Gdy go poznałem, w ogóle nie pasowało mi to do jego wielkodusznej, rozrzutnej natury. Był człowiekiem, który lubi wydawać pieniądze. A więc na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że ma jakieś kłopoty finansowe. Dlaczego? Przecież jego majątek był znaczny, a ty, Anthony, powiedziałaś mi, że nie prowadzi przesadnie rozrzutnego trybu życia. Opisałeś go. zresztą całkiem akuratnie, jako jowialnego sportsmena. Poinformowałeś mnie także, iż chociaż nie był z Joan



w najlepszych stosunkach, to życie płynęło bez większych wstrząsów, dopóki Basil nie wszedł w posiadania majątku swojego wuja.

- Wygląda na to, że cholernie dużo ci powiedziałem - zauważył Corkran.

- Zgadza się. To dzięki tobie dowiedziałem się o jego zamiłowaniu do morza. To ty opisałeś mi jego dom w Littlehaven i tę super-motorówkę, którą można przepłynąć przez Kanał La Manche. Wówczas te informacje były bez znaczenia. Przydały się dopiero później. Powiedziałeś mi też, że prosił cię o pozostanie w Norton Manor i sądziłeś, że to ze strachu, że nie chciał być sam. Mogło to wynikać z jego towarzyskiej natury. Ale z drugiej strony wyglądało to tak, jak gdyby obecność gości w domu stanowiła ochronę. I tak było. Dopóki w domu byłeś i ty, i Joan, Collins musiał być ostrożny, Fountain zaczynał się go obawiać. Wiedział, że to Collins zamrodował Dawsona, ale nie odważył się go wydać z obawy, żeby Collins nie zemścił się poprzez ujawnienie prawdziwego testamentu. Nie wiedział, że Collins ma tylko połówkę. Jestem pewien, że nie wyeliminował wówczas Collinsa tylko i wyłącznie z powodu czystej odrazy do śmierci. Jeśli pamiętasz, Anthony, panna Fountain wspominała o tym podczas naszej pierwszej rozmowy. Nie mógł znieść myśli o martwym ciele, nawet jeśli to był szczeniak.

Po rozprawie u Koronera pan, sierżancie, powiedział mi o pieniądzach Dawsona.

Był pan zaintrygowany. Nie umiał pan znaleźć wytłumaczenia, skąd się wzięły.

Właśnie wtedy przyszło mi do głowy, że Dawson mógł szantażować Fountaina. Ale co ty miałaś z tym wszystkim wspólnego, Shirley - nie miałem pojęcia aż do tego balu kostiumowego w Norton Manor, na który przysłaś bez zaproszenia, w stroju włoskiej wieśniaczki.

- Boże, to byłaś ty? - zawołała Felicity. - Zastanawialiśmy się, kto to może być, bo nie było cię podczas zdjęmowania masek. Ależ to musiało być dla ciebie emocjonujące!

- Powstrzymaj swój ogień, skarbie - poprosił Amberley. - Kiedy odkryłem, kim jest włoska wieśniaczka pomyślałem sobie, że warto ją mieć na oku. Wydawało mi się mało praw-

dopodobne, żeby wkręciła się na bal bez zaproszenia z czystego pragnienia uczestnictwa w zabawie. Rozumując logicznie wywnioskowałem, że wykorzystwała okazję, aby dostać się do Norton Manor w jakimś konkretnym celu. I wtedy zobaczyłem tego Reynoldsa w korytarzu.

- Słucham? - nie zrozumiał sierżant.

- Portret, sierżancie. Portret pewnej damy z końca osiemnastego wieku.

Podobieństwo jest uderzające, Shirley. Gdy podziwiałem ten portret nadszedł Fountain. Z tego, co powiedział wywnioskowałem, że nie ma pojęcia o twojej obecności w okolicy. Nie bardzo interesował go ten obraz. Zauważył za to, zgodnie z prawdą, że dama na obrazie ma typowe dla rodziny brwi. Miał wrażenie, że to prawdopodobnie jakaś prababka, ale po dokładniejsze informacje radził mi zwrócić się do gospodyni.

A więc krótko mówiąc w moim posiadaniu znalazły się następujące fakty: motywem zamordowania kamerdynera Fountaina nie był zwykły rabunek; tajemnicza młoda dama nosząca uderzające podobieństwo do rodziny była obecna w miejscu morderstwa, a teraz przyszła na bal w przebraniu; Jasper Fountain miał syna, nieżyjącego już, którego wydziedziczył z powodu jego szczególnego upodobania do alkoholu i innych rzeczy. Ciekawym zbiegiem okoliczności był fakt, że Mark Brown również pił, choć to oczywiście niczego nie dowodziło.

Umilkł na chwilę i ubił kciukiem tytoń w fajce.

- Dochodzimy teraz do wielce nagannych poczynań panny Shirley Fountain - podjął.

- Dowiedziała się od Dawsona, że połowa testamentu została ukryta w pewnej komodzie i poszła jej szukać. Przeszkodziło jej w tym pojawienie się Collinsa, który przyglądał się jej z wielkim zainteresowaniem. Oboje odeszli od komody, która stała w korytarzu prowadzącym do galerii obrazów i zeszli na dół. To był przykry moment, prawda, Shirley?

- Dzięki tobie! - odcięła się Shirley. Roześmiał się.

- To wszystko wyłącznie twoja wina, kochanie. No więc,

kiedy oni oboje odeszli, sam zajrzałem do komody i znalazłem oderwaną połowę testamentu. Była na niej część podpisu Jaspera Fountaina i prawie całe podpisy świadków. Nazwiska lagatariu-szy znajdowały się na tej drugiej połowie, ale nawet pomimo tego sprawa była zupełnie oczywista.

W pierwszej sprzyjającej chwili Shirley wróciła do komody. Przekonała się, że testament zniknął, więc doszła do wniosku, iż Collins ją ubiegł. Zgadza się?

- Oczywiście - odparła. - Co innego mogłam pomyśleć?

- Później ci powiem, Collins przyszedł za kilka minut, żeby zabrać w bezpieczne miejsce tę połowę z komody. I naturalnie uznał, że Shirley go przechytryła. Każde myślało o drugim to samo.

- Tak, nie wątpię - przerwała Shirley - ale czemu nie powiedziałeś mi, że to ty ją masz?

- Dziecino droga, jak już miałem w kieszeni tę część testamentu, to wiedziałem prawie wszystko, co ty mogłabyś mi powiedzieć. W istocie było nieskończenie lepiej, że ani ty, ani Collins nie wiedzieliście, kto naprawdę ma tę część testamentu. Wasze błazeństwa były mi bardziej pomocne niż gdybyś okazała mi zaufanie. A był też pewien powód, który dotyczył wyłącznie ciebie i mnie. Ale wracając do przebiegu wydarzeń: następnego dnia złożył mi wizytę pułkownik Watson i zgodziłem się uczestniczyć w śledztwie. Wtedy trzymałem już w ręku większość nici. Wiedziałem już, że istnieje późniejszy testament, który przynajmniej dwie osoby za wszelką cenę chcą dostać w swoje ręce. Twój niepokój, Shirley, o losy testamentu skłaniały mnie ku przypuszczeniu, że jest on na twoją korzyść; niepokój Collinsa potwierdził moje wcześniejsze podejrzenia, że szantażował nim Fountaina. Było prawdopodobne, że to Collins ma tę brakującą połowę. Pierwszą rzeczą, którą należało udowodnić była twoja tożsamość, a głównym problemem było jak zdobyć pozostałą część testamentu, który niezaprzeczalnie istniał. Nie można było oddać sprawy w ręce policji, bo policja nic by nie zdziałała na podstawie tej zupełnie bezwartościowej połowy. Pojechałem do Londynu i ka-

załem mojemu służącemu Petersonowi zgłosić swoją kandydaturę na kamerdynera w Norton Manor, w miejsce Dawson. Zaopatrzyłem go w fałszywe referencje - co mi przypomina, że przyprawił go pan o chwilę grozy w związku z nimi, sierżancie.

- Ach! - westchnął głęboko sierżant.

- Właśnie. Miałem nadzieję, że może uda mi się dowiedzieć czegoś na temat miejsca ukrycia testamentu, ale przede wszystkim umieściłem go w Norton Manor, żeby obserwował poczynania Fountaina. Odkrycie przez Fountaina, kto mieszka w Ivy Cottage było tylko kwestią czasu, a wiedziałem, że kiedy już się dowie, to wszystko może się zdarzyć. Podczas tej samej bytności w Londynie odwiedziłem biura „Timesa” i w starych numerach gazety odnalazłem wzmiankę o śmierci twojego ojca, Shirley. Ten jeden jedyny raz mnie zawiodłaś, ciociu. Twoja zdolność zapamiętywania dat jest godna pożałowania. On umarł pięć lat temu, nie trzy, '

- To musiało być dla ciebie kłopotliwe, mój chłopcze - zgodziła się lady Matthews.

- I było. Jednak w końcu znalazłem tę wzmiankę i zanotowałem adres w Johannesburgu. Wysłałem depezę do agencji detektywistycznej w Johannesburgu, żeby się upewnić czy zostawił jakieś potomstwo, a jeśli tak, co się z tym potomstwem stało. Zeby sprawy trochę przyspieszyć, zatrudniłem też detektywów z agencji w Londynie i kazałem im sprawdzić pochodzenie Marka i Shirley Brown. Po powrocie do Greythorne zastałem tu ciebie, Anthony. Udzieliłeś mi, choć z oporami, ważnej informacji. Ujawniłeś, że Basil otrzymał list od jakiejś prywatnej agencji detektywistycznej, który go bardzo wytrącił z równowagi. A to mogło oznaczać tylko jedno - on także starał się sprawdzić, czyjego kuzyn miał dzieci i gdzie one są. Jego zdenerowanie wskazuje na to, że dowiedział się, iż Mark i Shirley Fountain są faktycznie tuż u jego wrót. Następnego dnia powiedziałeś mi, że miał zatarg z Collinsem. Pewnie uznał, że Collins próbuje prowadzić podwójną grę. Sprawy zaczęły toczyć się szybko, i jak na ironię losu Collins

właściwie nie mógł podjąć żadnych konkretnych działań, chociaż miał bardziej istotny fragment testamentu.

Postanowiłem zabawić się trochę w detektywa i pojechałem do ciebie, Shirley. To był szczęśliwy zbieg okoliczności. Wierzyłaś, że Collins posiada cały testament i byłaś zdecydowana go wykupić, więc posłałaś po niego. Collins przyszedł do ciebie, bo sądził, że masz połówkę Dawsona i możesz zniweczyć jego plany. Widziałem jak wychodził z Ivy Cottage. Oboje musieliście chyba przeprowadzić rozgrywkę po mistrzowsku, bo żadne z was po zakończeniu rozmowy nie wiedziało, czy to drugie jest w posiadaniu brakującej połowy testamentu.

- To prawda - uśmiechnęła się ponuro. - Ani razu nie padło słowo „testament”.

- Szkoda, że nie słyszałem tej rozmowy - zauważył z żalem. - Po wyjściu Collinsa przyszedłem ja. Może sobie przypominasz. Powiedziałem, że przyszedłem po pewną informację, którą udało mi się uzyskać. Upewniłem się, że byliście w Afryce Południowej, a to dzięki narzucie ze skóry szakala i swobodnej pogawędce z twoim bratem. Nie był to żaden dowód, ale w każdym razie jakiś punkt zaczepienia.

Następny ruch w grze uczynił Fountain, który zadzwonił z prośbą, żebym przyszedł. Przez cały czas miał się na baczności. Ale był zdenerwowany, więc jak większość ludzi w takim stanie musiał przedobrzyć. Próbował naprowadzić mnie na fałszywy trop. Wymyślił z Collinsem zupełnie nieprawdopodobną historię o Dawsonie, żeby wytłumaczyć pochodzenie jego tajemniczych pieniędzy. Ale przydała mi się ta bajeczka - mogłem ją przekazać inspektorowi do zbadania. Był zachwycony, no i miał bezpieczne zajęcie przez jakiś czas.

Podczas mojej wizyty miała miejsce pewna awantura. Mark Fountain będący pod wpływem alkoholu przyszedł do Norton Manor z zamiarem zmuszenia Collinsa do oddania testamentu. Groził, że go zastrzeli. Collins znalazł się w kłopotliwej sytuacji.

- Boże, to dlatego nalegał, żeby Basil puścił chłopaka wolno? - upewnił się Corkran.

- Tak, dlatego. A ponieważ Fountain nie znał Marka i miał poważny zamiar wezwania policji, Collins został zmuszony ujawnić jego tożsamość. Jeśli pamiętasz, użył słów „To ten młody człowiek z Ivy Cottage”, co natychmiast oświeciło Fountaina. Ten incydent wydawał się potwierdzić moją teorię na temat listu z agencji detektywistycznej. W istocie wszystko zaczynało pięknie pasować. Idiotyczny wyskok Marka stanowił poważną komplikację. Nie twierdzę, że naprawdę podejrzewałem Fountaina

o próbę zamachu na życie Marka - nie było powodu podejrzewać, że Fountain jest zdolny do popełnienia morderstwa, ale nie można było takiej możliwości wykluczyć. Kazałem go pilnować,

1 to w sposób rzucający się w oczy. Myślałem, że sama świadomość, iż chłopak jest pod obserwacją odstraszy Fountaina. Niestety. Nie uradowało go "to, ale nie należał do ludzi, którzy łatwo rezygnują ze swoich planów. Złożyłem wizytę w Norton Manor specjalnie po to, żeby go powiadomić o śledzeniu Marka. Przy sposobności sprawdziłem, czy Peterson jest tam bezpiecznie urządzony.

Tamtego wieczoru otrzymałem z Johannesburga odpowiedź na depeszę. Nie było już najmniejszych wątpliwości, co do waszej tożsamości, Shirley. Uznałem, że trzeba złożyć wizytę sierżantowi Gubbinsowi i nakłonić go do staranniejszego pilnowania Marka. Niestety, spóźniłem się. Gdy byłem na posterunku nadeszła wiadomość o śmierci Marka - przerwał i spojrzał na Shirley. - Wybacz, że o tym mówię, to pewnie nie jest dla ciebie miłe. Chciałbym tylko wyjaśnić parę rzeczy.

- Mów dalej - dparła krótko.

- Mark nie dlatego wpadł do rzeki, że był pijany - podjął Amberley. - Był pijany, oczywiście i to bardzo pijany, ale do rzeki został wepchnięty. A ponieważ był pijany, utonął. Było to morderstwo tak sprytnie zaplanowane, że wątpię, iż kiedykolwiek udałoby się je przypisać Fountainowi. Zwyczajnie Marka stały się powszechnie znane w Upper Nettlefold. Niektórzy nawet głośno zastanawiali się jakim cudem już dawno nie wpadł do rzeki. Również powszechnie wiadomo, że o tej porze roku zwykle

panuje mgła, która jest szczególnie gęsta w tej niecce, gdzie droga biegnie wzdłuż Nettle. Fountain liczył na szczęście - a może wiedział, że Tucker nie będzie trzymał się zbyt blisko Marka. Za śmierć Marka pośrednio odpowiedzialny jest inspektor Fraser. Dał bowiem do zrozumienia Tuckerowi, że dostał to zadania tylko po to, żeby zaspokoić moje fanaberie. Sierżant chrząknął.

- Napisze pan o tym w swoim zeznaniu, mam nadzieję?

- Napiszę, sierżancie, ale proszę nie przerywać. Fountain rozgłosił, że jedzie do Londynu. Prawdopodobnie rzeczywiście pojechał. Gdyby nie dopisało mu szczęście, powtórzyłyby ten sam manewr następnego dnia. Ale dopisało mu szczęście. Wszystko potoczyło się po jego myśli. Zostawił samochód przypuszczalnie w jakiejś bocznej drodze i zaczął się na Marka nad rzeką, gdzie mgła była najgęstsza. Kiedy Mark się pojawił, wystarczyło tylko zepchnąć go ze stromego brzegu. Nie sądzę, by potrzebował nawet do tego wiele siły, a zresztą Fountain był bardzo silnym mężczyzną. Rzeka jest dość głęboka. Mark utonął, bo był zbyt pijany, żeby próbować się ratować.

- No tak, a gdyby Mark nie utonął? - zaproponował Anthony.

- To byłoby irytujące dla Fountaina, naturalnie, ale nie niebezpieczne. Nawet gdyby chłopak twierdził, że ktoś go wepchnął, to kto by mu uwierzył?

- Ty - powiedział Anthony.

- Być może. Ale Fountain nie wiedział przecież, jak dużo ja wiem, choć był w stosunku do mnie podejrzliwy. Nie, plan był bezpieczny i powiódł się. Nie udałoby mu się, gdyby mgła nie była taka gęsta, czy gdyby Collins na chwilę nie stracił Marka z oczu. Ale Collins nadbiegał za późno, żeby uratować chłopaka, choć na pewno czynił nadludzkie wysiłki w tym kierunku. Od momentu, w którym Fountain dowiedział się o obecności w Upper Nettlefold swojego kuzyna, Collins był czujny. Znał Fountaina lepiej niż ja. Jego bajeczka z tą papierośnicą, sierżancie, była wyssana z palca, ale zdaje się, że panna Fountain by ją potwierdziła, prawda, Shirley?

Shirley skinęła głową.

- Byłam całkowicie w jego mocy. Skoro miał testament, nie odważyłabym się go wydać. Po części dlatego nie zawierzyłam tobie. On od samego początku podejrzewał, że wiesz wiele więcej od policji.

- I wobec tego nie byłoby bezpiecznie mi zaufać, bo mógłbym zdradzić, co wiem?

Wielkie dzięki. Ale wracając do wydarzeń. Następnego dnia po zamordowaniu Marka, Fountain<sup>^</sup>dwiedził mnie w Greythorne. Rzekomo chodziło mu o wyjaśnienie obecności Collinsa na miejscu wypadku. W rzeczywistości przyszedł wy badać, co ja myślę i czy ty, Shirley, zostajesz w Ivy Cottage. Dałem mu do zrozumienia, że podejrzewam Collinsa, a także że ty zostajesz w Ivy Cottage.

Ponieważ wyeliminował Marka, spodziewałem się, że ty będziesz następna.

Chciałem złapać go na gorącym uczynku i aresztować, i jego i Collinsa pod dwoma oddzielnymi zarzutami. Udałoby mi się, gdyby nie Corkran, który miał chęci jak najlepsze, ale jego nadgorliwość okazała się fatalna w skutkach. Kiedy zawiozłem cię, Shirley, do Ivy Cottage po twoje rzeczy, odryglowałem kuchenne drzwi i przywłaszczyłem sobie klucz. Odwiozłem cię do hotelu, wróciłem do Greythorne i zadzwoniłem do Petersona, żeby miał na oku Fountaina i dał mi znać, jak Fountain wyjdzie z domu tej nocy. Ty, Felicity, weszłaś do pokoju w trakcie tej rozmowy i skomentowałaś moje manery podczas rozmów telefonicznych. Pamiętasz? Peterson zadzwonił zaraz po północy i powiedział, że Fountain opuścił dom i odjechał gdzieś na rowerze. Zatelefonowałem wtedy do pana, sierżancie i udaliśmy się do Ivy Cottage oczekiwać na jego przybycie. I właśnie wtedy, gdy wszystko szło idealnie gładko, wtrącił się Corkran i zaalarmował niechcący Fountaina, a ten uciekł kuchennym wyjściem. Byłeś wściekły, że pozwoliłem mu uciec, prawda?

Zatrzymanie go to byłoby czyste szaleństwo. Niczego nie mogłem mu odowodnić poza włamaniem do cudzego domu. To całe wydarzenie miało też zabawną stronę.

Nie tylko ty śledziłaś Fountaina. Peterson zauważył jak pedałujesz alejką i pojechał za wami oboma.



Niepotrzebnie, ale z równą nadgroliwością. Nie rozpoznał cię i w obawie, że będę miał do czynienia z dwoma przestępcami, choć spodziewałem się jednego, ruszył mi na pomoc. Widziałem go, kiedy poszedłem zaryglować kuchenne drzwi. Już chciał do mnie podejść, kiedy zauważył ciebie, Anthony, więc taktownie się wycofał. To był pierwszy zamach na życie Shirley. Przypuszczam, że Fountain zamierzał upozorować samobójstwo, którego przyczyną miałyby być śmierć Marka. Pomysł niezły. Dałem panu wskazówkę, sierżancie i uważam - naprawdę uważam - że powinien był pan odgadnąć nieco więcej. Zwróciłem panu uwagę na to, że ten, kto włamał się do Ivy Cottage - ktokolwiek by to nie był - nie wiedział, iż panna Fountain posiada bullterriera. Collins o tym wiedział, sierżancie. Zasmucił mnie pan i rozczarował.

- Tak, ładna mi wskazówka - powiedział sierżant z goryczą.

- Z pół setki ludzi mogło o tym nie wiedzieć.

- Ale Collins wiedział - powtórzył Amberley.

- Zgadza się i mogę teraz powiedzieć, że właśnie dlatego go wykluczyłem - rzekł sierżant i utkwiał w Amberleyu wzrok, który

- miał nadzieję - zahipnotyzuje go.

- Kłamca - stwierdził Amberley. - Z wrażenia aż mnie zatkało. - Odłożył fajkę na kominek i wsadził ręce do kieszeni spodni. - A potem - podjął - wuj Humphrey zrobił następny ruch.

- Co? - zdumiał się sir Humphrey. Amberley spojrział na niego z rozbawieniem.

- A tak, wuju. Pojechałeś do Fountaina w sprawie kłusowników, a wyszedłeś z brakującą połową testamentu.

- O czym ty, do diabła, mówisz, Frank?

- Którą - kontynuował niewzruszenie Amberley - Collins ukrył w grzbiecie książki „Osobliwości literatury”. Ciekawe, czy Collins widział, że ją pożyczasz?

- Tak! - odezwała się Felicity. - Widział. Teraz sobie przypominam, że koniecznie chciał ją wydobyć z rąk taty. Proponował, że ją wytrze z kurzu, ale tatuś odmówił.

- A więc nie pozostało mu nic innego, jak tylko włamać się do Greythorne - rzekł Amberley. - Ale ponieważ wuj zabrał książkę ze sobą do łóżka, próba odzyskania jej nie powiodła się. Zauważyłem dziwny charakter tego włamania i dało mi to wiele do myślenia. Ale to ciocia Marion naprowadziła mnie na właściwy trop. Zastanawiała się na głos, po co było rozrzucać książki. Naprawdę pomyślałem, że wreszcie mam to, czego szukam. Ale kiedy przyniesiono mi „Osobliwości literatury”, nie było tam śladu testamentu. I ani ty, wuju, ani Felicity nie przypomniaлиście sobie, że przez chwilę książka znalazła się w rękach Shirley. Bardzo trudno będzie mi wam to wybaczyć.

Następnego ranka zadzwonił Peterson z wiadomością, że jakaś kobieta, przypuszczalnie Shirley Fountain, dzwoniła do Collinsa.

- Tak, pamiętam - wtrącił Corkran. - Powiedziałem o tym Basilowi, a on się wkurzył jak diabli.

- Wcale mu się nie dziwię. To by tłumaczyło, dlaczego śledził Collinsa tamtego wieczoru, tak jak ja śledziłem Shirley. Shirley umówiła się z Collinsem w pawilonie nad jeziorem. Spędziłem okropnie nudny dzień pilnując jej. Collins i Shirley stawili się w umówionym miejscu, ale i Fountain też, a także Peterson, który miał za zadanie nie spuszczać oka z Fountaina. Gdyby Fountainowi udało się wtedy złapać Shirley, zabiłby ją na miejscu. Na szczęście nie on ją złapał, tylko ja.

Tylko że spotkanie Collinsa i Shirley skłoniło Fountaina do podjęcia desperackich akcji. Jeśli Collins prowadzi podwójną grę, to Collinsa trzeba się pozbyć. I tu opatrność w postaci mojego własnego wuja wskazała mu, jak to zrobić.

- Ja? - sir Humphrey aż podskoczył w fotelu.

- Tak, wuju. Tą gadaniną o kłusownikach. Ale nie winię cię za to. Uważam nawet, że dobrze się stało, bo to bez wątpienia Collins zamordował Dawsona. Nie wątpię też, że mielibyśmy wielkie trudnościami z udowodnieniem mu tego. Lecz zanim Fountain zdążył wprowadzić swój zamiar w życie, Collins ponownie usiłował odzyskać tę nieszczęsną książkę. Próba była dość śmiała,

ale nie powiodła się. Tymczasem Peterson pracowicie, aczkolwiek zupełnie bezskutecznie, przeszukiwał wszystkie książki w bibliotece Fountaina. To był bardzo denerwujący okres. Testament najwyraźniej zaginął. Gdyby jakimś złośliwym zrządzeniem losu dostał się w ręce Fountaina, ten natychmiast by go zniszczył. Collins przekonawszy się, że nie ma go tam, gdzie go ukrył, natychmiast doszedł do mylnego wniosku, że ja go mam i przeszukał mój pokój. Odetchnąłem z ulgą, bo znaczyło to przynajmniej, że nie ma go Fountain. Gdyby miał, na pewno nie omieszkałby powiedzieć Collinsowi, że go spalił. W drodze powrotnej z Greythorne do Norton Manor, Collins został zastrzelony przez Fountaina, który

-jeśli pan pamięta, sierżancie  
- spędził większą część wieczoru na pisaniu listów w bibliotece.

I wtedy Fountain znów przedobrzył. Nie mógł się powstrzymać i jeszcze tej samej nocy zadzwonił na policję. Przyczyna, którą podał miała aż nazbyt wiele pozorów prawdopodobieństwa. Nigdy nie dowierzam bardzo wiarygodnym tłumaczeniom. Peterson, gdy tylko dowiedział się o zniknięciu Collinsa, przeszukał jego pokój, ale nie znalazł połowy testamentu. Chyba zauważył pan, sierżancie, jak powiedział mi, że nic nie znalazł. To było wtedy, gdy go pan przesłuchiwał.

- Zgadza się - przyznał sierżant. - Od razu zauważyłem.

- Marnuje się pan w Upper Nettlefold, sierżancie - rzekł Amberley.

- No cóż, nie miałbym nic przeciwko zmianie - odparł sierżant z wyraźnym zadowoleniem.

- Niech pan spróbuje aktorstwa - poradził Amberley i nie czekając aż do sierżanta dotrze znaczenie tej rady kontynuował.

- Fountain zaczął się zdradzać. Zaczynał tracić głowę. Zamiast siedzieć cicho i pozwolić Fraserowi knocić wszystko dalej, postanowił sprawy polepszyć. Ledwo pozbył się Collinsa, a już podważył jego alibi na wieczór, kiedy zamordowano Dawsona. Tu posunął się już za daleko. Do tamtej pory nie przyjmował do wiadomości, że Collins mógłby zrobić coś, czego nie powinien; nie chciał także go wyrzucić pomimo wyraźnej antypatii. Ale gdy

tylko Collins został usunięty z drogi, dowiedzieliśmy się, że został właśnie zwolniony z pracy. Pozwoli pan sobie przypomnieć, sierżancie, że kiedy wyszliśmy z Norton Manor zapytał mnie pan, co o tym wszystkim sądzę. Powiedziałem, że jest parę znaczących szczegółów. To właśnie te szczegóły.

Sierżant, który stawał się coraz bardziej bezczelny, powiedział:

- Zastanawiałem się czy pan je też zauważył<sup>^</sup>

- Na szczęście zauważyłem - oświadczył sucho Amberley.

- Odniosłem wrażenie, że Fountain coraz bardziej zapędza się w ślepy zaułek i wie o tym. Następnego dnia po śmierci Collinsa

- to znaczy dziś rano - podjąłem pewne środki ostrożności, a mianowicie pojechałem do Littlehaven.

- Powiedziano mi, że prowadzisz śledztwo w sprawie morderstwa - zauważyła lady Matthews.

- Oficjalnie tak było. Nie chciałem, żeby Fountain dowiedział się, gdzie jestem i co robię naprawdę.

- Ale skąd przyszło ci do głowy jechać do Littlehaven?

- spytała Felicity.

- To przez tę motorówkę - wyjaśnił Amberley. - Nie zapomniałem o istnieniu łodzi zdolnej do przepłynięcia kanału La Manche. Nie będę udawał, że przewidziałem do czego zostanie użyta, bo nie przewidziałem. Natomiast podejrzewałem, że Fountain, świadom niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł, musiał zabezpieczyć sobie drogę ucieczki w razie, gdyby sprawy przybrały niekorzystny obrót. Pojechałem więc do Littlehaven i dowiedziałem się, że łódź została zabrana z hangaru Mortona, gdzie przeszła gruntowny przegląd i stoi przycumowana do boi w głębi zatoki, obok domu Fountaina. Podpłynąłem do niej łódką, żeby ją obejrzeć i przekonałem się, że jest gotowa do wypłynięcia w morze. Wyglądało na to, że moje domysły są słuszne, więc zatrudniłem naszego przyjaciela robotnika, żeby ją obserwował i zawiadomił mnie telefonicznie, jak tylko ktoś nią wypłynie. Wówczas policja mogłaby zawiadomić porty we Francji i tam go zatrzymać. Nadal jestem przekonany, że Fountain

pierwotnie przygotował łódź, żeby zapewnić sobie drogę ucieczki. Skoro Collins nie żył, nie miał najmniejszego zamiaru skrzywdzić Shirley. Bez testamentu nic nie mogła zrobić. Zresztą żadnego z tych morderstw nie zamierzał popełnić. Jestem skłonny wierzyć, że mówił prawdę twierdząc, iż przeżył piekło. Gdyby nie odziedziczył majątku stryja, pozostałby do dziś taki, jaki był z natury - wesołym, życzliwym i dobrodusznym facetem, który pragnął mieć wygodne, beztrudne życie i tyle pieniędzy, żeby starczyło na zaspokojenie swych wielce chwalebnych gustów. Cały kłopot polegał na tym, że przez wiele lat uważał się za spadkobiercę Jaspera Fountaina. Toteż gdy okazało się, że został wydziedziczony nie mógł sobie wyobrazić wyrzeczenia się wszystkiego z wyjątkiem dziesięciu tysięcy funtów. Praktycznie nie miał własnych środków, zawsze otrzymywał dużą pensję od stryja. W sytuacjach podbramkowych wykazywał się dużą przebiegłością, lecz absolutnie nie odznaczał się zdolnością dogłębnego przewidywania na dłuższą metę. Jestem pewien, że z początku nie uzmysławiał sobie ewentualnych konsekwencji swojej pierwszej, stosunkowo niewinnej zbrodni. Służącemu można było zamknąć usta niewielką sumą pieniędzy i chociaż nie było to w żadnym przypadku uczciwe postępowanie, to tłumaczył sobie, że Shirley i Mark nie mogą odczuwać straty czegoś, czego nie zakosztowali. Wychowywał się w przeświadczeniu, że Norton Manor należy do niego i pewnie czuł się usprawiedliwiony - w większym lub mniejszym stopniu - z zatajenia istnienia późniejszego testamentu. Kiedy już raz zrobił fałszywy krok, do całej reszty, jak powiedział, został zmuszony. Wierzę, że nienawidził tego, co zrobił i chętnie by się wycofał, gdyby to było możliwe bez pójścia do więzienia.

Przerwał na chwilę, a wszyscy w milczeniu czekali, aż podejmie relację.

- Jednak procesy myślowe Fountaina, choć ciekawe, nie mają tu właściwie nic do rzeczy. Wspomniałem już, że skoro Collins nie żył, Fountain nie planował zrobić krzywdy Shirley. Jestem przekonany, że to prawda. Lecz los, w postaci mojej

nierozważnej kuzynki, zadał mu cios. Dowiedział się od niej o przygodach, jakie przeżyła książka „Osobliwości literatury”. Felicity opowiedziała mu, jak bardzo interesowała się tą książką, że nic w niej nie było i chociaż nie pamiętał, żeby poinformować mnie o tym, iż Shirley miała ją w rękach dość długo, by znaleźć ukrytą w niej połowę testamentu, to nie miała żadnych trudności z przypomnieniem sobie o tym w obecności Fountaina.

- Wystarczy - ucięła krótko Shirley, tak samo niegrzecznie jak dawniej.

- Dzięki temu o mało cię nie zabił - zrewanżował się jej Amberley. - Wtedy już wiedział, gdzie Collins trzymał testament. Wiedział już też, że ty go masz. Zabrnął już tak daleko, że musiał skończyć, co zaczął, bo inaczej wszystko by się wydało. A co było dalej, już sama wiesz. Gdyby nie moja nieoceniona cioteczka, leżałabyś teraz na dnie morza. To ona powiedziała mi o tym wszystkim i przekazała informację od Peteresona. Dzięki temu zdążyłem do Littlehaven w samą porę. Zresztą przez całą drogę usiłowałem zgadnąć czy się nie mylę.

- Zgadnąć! - Corkran wreszcie odzyskał zdolność mówienia.

- Ty to nazywasz zgadywaniem?

- Bo tak było - odparł Amberley. - Nie miałem pewności. Kiedy dowiedziałem się, że ruszył na południe, mogłem tylko zgadywać, co zrobi. Na szczęście okazało się, że się nie myliłem.

- Chwileczkę - powiedziała Shirley. - Czy w takim razie możesz zgadnąć dlaczego wybrał sobie taki sposób zabicia mnie zamiast po prostu wyrzucić mnie za burtę? Cały czas się nad tym zastanawiam.

- Chyba mogę - odrzekł. - Po pierwsze, trwałoby to zbyt długo, a on chciał opuścić Littlehaven jak najszybciej. Po drugiej

- zdaje się, że był przerażony tym, co robi. Pamiętaj, że miał ten dziwny kompleks na punkcie martwych ciał. Z tego powodu nie zabił cię przed posłaniem cię na dno. Mówiłaś, że nie odezwał się do ciebie ani słowem, że nawet na ciebie nie spojrział. Wierzę w to. Ten człowiek naprawdę przeżywał piekło, prawie stracił zmysły z przerażenia.

Podszedł do stołu, wyjął z kasetki papierosa i zapalił. Powiódł wzrokiem po zszokowanych twarzach wpatrzonych w niego z urzeczeniem.

- Czyba wyjaśniłem już wszystko - dodał. - To była interesująca sprawa.

- Interesująca sprawa! - wykrzyknął Anthony. - Nie wiem, co myślą inni, ale ja uważam, że jesteś niesamowity! A pan, drogi sierżancie, niech mi nie wmawia, że wiedział pan to wszystko, bo i tak nie uwierzę!

- Nie, nie wiedziałem — odparł sierżant bez wahania. — Ale gdyby pan Amberley nie zataił ważnych informacji, na przykład tego, że zastał tę młodą damę przy zwłokach Dawsona, byłoby dla wszystkich o wiele lepiej. Rety! Gdybym o tym wiedział, rozwiązalibyśmy całą tę sprawę migiem! - napotkał spojrzenie Amberleya i powtórzył z uporem - migiem, panie Amberley. Nie powiem, jak na amatora radził pan sobie nieźle, ale potrzebny był panu do pomocy umysł fachowca. Tego właśnie było panu trzeba!